

Jean-Michel Thibaux w latach 1977-1980 pracował dla Gabinetu Ministra Obrony Francji. W latach 1980-1983 był pracownikiem DGSE (Direction Generale de la Securite Extericure - Główny Urząd Bezpieczeństwa Zewnętrzny). Zajmował się sprawą sprzedaży broni i kontaktami z Afryką Północną i Środkowym Wschodem. Zdymisjonowany w 1983, zdobyte doświadczenie wykorzystuje w powieściach sensacyjnych.

Styczeń 1981 roku. Wkrótce po uwolnieniu zakładników amerykańskich w Teheranie pułkownik OHver North uruchamia akcję „Recovery” - sprzedaży broni dla Iranu. I tak zaczyna się najbardziej nieprawdopodobna operacja finansowa, jakiej kiedykolwiek dokonano. Wszystkimi fazami sprzedaży i transferem uzyskanych z niej funduszy do Ameryki zajmuje się nieoficjalny agent CIA, Fryderyk Det-mer. A jaką rolę pełni w tym świecie konfliktów, rewolucji i terroryzmu Melchior Saschauer - potężny finansista, bankier szwajcarski?

Walka wywiadów, świat konfliktów, rewolucji i terroryzmu, a także romans szpiegów

## **Thibaux Jean-Michel**

### **Bal bankierów**

Przełożyła Irena Wyrzykowska  
Zeskanował Krzysztof Tykwiński  
WYDAWNICTWO BELLONA

„Bankierzy są najbardziej romantycznymi i najmniej realistycznymi z ludzi”

J. M. KEYNES

„Przełomowy moment dramatu historycznego znajduje się poza naszym zasięgiem. Jesteśmy tylko jego heroldami, zwiastunami Sądu Ostatecznego bez Sędziego”

E. CIORAN, Ebauches de vertige

Helenie i Jean-Danielowi Verhaeghe, Jean-Louisowi Fournier, Syhie Durepaire, Jean-Francois Balmerowi, Rogerowi Vrigny, Philippe'owi Allaire i Jean-Louisowi Horbette

1

Myśl o dwustu jedenastu amerykańskich żołnierzach, którzy stracili życie w bejruckim hotelu „Hilton”, dręczy go; Ronald Reagan widzi każdej nocy ich ciała rozszarpane, a następnie pogrzebane pod tonami betonu. Na wieść o zamachu był przygnębiony przez cały dzień. Nigdy by nie pomyślał, że to jest możliwe. Nigdy. Zapłakał nad tymi marynarzami, ich dziećmi, nad honorem Ameryki, nad sobą samym. Z każdym dniem jego zadanie staje się trudniejsze. Daleka jest droga między odpowiedzialnością gubernatora Kalifornii, którym był, a głową państwa, którą się stał, całe lata świetlne dzieli drugorzędnego aktora od czterdziestego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wzdycha i potrząsa głową, przyglądając się sobie w lustrze prywatnego salonu rezydencji. Siedemdziesiąt dwa lata i za wiele odpowiedzialności; czuje się zmęczony. Nadał nową godność Ameryce, obudził patriotyzm w swoim narodzie, jest przywódcą lubianym, nawet prasa obchodzi się z nim oględnie, on jednak wie dobrze, iż jest już za stary, że to go przerasta i że nie jest w stanie kierować współczesną potęgą kontrolującą 95 proc. światowego rynku maszyn liczących. „Już wysiadasz, Ronnie” - mówi do siebie.

Nie rozumie swoich współczesnych, tak samo jak nie rozumie tego, co skłania mężczyzn i kobiety do samobójczej śmierci za kierownicą ciężarówki załadowanej materiałem wybuchowym.

- Nie przejmuj się. Zachowaj godność. Zwróć uwagę na swój krawat. Nie szczędź Buda\*, jestem przekonana, że źle ci życzy.

\* Robert McFarlane. były doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego. (Przyp. aut.)

Jest przy nim Nancy, żeby go wesprzeć. Na szczęście. Ronny uśmiecha się do niej. To jego najlepszy doradca. Co począłby bez niej?

- Bud jest mi wierny - odpowiada żonie, obciągając rękawy marynarki.

- Bud to głupiec, wierz mi - oponuje Nancy poprawiając mu kołnierzyk u koszuli.

- Znałby się na innym zdaniu.

- Jacy znawcy? Dziennikarze, członkowie Kongresu? Co oni mogą wiedzieć o tym, co się spiskuje w kuluarach Białego Domu i wylega w głowie takiego McFarlane'a? Możesz mi powiedzieć?

- Być może masz rację.

- Mam rację.

Ronald Reagan nie potrzebuje więcej niż pięć minut, żeby się znaleźć w sali Rady Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych, znajdującej się w podziemiu zachodniego skrzydła Białego Domu. Bierze głęboki oddech, przyjmuje odpowiedni wyraz twarzy i otwiera grubo obite drzwi. Jego drodzy doradcy i współpracownicy są tam, stanowią jego organy życia, dzięki którym oddycha i porusza się. Bez nich byłby niczym: Casey-nieodgadniony, który zaprzysiągł odbudować zaufanie do CIA, Bud-niestały, Shultz-moralista, Crowe, Donald i inni, wszyscy zebrani wokół owalnego stołu. Kiedy wchodzi, wstają, witają go i zdają się składać na niego ciężar własnej odpowiedzialności, własnych niepokojów i własnych problemów, jakby on był w stanie wszystko rozstrzygnąć od razu, manipulując licznymi końcówkami i ekranami, którymi są pokryte ściany sali.

- A więc, panowie, co zalecacie przeciwko terrorystom wysyłanym przez Iran, Libię i Syrię? Stawiając to pytanie po raz dziesiąty Reagan zwraca się głównie do Buda, ale Bud, który powinien wiedzieć, jak rozwiązać ten problem, nie zabiera głosu, myślami jest gdzie indziej.

W kilka godzin później, w jednym z biur Pentagonu, metaliczny głos Olivera Northa powtarza punkt po punkcie różne fazy operacji

„Recovery”\*. Wreszcie dochodzi do zestawienia finansowego. Dwaj mężczyźni, wiceadmirał Poindexter i sekretarz Robert McFarlane, słuchają tego z żywym zainteresowaniem.

- Wszystko powinno się rozegrać w Szwajcarii - mówi North. My powinniśmy upozorować tę operację. Dostarczyć broń do

Iranu to proste. Bardziej skomplikowane staje się czerpanie z tego zysków, żeby wspomóc inne wojny. Administracja amerykańska nie powinna włączać się bezpośrednio w żadnym okresie. Jedynie szwajcarscy bankierzy, będący ponad wszelkimi podejrzeniami, mogą pomyślnie przeprowadzić tę delikatną fazę operacji i manewrować olbrzymimi sumami, które będą wpłacane na oznaczone numerami konta.

- Nie pociąga mnie bynajmniej, pułkowniku, wtajemniczenie we wszystko cudzoziemców - odpowiada Poindexter, a na jego okrągłej twarzy pojawia się grymas niezadowolenia.

- Tu chodzi o jednego tylko cudzoziemca. On już dla nas pracował w czasie wojny wietnamskiej, a zwłaszcza w czasie kryzysu w Chile. To jeden ze sprawców upadku Salvadora Allende. Cieszy się całkowitym zaufaniem CIA.

- O Caseya?

O pewnych członków tej agencji. Nic więcej wam nie powiem.

- Jak się nazywa ten sprzymierzeniec? - pyta Bud. Fryderyk Detmer.

North skontaktował się z Detmerem wkrótce po rozwiązaniu sprawy zakładników z ambasady amerykańskiej w Teheranie. Ten przyjął propozycję. W zamian, jak zwykle, dano mu dużą swobodę działania na terytorium Stanów Zjednoczonych, kilka kontaktów w zarządzie ceł i wskazówki pozwalające mu działać na rynkach finansowych, ubiegając wszystkich innych giełdźiarzy. Najprościej w świecie założył dwa towarzystwa osłonowe w Hondurasie: GESPS (Generale d'Exportation de San Pedro Sula)\*\*, zajmujące się działalnością rolną, głównie uprawą bananów i kawy, pozwalające krajowi osiągnąć jeden z najlepszych światowych bilansów handlowych

\* Recovery - naprawa. (Przyp. tłum.) \*\* Eksport Ogólny z San Pedro Sula. (Przyp. tłum.) w produkcji rolnej w stosunku do dochodu narodowego brutto, i SICDM (Societe d'Investissements et de Credits pour le Develop-pement de la Mosquitia)\*. Miały one przy pomocy miejscowej oligarchii hiszpańskiej ułatwiać finansowanie antysandinowskich kontras mających swe bazy w górach Colon i nad rzekami Choluteca i Patuca.

Wraz z upływem czasu te dwa towarzystwa pozostały daleko w tyle za wielką działalnością kolosów wyżywienia i inwestycji. Zresztą, kto się martwi Hondurasem zajmującym sto trzydzieste siódme miejsce, jeśli chodzi o bogactwa naturalne, i zaliczanym przez specjalistów z Banku Światowego do krajów biednych? Nikt. I tak jest lepiej, gdyż w nadchodzących miesiącach GESPS i SICDM, będą musiały pochłonąć znaczne sumy w dolarach.

Wczoraj Fryderyk jadł śniadanie z Budem, którego nie znał osobiście, w towarzystwie dwóch przedstawicieli CIA i nieodłącznego pułkownika Northa, bez którego akcja „Recovery” nie mogłaby zaistnieć. Bud wyraził zgodę na pierwsze przelewy z Iranu do Szwajcarii, gdzie Fryderyk otworzył dwa konta, więc spotkanie było przyjemne, a nawet wesołe. Ani przez chwilę nie wspomniano o terroryzmie, rozmawiano o wszystkim i o niczym, o dolarze i o pogodzie w Genewie.

„Ten McFarlane, to oryginał” - myśli Fryderyk wyciągając się w skórzanym fotelu i błędząc wzrokiem po Manhattanie. W oczach administracji amerykańskiej to człowiek poważny i w najwyższym stopniu sprawny, a ponadto przystojny i elegancki, pomimo iż zbliża się do wieku krytycznego, kiedy ciało zazwyczaj ulega degradacji. Prowadzi swoje interesy z pewnością siebie spokojną, pogodną i skrytą. North wie o nim niewiele poza tym, że jest przywiązany do wolności, że przebywał na Uniwersytecie Harwardzkim, brał czynny udział w wojnie wietnamskiej i kontrrewolucji chilijskiej. Wie również, iż Fryderyk posiada biuro w Genewie i pracuje na rzecz Citi-corp, Deutsche Bank i Barclays Bank, a przede wszystkim, że stosuje zasadę hermetyzmu, jak każdy dobry i szanujący się bankier szwajcarski.

Fryderyk wygląda na szczęśliwego. Operacja „Recovery” otwiera

\* Towarzystwo Inwestycji i Kredytów dla Rozwoju Wybrzeża Moskitów. (Przyp. tłum.) przed nim nęcące perspektywy przede wszystkim na polu inwestycji. To staje się łatwe, kiedy jest się z góry poinformowanym o zamiarach danego rządu. Grając do godziny szóstej na zwyżkę w Tokio, do siódmej na Wall Street\*, do dwunastej w Londynie i do osiemnastej w Paryżu - gra na zniżkę, nie zostawia jednak beczynninie zysków osiągniętych z uprzednich operacji giełdowych.

Jego dewizą jest grać, ale nigdy nie pokazywać się w towarzystwie ludzi podobnych sobie. Samotny, wydaje w tajemnicy rozkazy swym agentom i otrzymuje zlecenia od Northa. Jest przewidujący, chce być panem sytuacji i zdumiewa go euforia innych inwestorów. Świat finansów żyje na wulkanie: wysokość całości pożyczki przyznanej przez piętnaście największych banków amerykańskich dwudziestu sześciu krajom rozwijającym się stanowi sumę trzykrotnie wyższą od rezerw posiadanych przez te organizmy finansowe.

Fryderyk się uśmiecha; ludzie budują, kupują, sprzedają, tworzą imperia za pieniądze nie mające żadnej wartości. Po chwili jego czoło się chmurzy. Myśli o zgniliźnie, jaką rodzi ten system; już teraz narody karmią się do syta szczątkami zwłok i nikt nie dostrzega, że wkrótce pozostaną tylko kości do ogryzania. Manhattan. Tutaj wszystko się zaczęło i tutaj zacznie się na nowo. Znów spogląda na to skupisko wieżowców tonących we mgle, a myśli jego biegną do Clarence'a Hatry'ego, człowieka, który ustanowił władzę nad przemysłem fotograficznym, automatami do gier i różnymi spółkami finansowymi; detonatorem kryzysu w 1929 roku było pozorowane bankructwo tego człowieka. Nieznaczną rysa na gmachu finansów. Było to niczym w porównaniu z tym, co mogłoby nastąpić w przypadku bankructwa wielkiego banku amerykańskiego w nadchodzących latach. Całkowita zmiana byłaby nie do uniknięcia, o ile mechanizm polega na zaufaniu zbiorowym. Masowa sprzedaż akcji zawsze wywołuje zniżkę,

każdy próbuje uratować swój kapitał przez natychmiastową sprzedaż, która przyspiesza załamanie się kursu, a więc stratę dla wszystkich. Być może istnieją na świecie ludzie przygotowujący ten upadek ostateczny, krach, w którym nie będzie stawki w sensie spekulacyjnym tego słowa, a stworzenie nowego świata.

\* Siedziba giełdy nowojorskiej. (Przyp. tłum.)

Fryderyk potrząsa głową. Nowy świat? Dlaczegoż by nie? Pod warunkiem, że się będzie panować nad wszystkimi wydarzeniami i wyprzedzi tych, którzy pragną władzy.

2

Lyon, 29 października 1983

Melchior opiera dłonie na brzegu trójkątnego stołu. Czuje przez skórę chłód marmuru. Stół jest niebieski, gładki i lśniący, podobny do szarych nagrobków, które widział w Atenach..., a może w Ankarze... nie pamięta już dokładnie, gdzie.

Litera „phi”, z czubkiem skierowanym na południe, jest wyrzeźbiona na jednym z rogów. Jest mu wiadome o tej literze-symbolu, że emituje potężne fale, a jednak wcale w to nie wierzy.

„To brak konsekwencji - myśli. - Nie wierzyć temu w tym momencie jest niedorzecznością”.

Uchwycił się masywnego, ciężkiego stołu, osadzonego w kobaltowym piaskowcu, którym jest wyłożona podłoga. Zawsze go widział w tym miejscu, niebieskoszary stół w tym niebieskim pokoju, niebieski wśród niebieskich przedmiotów. Niebieski jak ubiór staruszki siedzącej naprzeciw, nierealnej i nieustraszonej. Ten kolor i ta kobieta są nie z tego świata, przywodzą na myśl wieczność spokojną i wyniosłą, nieludzką.

„Po co tu jestem?” - zadaje sobie pytanie. Raz do roku, od lat dwudziestu, przychodzi do tego domu w starym Lyonie. Czego szuka? Czy nie posiada wszystkiego, czego pragnie na tej ziemi? Kiedy stąd wychodzi, nie odczuwa ani ulgi, ani rozpaczy, ani strachu... ani radości.

Wychodzi stąd zawsze bardzo szybko, unosząc z sobą kilka myśli rzuconych bez ładu w jakiś zakamarek mózgu, kilka myśli, które stara kobieta wyciąga z przyszłości. Czasem, przeniknięty słowami o śmierci, jest skłonny przypuszczać, że umrze, przechodząc przez ulicę, i zatrzymuje się na skraju jezdni i trotuarów w dość niewygodnej pozycji, z obcasami na krawężniku, a zelówkami zawisłymi w próżni, ze wzrokiem utkwionym w pojazdy. To nigdy nie trwa długo, tylko do chwili opuszczenia Lyonu. W dzielnicy Bronx, kilka kilometrów od centrum, już o tym nie myśli.

Zwiędła twarz kobiety kurczy się pod pudrem i szminkami, pokrywającymi zmarszczki.

Czerwona linia ust załamuje się ukazując ciemny zarys zębów, kiedy coś mamrocze do siebie, zanim przystąpi do gry we wróżbiarskiego taroka, na maleńkim stoliczku na jednej nóżce, przykrytym fioletowym jedwabiem. Długie dłonie o karminowych paznokciach rozkładają na marmurze stolika czarne karty, zbierają je, tasują. Melchior, zafascynowany, wodzi oczami za ruchem palców pozbawionych pierścieni, za ruchem kart, przypominających ostrza, które się usuwają, żeby zrobić miejsce dla innych kart.

Kobieta starannie tasuje karty, ten rytuał jest święty i niezmienny, gdyż niedokończony akt magii przyciąga nieuchronnie nieszczęście. Zamyka oczy, gdyż musi pograżyć się w ciemności, zanim odda się medytacji. Trwa w zadumie nad arkanami wiedzy. Jej długie, srebrzyste włosy opadają i tworzą skomplikowaną sieć na jej ramionach. W oddali-zegar wybija godzinę i wstrząsa całym domem.

- Proszę przełożyć! - mówi nagle kobieta. - To szósta godzina, duch trwa nieruchomy.

Głos brzmi dziwnie, wprost przerażająco, ale Melchior nie jest człowiekiem, na którym może wyrzeć wrażenie. „Nie da się wpływać na mnie za pomocą słów, Marto” - myśli

uśmiechając się chłodno, zanim przełoży karty. Jego lewa ręka zaciska się na talii kart.

Mierzy je wzrokiem po przełożeniu, a w jego oczach pojawia się twardy i gorączkowy błysk.

Jak daleko sięga pamięcią, zawsze miał szczęście w kartach. Może swoją tajemną mocą wyrównują jego wyraźne słabości.

„Czy mam jakieś słabości?”

Czyżby on, Melchior Saschauer zaczynał wątpić w wieku czterdziestu ośmiu lat? Wszyscy ludzie stosują się do jego wymogów. Ci, którzy się opie rają, zostają doprowadzeni do bankructwa za pomocą serii operacji równie tajemniczych, jak nie dających się skontrolować, których sekret jest w jego posiadaniu. W ciągu dwudziestu sześciu lat, używając przybranych nazwisk, pod osłoną fałszywych spółek, opierając się pośrednio na bankach skandynawskich, niemieckich i amerykańskich zbudował imperium. Dziś ma udziały w stu trzydziestu trzech krajach, a zakres jego działania rozciąga się od uzbrojenia do rolnictwa, nie pomijając genetyki i informatyki. Aby to wszystko utrzymać, otoczył się oddanymi pomocnikami, nieuczciwymi ludźmi interesu i kreaturami pozbawionymi skrupułów, które żyją dostatnio z okrawków dochodów z prowadzonych przezeń spekulacji; łatwo może wszystkich kontrolować, gdyż zna dokładnie źródło zła, które drażni jednych i drugich: żądze władzy.

Przesuwa rękę na bok i kładzie przed Martą dziesięć kart. Już nie wątpi. Już nie czuje, że jego możliwości są ograniczone. „Zmienię świat!” Taka jest jego wola, to postanawia; i pomyśleć tylko, że jego koledzy i współpracownicy uważają go za ubogiego krewniaka świata finansów, jakiegoś szarego prezesa czy dyrektora generalnego, stojącego na czele malutkiego banku szwajcarskiego NBHT\*.

Marta bierze ponownie obie talie i rozkłada je w wachlarz.

- Proszę wybrać dwanaście kart.

Posłuszna rozkazowi wróżki lewa ręka Melchiora wybiera karty. Robi to szybko i z nieprawdopodobnym opanowaniem. Niejasny instynkt podpowiada Melchiorowi, że zachowa chwiejną pewność umysłu, o ile nie będzie próbował nią kierować. Wszelako przez ułamek sekundy zastanawia się, przeznaczenie wydaje się mu operacją finansową. Chce uzyskać przewagę korzystając ze zmienności trafu, powodzenia, szansy, czasu i przestrzeni. Jego ręka waha się, a potem przyspiesza swój wybór... Skończone.

Od tego momentu Melchior nie może oderwać uwagi od ukrytej przyszłości, którą ułoży w dwa rzędy po sześć kart. Nagle narasta w nim niepokój, którego przyczyny nie może określić. Marta zwleka. Zdaje się oceniać treść informacji, którą niedługo odsłoni. Jej czarne oczy, w których utrwalone są, niczym chroniczna choroba, obrazy nadchodzących miesięcy, wciąż wpatrują się w pierwszą kartę. Wreszcie decyduje się ją odkryć.

- Wiedziałam, że tak będzie mówi.

Piętnasta karta. Diabeł, który trzyma pochodnię nad dwiema istotami przywiązany do piedestału, patrzy na nią. Tak, jak patrzy na nią Melchior. „Doszedł wreszcie do przeczucia zła” - myśli wróżka wpatrując się w swego klienta.

- To obsesja! - wybucha. - Dlaczego chce pan unicestwić to, co pan zbudował? Ponosi pana upojenie dezinspiracją, czynami niebez-

\* Nowy Bank Helwecki w Tiefencastel. (Przyp. tłum.)

piecznymi. Mam... widzę... Nie! - wykrzykuje odwracając Księżyc i Śmierć.

- Co się stało?

- Nie chcę mówić dalej.

- Dlaczego?

- Z zasady... Nie chcę mówić o złu. U pana stało się ono istotą autonomiczną, zdolną do interwencji w zamiary pańskiego ego.

- Ale pani mi odgrzebuje całego Junga!

- Proszę nie żartować - mówi Marta odsłaniając mimowolnie inne karty.

W VIII ukazuje się straszliwy Dom Boży wywołując grymas Melchiora. Obrazy łączą się z symbolami, czas płynie.

- Pańska inteligencja jest w trakcie stawania się monstrualną całością, rodzajem złego, sztucznego bytu, który chce pan stworzyć, aby zniszczyć nie wiem kogo, nie wiem co...

- Proszę nie ufać pozorom, życie nigdy nie dało mi wiele. Nigdy też wiele od niego nie żądałem. Jeśli zechcę odwrócić jego bieg, trzeba bym zmienił mój cały świat. Być może niszcząc go. Widzi pani, Marto, nigdy tak naprawdę niczego nie pragnąłem. To znaczy w sposób absolutny, całkowity, który z pragnienia czyni ultimatum.

- Widzę jakieś dziecko - szepcze Marta, porównując karty... Potwierdza to Cesarz, który jest w XI.

- Przekroczyłem już wiek rozrodczy.

- Widzę dziecko, a ono jest śmiercią. Za wiele niebezpieczeństw wokół pana, za wielu wrogów, za wiele sideł... Nie chcę mówić dalej.

- Dobrze, Marto, teraz wiem już dosyć.

Wykonuje niedbały gest ręką, jakby opędzał dym. Jednak, mimo pozorów, szanuje wróżbę. Marta z lekka skłania głowę ku kartom, wychodzi na spotkanie sił, które z nich emanują. Śledzi je. To szybko staje się u niej poczuciem istnienia w ciele drugiego człowieka, bycia inną duszą, zdarzeniem, marzeniem, myślą, chęcią, czasem, który mija, i samym Melchiorem. Zamyka oczy, aby wyraźniej dostrzec, co go spotka od wewnątrz. Widzi przechodzącą kobietę w mundurze, drewnianą tablicę z napisem „Ojo del Alamo”; przelatuje nad ogromnym miastem obleżonym przez ogromny tłum uzbrojonych wieśniaków... Spostrzega Melchiora na Wall Street, potem w nowojorskiej dzielnicy Bronx wraz z murzyńską uliczką, jaskrawo wymalowaną i nagą pod obcisłą, połyskliwą siatką. Teraz widzi go wśród ludzi Kościoła, jak śpiewa hymn „Kehret um und ihr werdet leben”\*. Słyszy, jak Melchior wygłasza przemowę, z której ona nic nie rozumie: „Mam wszelkie podstawy, aby przypuszczać, że zadłużenie światowe osiągnie tysiąc trzysta miliardów dolarów pod koniec osiemdziesiątego szóstego roku, czy wiecie, panowie, co to oznacza? Dwanaście procent dochodu światowego to prawie połowa eksportu światowego, to bomba, która może wysadzić trzy największe banki amerykańskie, Chase Manhattan Bank of America i Citicorp, a na dodatek cały system monetarny naszej planety. Tymczasem ta bomba jest nieszkodliwa, gdyż nikt nie zna sposobu uruchomienia jej zapalnika...”

Stara się poznać jego sekrety; wygląda na to, że Melchior dąży do zaspokojenia swego umęczonego umysłu... Umęczonego? Marta usiłuje wnikać jeszcze głębiej, lecz umysł Melchiora jest tak daleko od niej, jest tak skomplikowany, że wróżka traci całą realność. Otwiera oczy i patrzy na niego. Kim on jest? Aniołem zagłady? Czy to na niego czekała? Czy to on ją wyzwolił? Chce się bronić przed dalszym zatapianiem wzroku w jego oczach, ale już jest za późno, obraz się w niej utrwalił. Prawda jest taka: Melchior to przeznaczenie. Marta ma dość siły, aby mówić z pewnością siebie i zachować swój zwykły chłód, niczym nie okazać niepokoju, który ją ogarnia.

To będzie nasze ostatnie spotkanie, moja ostatnia porada. Po panu nie przyjmę już nikogo. Melchior potrząsa głową nie dziwiąc się decyzji starej kobiety; odgaduje nawet, że ona poprosi go o przysługę.

- Jestem chora.

- Wiem. Pani ma raka.

- Skąd może pan to wiedzieć?

Zawsze zasięgam informacji o ludziach, z którymi się spotykam.

- Potwór z pana.

I właśnie z powodu tej choroby mogę być pani potrzebny, czy tak?

Tak...

\* Nawróćcie się. a będziecie zbawieni. (Przyp. aut.)

- W bajkach potwory bywają czasami przyjaciółmi ludzi.

- Nie... nie. Pan roztacza wokół siebie tylko obsesję. Nie lubię pana. Nie lubię pańskiej twarzy. Jest pan zbyt egoistyczny, zbyt zuchwały, zbyt niebezpieczny, zbyt inteligentny, zbyt pewny siebie. Pańskie miejsce jest nie w baśni, lecz w historii ludzkości i w tym, co w niej najbardziej brutalnego i najmroczniejszego.

Przyjaciel, Marto, to przeciwieństwo boskiej opatrności.

Pokonana Marta garbi się, zakrywa twarz dłońmi i wybucha łkaniem. Charyzmat, którego dowody dawała przez tak długi czas, ulotnił się. W jednej chwili upodabnia się do swych najbardziej zrozpaczonych klientów, do istot, których świat się załamał. Podnosi głowę. Łzy zabarwione tuszem nakreśliły bruzdy w różowej, białej i czerwonej szmince, która odmładzała jej rysy. Pozostało jednak dość różu, żeby ukryć jej zmęczenie i sekrety trudnego życia.

Melchior zatapia swe jasne spojrzenie w jej oczach. Teraz on jest panem sytuacji. Wróżka boi się trochę i drży, jak światełko jedynej świecy, którą zapala przed seansem. Porusza wargami wzywając niedosłyszalnym głosem opieki Boga. Kości zostały rzucone. Nadeszła chwila krytyczna. Marta czuje, że Melchior jest u kresu cierpliwości.

Sylwetka Melchiora rysuje się jak mroczny cień, znieruchomiały nad kartami taroka, z dłońmi leżącymi płasko na marmurze. Czego pani by chciała? - rzuca nagle pytanie. Zniknąć.

- Zniknąć?

- Opuścić ten świat jak należy i bez cierpienia. Naświetlanie mnie spaliło, przeżarło. Niektóre analizy były prawdziwą torturą. Lekarze zalecają kurację chemioterapeutyczną. Mam już dosyć znoszenia ich eksperymentów. Szpital to dziwne miejsce skupiające ludzi wszelkiego rodzaju, których łączy cierpienie, są ze sobą prawie „na ty”, ale ich przyjaźń nie wykracza poza poczekalnie. Medycyna uczy ludzi wolnych, jak mają się stać niewolnikami, jej techniki są doskonale przystosowane do zniewolenia ciała i umysłu. Nie chcę do tego dojść; mają prawo mnie skazać, ale nie mają prawa wyboru broni, jaką mnie zniszczą. Ten wybór należy do mnie.

I ma to być wybór za moim pośrednictwem. Przeznaczenie - odpowiada ona wykonując nieokreślony gest w stronę czegoś niewidzialnego.

Bal bankierów

17

Melchior jest nieco wstrząśnięty, nie z racji tego, co ona mówi, lecz ze względu na powód, który ją do tego skłonił: ta niewidzialna rzecz której on nie jest świadomy, to coś nie nazwane, co rządzi, wydaje się rządzić ich życiem.

- Przyjmuj? - odpowiada, gdyż wydaje się, że nie ma możliwości wyboru... ~ a'e Poa" jednym warunkiem.

- Jakim? - niepokoje się Marta.

Ze na pamiętkę po pani zabiorę tę kartę ze sobą. I zagarnia Diabła.

Marta przygryza wargi. Więc on identyfikuje się ze złem. To dlatego nie udaje się jej przeniknąć jego istoty, zawsze odmawiała konfrontacji ze zjawiskami metafizycznymi pochodzącymi z mroków.

- Niech pan go zabiera. Jeśli pan tego pragnie. Ale proszę nigdy nie zapominać, że jest on symbolem wszystkich kłamliwych twierdzeń i wszystkich jałowych zaprzeczeń.

- Właśnie dlatego mnie interesuje... Już się więcej nie zobaczymy, Marto - rzuca te słowa podnosząc się z fotela.

Spogląda po raz ostatni na błękitną dekorację, która się pogłębia i rozszerza u źródła światła, pomiędzy dwoma oknami, tworzącymi ramy dla prymitywnego wyobrażenia Chalchintliene, azteckiej turkusowej bogini. Kiedy otwiera pokryte turkusową laką drzwi, rzuca lodowatym tonem:

- Jeszcze coś, Marto... Zastosuję się do naszej umowy, ma pani jeszcze osiem dni życia, i to nie jest kłamliwe zapewnienie.

Po trzech dniach

Melchior Saschauer zaczyna nienawidzić tego miasta. Za oszklonym wykuszem okiennym swego pokoju stoi wyprostowany, nagi, na najwyższym piętrze budynku, niczym Bóg zamieszkujący wierzchołek skamieniałej fontanny granitu i szkła nad Nowym Jorkiem i spokojnymi wodami East River. Czarna woda jest nieruchoma, drapacze nieba drżą. Widziane z tak daleka ulice wydają się wąskimi wstążkami płomienistej stali, dzielącej miasto na części.

Czuje ogrom i pychę tego miasta. Czuje, że wznosi się ono aż ku obłokom. Budynki kończą się w niebiosach i całe miasto, zakotwiczone u stóp Ameryki, wydaje się być zawieszona w przestrzeni niczym pływająca w próżni wyspa.

Z tej wyspy, będącej symbolem kompleksu wyższości, który rozwinął w sobie jeden naród, kiedy był jeszcze wszechpotężny i nie do obalenia, wciąż jeszcze płyną rozkazy przytłaczające świat. Podobnie jak innego rodzaju rozkazy wychodzące z Moskwy, drugiej zagubionej wyspy w centrum starego kontynentu.

Moskwa i Nowy Jork, ZSRR i Stany Zjednoczone. Przeciwnostawne i podobne. Wrogie, ale uzupełniające się. Dwa supermocarstwa trwają w tym samym bezruchu, jaki obserwuje się czasami, kiedy zmierzają się ze sobą dwie równe siły i kiedy ustali się pomiędzy nimi równowaga bardziej dynamiczna od ruchu.

Wystarczyłoby - Melchior zamyka oczy - złamać tę równowagę. Stworzyć nową siłę po wysadzeniu obu bloków w powietrze. Myśli o tym już od tak dawna. A przed nim rozważał to jego ojciec.

„Biedny ojciec” - wzdycha Melchior. Był utopistą; wierzył, iż o ekspansji ekonomii światowej nie będzie decydowała wola narodów najbogatszych, że nabierze ona nowego rozmachu po wejściu młodych narodów. Należał do tego pokolenia bankierów, które dzisiaj już znikło, do ludzi, którzy chcieliby dać biednym możliwość wzniesienia się w hierarchii społecznej. Próbowali tego na swój sposób, respektując reguły, prawa, instytucje i swoje najświętsze ideały. Nie udało się im.

Te dwa bloki i ich satelici bardziej niż kiedykolwiek deptają inne narody. Ich przywódcy mają akurat tyle pasji, aby ocenić, że opłaca się zadawać cierpienia innym ludziom dla zaspokojenia swoich pragnień, dla zachowania władzy. Puszczając świat z torbami to jedyna rzecz, którą potrafią robić ze swego rodzaju genialnością.

Melchior uśmiecha się na myśl o tym, co nastąpi, kiedy równowaga zostanie zburzona. Stany Zjednoczone i ZSRR, i cała klika przeróżnych aliantów pogrążą się w nicości, dopóki nie powstanie nowa gospodarka światowa, a mądrzy ludzie wszystkich ras i wyznań połączą się dla dobra ludzkości.

On musi zburzyć tę równowagę, nawet jeżeli jeszcze nie potrafi przewidzieć konsekwencji takiego czynu.

To jego wyznanie wiary.

Wie, że jest to trudne, że musi spoglądać wprost w przyszłość i przygotować nowe plany działania. Cokolwiek się zdarzy, będzie sam, ale może to osiągnąć, gdyż wszystko jest jasne w jego umyśle i sercu, decyzję podjął już dawno, a nie jest człowiekiem, który się wycofuje.

Jego białe i kanciaste ciało przyciśnięte do szyby rysuje się na tle nieba. Tuż obok niego, niemal w zasięgu wyciągniętych ramion, wysokie wieże w objęciach zgęstniałej teraz mgły. Melchior już się nie uśmiecha, a jego umysł uświadamia sobie w pełni siłę tego miasta i własną siłę, ogromną w tym momencie. Jego oblicze da się porównać z prawem wszechświata, którego nie można ani kwestionować, ani zmienić, ani ubłagać. Jasne oczy są spokojne, zimne, stwardniałe, aż po mikroskopijne czarne diamenty źrenic, usta ma pogardliwe, gotowe do pokazania ostrych zębów; są to usta zbawcy albo anioła zagłady.



Tam, za oceanem, mógłby być kimś takim jak Kaddafi albo Ghor-banifar\*, ludzie, których głęboko nienawidzi, a którzy podają się za jego przyjaciół, są do niego podobni, ale odczuwają niezdrową radość na widok ziemi w płomieniach i krwi, dzieła mrowia fanatyków. „Ten świat musi zniknąć” - rozmyśla.

Ta obsesyjna myśl wbija mu się w czaszkę. Chciałby z tym skończyć jednym pstryknięciem palców i przyspieszyć nadejście tej cywilizacji, którą wyobraża sobie jako szczęśliwą, daleką od ideałów politycznych, daleką od kultu pieniądza, od kultu mas, otwierającą się wreszcie na miłość bliźniego. Przejście będzie trudne. Kiedyż więc zacznie się to wszystko, jeżeli musi się zacząć pewnego dnia? I czy to wszystko nie skończy się na cierpieniu? Czy wreszcie przyjdzie szczęście? Jaki dreszcz go przebiegnie, kiedy te systemy się rozpadną, kiedy dwa bloki, ginąc, rozleą się na tysiąc kawałków pod ciosem Wielkiego Kryzysu?

Nie ma o tym najmniejszego pojęcia.

„Nie zmienia się w ten sposób historii ludzkości - mówi sobie. - Powinienem odczuwać wielkie uniesienie albo zdrowy strach. Powinienem przeczuwać swój własny koniec wraz z końcem tego świata.”

\* Irański handlarz bronią i tajny agent. (Przyp. tłum.)

To przypomnienie go nie wzrusza, pozostaje zimny jak lód. To niezbędna strona jego zawodu bankiera, strona, która polega na zachowaniu pozorów i praktykowaniu nadludzkiej czciogodności, zgodnie z własnymi słowami J. M. Keynesa\*. I to jest prawdziwe, nawet jeśli ta strona należy do tego drugiego, jego drugiego „ja”, bez którego nie może się obyć dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Tego, który ogranicza kraje do cyfr, a narody do współczynników. To inny człowiek, tkwiący w pokrępowanej sieci łączności i porównań statystycznych, powiązany z natury rzeczy z przywódcami najbogatszych krajów, sprawny w centrum międzynarodowego zinformowanego świata finansów i mogący przerzucać pieniądze i pomysły w każde miejsce na globie ziemskim w przeciągu kilku sekund, kiedy tego żądają jego „przyjaciele”.

On nie lubi tego drugiego, ale nim się posługuje. A ten drugi bynajmniej nie lubi jego. Dwóch w jednym wciąż walczy o należne im miejsce w jego sumieniu. Od zawsze.

3

Październik był ciężki. Prezydent Republiki czuł się zmęczony. Gdyby nie ofiarował tyle swej miłości Francji - wycofałby się.

„Zobaczmy” - wzdycha otwierając teczkę dotyczącą Libanu. A tymczasem musi stawić czoło. Ma nadzieję, że listopad nie przyniesie niespodzianek. Ale powątpiewa: w bieżącym miesiącu nastąpił desant marines na Grenadzie, miały miejsce historie z ciężarówkami-mi-pułapkami w Bejrucie, odbył ryzykowną podróż do miejsc zamachów, później - szczyt francusko-afrykański w Vittel w cieniu wydarzeń w Czadzie i jeszcze tysiąc drobnych zobowiązań, które rządzą jego powszednim życiem.

Opuszcza swój gabinet i udaje się do bunkra Pałacu Elizejskiego. O wyznaczonej godzinie oznajmiają mu przybycie interesantów. Jego twarz sztywnieje. W każdej sytuacji umie dowieść umiejętności rozróżniania, ocenia sytuację szybko i dobrze. Ci, którzy go znają,

\* Z jednej strony w bankierze odzywa się cecha ludzka, z drugiej bankier wypiera ludzki odruch. (Przyp. tłum.)

mogą natychmiast określić stopień jego determinacji po twardości spojrzenia. W tym właśnie momencie jego spojrzenie nabiera ostrości, co ma oznaczać: „Ważne jest to, aby chcieć wymóc poszanowanie prawa, wymusić jego przestrzeganie, być nieugiętym i nieprzejednanym w jego stosowaniu. Ważna jest chęć zmuszenia terroryzmu do odwrotu wszędzie, gdzie on się kryje, tępienia go aż po jego korzenie. Wiemy, że on może nas jeszcze osiągnąć. Nadejdzie taki dzień, kiedy padnie pod naszymi ciosami.”\*

Charles Hernu\*\* pojmuje go natychmiast. Prezydent ścisnął dłoń jemu, a potem swemu szefowi sztabu, generałowi Saulnier, następnie protektorowi DGSE\*\*\* admirałowi Lacoste i

szefowi armii, generałowi Lacaze. Po zwykłych formalnościach i przypomnieniu sytuacji prezydent zwraca się do swego ministra o pewne wyjaśnienia.

- Wciąż ten sam ślad - odpowiada minister. - To są wojujący szyici, ekstremiści proirańscy, którzy dokonali zamachu na rozkaz ich szefa Husseina Moussaoni z poparciem Damaszku.

- A co pan zaleca?

- Kontratak na ich terenie.

Francois Mitterand zachowuje przez chwilę milczenie, rozważając następstwa ataku francuskiego w Libanie.

- Załatwione. O mojej decyzji dam wam znać piętnastego listopada. Określcie możliwe cele i środki, jakimi je osiągnąć. Chcę mieć dokładny raport w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Otrzyma go pan za dwadzieścia cztery godziny - odpowiada Hernu spoglądając na swych współpracowników i na generała Saul-niera, którzy już od dawna rozważają tę kwestię.

- Terroryzm musi zostać zwalczony; nie możemy, nie powinniśmy prowadzić negocjacji z barbarzyńcami - mówi nerwowo prezydent.

- Admirał Lacoste ma do zakomunikowania nam ciekawą informację na ten temat.

Prezydent podnosi głowę. W przeciwieństwie do Charlesa Hernu nie ma bezgranicznego zaufania do szefa służby wywiadowczej: admirał kierował sprawami wojska w gabinecie Raymonda Barre'a.

\* Przemówienie z 17 sierpnia 1982 r. (Przyp. aut.) \*\* Charles Hernu - minister spraw wojskowych. (Przyp. tłum.) \*\*\* DGSE (wym. deżese) Direction Generale de la Securite Exterieur - Główny Urząd Bezpieczeństwa Zewnętrzne. (Przyp. tłum.)

Jednakże znajduje w nim o wiele więcej cech zawodowca niż w jego poprzedniku Pierre Marionie.

- Słucham pana, admirale.

- Stany Zjednoczone szykują się do prowadzenia negocjacji z Iranem.

- Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z wagi tego oskarżenia, admirale?

- Mamy na to dowody. Ta operacja nosi nazwę „Recovery”. Administracji amerykańskiej chodzi o dostarczenie Teheranowi pewnych ilości bardzo ważnych dlań broni.

- Skąd pan uzyskał te informacje?

- Mamy agentów wewnątrz CIA... \* i pracujemy z nimi, jak panu wiadomo, w ramach operacji antyterrorystycznej, aby położyć kres machinacjom Carlosa i Abu Nidala.

- Co jeszcze pan wie?

- „Recovery” wchodzi zasadniczo w kompetencje, i nie jest to przypadek, naszych szwajcarskich przyjaciół.

- Banki?

- Tak, aby wybielić działalność niezgodną z wolą Kongresu i narodu amerykańskiego, Rady Nadzorczej Bezpieczeństwa Białego Domu. Sekretarz Robert McFarlane powierzył zorganizowanie tej operacji niejakiemu Fryderykowi Detmerowi z Genewy. Oczywiście Izrael będzie miał w tym udział, ale nie wiemy jeszcze, jaką odegra rolę w „Recovery”.

- Dziękuję, admirale... Jak widzicie, panowie, Stany Zjednoczone ponownie dają dowód dwoistości postępowania. To nie ma znaczenia, pozwólmy im działać, jak chcą.

Kompromitacja Waszyngtonu może posłużyć interesom Francji.

- I Szwajcarii - dodaje Hernu. - Ten kraj to prawdziwy nerw terroryzmu. Jego banki ciągną pieniądze z terroru i rozdzielają je dla jeszcze większego terroru.

- Panie ministrze, czy mam panu przypomnieć, że nasze zadania są w Libanie, a nie w Szwajcarii?... Nie, oczywiście... Ale to nie zabrania panu interesować się przypadkiem pana Detmera.

- Nie zaniedbamy tego - odpowiada Hernu z uśmiechem.

\* CIA - Central Intelligence Agency Centralna Agencja Wywiadowcza. (Przyp. tłum.)

W odniesieniu do jego „interesu” określenie „filia” Citicorpu czy jakiegoś innego banku wydaje się niewłaściwe. Chodzi wszak o mikroskopijne stowarzyszenie, którego udziały są w posiadaniu ludzi zaufanych. Wszelako odpowiada to doskonale dążeniom Fryderyka Detmera, który nie pragnie być kimś znanym w Genewie. Zostawia zresztą swemu zastępcy zajmowanie się wszystkim, to znaczy zaspokajaniem nielicznej klienteli przez tworzenie towarzystw w rajach, jeśli chodzi o podatki, rozsianych na naszej planecie. Dla innych spraw wystarcza sekretarka oraz informator.

Rzut oka na kalendarz przypomina mu, że ma spotkanie z bliżej nie określonym dyrektorem towarzystwa saudyjskiego, który jest nikim innym (pod fałszywym nazwiskiem) jak bratankiem Chomei-niego. Osoby lokujące kapitał zawsze chcą znaleźć towarzystwo eksploatujące stosunkowo nową i mającą piękne widoki na przyszłość gałąź przemysłu, jednak tylko nieliczni angażują się w tę wartość idealną, jaką jest Bóg, którego fabryki - meczety i kościoły - są dzisiaj nie w pełni użytkowane. Fryderyk już dawno to zrozumiał. Łatwo jest mieć do czynienia z ludźmi, którzy chcą za wszelką cenę kupić raj, zwłaszcza jeśli korzysta się z przywileju przebywania na ziemi szwajcarskiej, a więc z niezwykle sprzyjających zarządzeń prawa miejscowego.

Fryderyk odkłada kalendarz, otrząsa się z myśli, pozdrawia Mi-chela, swego zastępcę, i opuszcza biuro. Nie wie, kiedy wróci. Michel jest do tego przyzwyczajony, czasami szef jest nieobecny przez cały miesiąc, ale to stanowi część regulaminu firmy.

Po przejściu Rodanu szuka punktu orientacyjnego. Dzielnice, znajdujące się przed nim, mają wszystkie atrybuty godności bur-żuazyjnej; próbuje wyobrazić sobie banalne życie swych współziomków tyjących w pięknych budynkach równo ustawionych wzdłuż szerokich ulic. Przecinając miasto myśli o tych wszystkich papierach wartościowych spoczywających w kasetach, których by wystarczyło na rozwinięcie całej gospodarki w Afryce.

Genewa sama jedna jest bogatsza od całej Europy. Trzeba zatelefonować do H... Powinien zrobić to natychmiast. Przypadkowo budka telefoniczna znajduje się na jego drodze; wchodzi do niej.

Mężczyzna o tłustych, przeredzonych włosach, ubrany w szary garnitur, siedzi z tyłu ciężarówki jadącej powoli długą aleją. Jego wielkie ręce mocno ściskają najnowocześniejszy aparat fotograficzny. Wstrzymuje oddech, przebiega trzema palcami po dziwnie przerobionej obudowie, z której wychodzą elastyczna antena i pręt zakończony miniaturową posiatkowaną kulą.

„Go! Go! Okay, Domino... Daj trochę w lewo, por favor...”

Wygląda na to, że dużo wypił, ale to tylko wrażenie. Twarz ma bladą, oczy nalane krwią wpatrują się w celownik i ekran nie większy od znaczka pocztowego. Światło ulicy - dużo słońca i oświetlonych witryn - nieznacznie tylko zmienia natężenie i mężczyzna ma stale dobre warunki do robienia zdjęć. A nie zawsze tak się dzieje: czasami żąda się od niego „uwiecznienia” klientów w nocnych klubach przy rubinowym świetle laserów lub w mrocznych lasach. Wstrętne zajęcie, a jednak on to lubi. Przeklęty aparat, ale nie może bez niego się obyć. To przyzwyczajenie, te służbowe aparaty, a zwłaszcza ten wspaniały japoński mechanizm, przemycony przez ekspertów ministerstwa, stanowi naturalne przedłużenie jego zmysłów słuchu i wzroku do tego stopnia, że bez niego zdaje się być głuchy i ślepy. Trzeba by połączyć ten aparat z jego mózgiem, co ułatwiłoby mu koncentrację podczas polowań na ludzi. Nie obchodzi go nic więcej poza ujmowaniem w ramki pysków łajdaków, których jego szef każe mu fotografować, a on nie ma równego sobie w odsłanianiu ich wewnętrznej dwoistości, ich wad i słabostek. Jego klisze warte są swej wagi w banknotach studolarowych, i mężczyzna zdaje sobie z tego sprawę.

Jednak w tym momencie ma wątpliwości co do swej pracy. Człowiek, którego ma na końcu swego potężnego obiektywu, nie przejawia więcej życia niż woskowy manekin. Zalewa go nagła krew. To bezduszny łajdak! - złorzeczy.

Pomiędzy dwoma trzaskami aparatu jego słuch odróżnia chrzęsty w odbiorniku przytwierdzonym nad obudową.

- Jean-Pierre, Jean-Pierre - nawołuje głuchy głos.

- Tak. Maupassant. słyszę cię zgrzyta do małej osiatkowanej kulki, wiszącej przed jego ustami.

- On właśnie wchodzi do budki telefonicznej.

Wkurzasz mnie. Maupassant. nie jestem ślepy... Płacą mi za podglądanie. Zatrzymaj ciężarówkę.

- Spróbuj dojrzeć, dokąd on telefonuje.

Niemożliwe. Ten łajdak Domino zasłania mi tarczę cyfrową.

- Przestań traktować go jako łajdaka.

Jean-Pierre się zasepia. Jak inaczej mógłby go nazywać? „Gracz w domino”, jak go oznaczają w teczce Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, czy po prostu „Domino”, tak jak jest zakodowany przez speców Mitteranda? Chyba że nie poprzestanie na imieniu Fryderyk Detmer. Jean-Pierre uśmiecha się z gorzkim sarkazmem. Imię tego zgniłka zdaje się pasować do wspaniałej roli imperatora, skomplikowanej, pełnej namiętności i prawdopodobnie forsy. Zwłaszcza forsy. Jego akta podają, że jest bankierem, nieżonatym, przywiązany do tradycji, prowadzącym życie skromne, zawoalowane cnotliwymi ideami i humanizmem. Uruchamia wyzwalacz swego aparatu: Fryderyk właśnie zawiesza słuchawkę i wychodzi z budki.

Zbliżenie, jeszcze większe zbliżenie, aż wreszcie mroczne i przenikliwe spojrzenie mężczyzny wypełnia całe pole. Jean-Pierre stara się na próżno wyłowić przelotne pragnienia, które się rozmywają w źrenicach jego zdobyczy. Porażka! Potrójna porażka! Fryderyk niczego mu nie dostarcza, trójkąt jego spalonej na brąz twarzy jest zamknięty i pozbawiony wszelkiego wyrazu, wargi zaciśnięte w gorzkim i zimnym grymasie.

Sukinsyn z tego bankiera klnie Jean-Pierre... Zna tylko francuską część dossier, czyli prawie nic, część skróconą, przepisana na maszynie po dokonaniu całościowego ujęcia agentów drugoplanowych, takich, którzy podobnie jak on kryją się po ciężarówkach z fałszywym napisem „Pogotowie elektryczne” albo w pospolitych samochodach. Może tak jest lepiej. Na co by się zdało wiedzieć za dużo. chyba po to. żeby zostać zgładzonym przez oprawców w przypadku zwierzeń wobec dziennikarzy?

Wezwij Treugera woła do mikrofonu, widząc, że Fryderykowi udało się złapać taksówkę.

On wsiada do taksówki, szarego CX.\*

- Okay - odpowiada kierowca ciężarówki przekazując wiadomość motocykliście, jadącemu w tym samym co oni kierunku, tylko o trzysta metrów z tyłu.

\* Citroena. (Przyp. tłum.) 26

Najwidoczniej zaprzątnięcie umysłu sprawami finansowymi o zabarwieniu politycznym wzięło ostatecznie górę. Fryderyk myśli intensywnie i kreśli zręczne plany postępowania. Pogrążony w myślach nie dostrzega wielkiej melancholii genewskiego przedmieścia, roztaczającego się za lekko przyciemnionymi szybami taksówki. Szare osiedla zajadłe wgryzają się w niebo, przytłaczając odważną lekkość will z cegły. Czy zobaczyłby je, gdyby został przekonany o słuszności opinii urbanistów, dającej nieuchronnie pierwszeństwo budynkom socjalnym nad własnością prywatną? Czy nie ogarnie go uczucie chłodu i wewnętrznego niepokoju na ich widok, ale on nic nie widzi, nic nie słyszy, nie zauważa wielkiego motocykla, który dwukrotnie z nim się zrównuje. Na jego horyzoncie myślowym wznoszą się struktury abstrakcyjne. Są one olbrzymie, robią o wiele większe wrażenie niż bloki sześciany i formy cylindryczne, które wyrastają na peryferiach miast. Opierają się nie tylko przemijającym czasom, lecz także szaleństwom spekulantów. Kiedy próbuje wymierzyć ich wysokość, ich rozmiar, ich zdolność do wchłonięcia rynków i do pochłonięcia jedne drugich, dostaje natychmiast zawrotu głowy. W jego mózgu wznosi się gigantyczne miasto, miasto spółek z trzema drapaczami chmur: Exxon, Royal Dutch-Shell i General Motors oraz

cały ciąg budynków o mniejszym znaczeniu: ATT, ENI, PEMEX, Bayer, Mitsubishi Hi, Reynolds, Pepsico... Chore miasto, które aż po dziś dzień zaspokajało jego ambicje, nawet jeżeli ciągnął zyski tylko z nizin społecznych. Całe lata zdobywania informacji, sprzeniewierzenia kapitałów, niebezpiecznych związków... lata, kiedy zdradzał równych sobie z podniesioną głową, trzymając się prosto, z bardzo otwartym, wystudowanym, sposobem bycia, nadając głosowi akurat taki ton, aby być poważanym przez agentów giełdowych, graczy, spekulantów grających na zniżkę i wyżkę oraz giełdjarzy wszelkiego pokroju. Postanowił raz na zawsze zapomnieć o tych typach, a przynajmniej tych, którzy uczęszczają na giełdy. Dla bankiera, który stał się nim w normalnym trybie, posiadanie kapitałów nieproduktywnych to świętokradztwo, postanowił więc zainwestować swoje w „bardzo wysokie ryzyko”.

Wojna, prowadzona czy przygotowywana, jest centrum życiowej przygody, a on jest śmiałkiem współczesnych czasów przygotowującym swoją wojnę... Wojna. To słowo podnosi u niego poziom adrenaliny, w jego mózgu rozbrzmiewa dzwonek alarmowy. Prowadzi wojnę i naraża się na niebezpieczeństwo. Czy nie jest posłuszny pułkownikowi Northowi? Czy nie jest żołnierzem dzisiejszych czasów, którego terytorium i aktorami są przedsiębiorstwa albo banki?

Zagłębia się w miękkie siedzenie wozu. Opuszczone powieki ledwie pozwalają dostrzec błysk inteligencji w jego spojrzeniu. Dla ustalenia następstw nie jest potrzebny operating system, jego mózg jest sto tysięcy razy sprawniejszy od wszystkich komputerów i ich obwodów. Tak, wojna przedsiębiorstw jest z góry przegrana... Jednym z efektów sztucznego ożywienia ekonomicznego na nowym kontynencie jest zogniskowanie amerykańskiej opinii publicznej na problemach bezpieczeństwa terytorialnego. Dreszcz go przebiega, kiedy ocenia potęgę amerykańską. Przesuwają się liczby: 2 136 900 żołnierzy, ponad 270 miliardów dolarów poświęconych na budżet wojskowy. Pięści mu się zaciskają. Przeczucie narzuca się jego świadomości. Na morzach i oceanach zarysowują się łodzie podwodne, są czarne, o opływowych kształtach, brzuchy mają uzbrojone pociskami Har-poon i Tomahawk. Śmierć, wszędzie śmierć. Sunie, zbliża się. LVT P7, LAV 25, Piranha APC, Stinger, AGM 65-F, Navenick, Spar-row... Wszystkie te kody i nazwy broni rozbrzmiewają mu pod czaszką. Obrona nie istnieje. Tak jak na Grenadzie. Nie zobaczy już swego przyjaciela Bishopa w szumiących ogrodach Saint George ani kobiet z wyspy, których ręce połyskują od oleju kokosowego, a usta, gorące i nabrziałe, są krwisto czerwone, ani tych mężczyzn niskiego stanu posuwających się ociężałym krokiem ku plantacjom, z żołądkiem wypalonym ostrymi przyprawami i ze smakiem macis\* na języku. Tam, w ospałości Południa zapomni o zgiełku giełdy, żeby słuchać szeptów portu unoszonych przez pasaty...

Taksówka hamuje gwałtownie przed portem lotniczym. Jego dwusilnikowy, czerwono-biały samolot czeka na niego z dziobem skierowanym na wschód Odprężony wzrusza ramionami. Znajdzie z pewnością sposób na zastraszenie bratanka Chomeiniego.

\* Otoczka gatki muszkatolowej stosowana w miejscowej kuchni. (Przyp. aut.)

Reda Tulonu jest wzburzona. Podobnie jak całe wybrzeże, kiedy dmie wschodni wiatr. Olbrzymi lotniskowiec „Foch”, przerastający inne jednostki kołysane przez morze, stoi u wybrzeża. Elżbieta szuka wzrokiem latarni morskiej. Dostrzega jej błyskający, niepewny promień poprzez zasłonę deszczu gdzieś w kierunku półwyspu. Ma wrażenie, że cieniutka, żółta smuga wdzierająca się w szarugę wytryska nie z reflektora, a z ręki oszalałego malarza. Obraz nieustannie macony jest delikatną mgłą, z której ulatują setki mew, i skąd co dziesięć minut wylatuje helikopter. W oddali, hen za cmentarzyskiem statków, okręt wojenny wychodzi na pełne morze z włączonym czuwającym radarem.

Ile razy już to widziała? Sama nie wie, ale nigdy nie ma dosyć. Spojrzenie jej szarych oczu gubi się w masie wodnej, na falach, które się rozbijają prawie bez hałasu o posmołowany pomost.

„Przestań marzyć, Elzbieto” - mówi do siebie głośno, żeby się wyrwać z zamyślenia. Potem jej palce przesuwają się wzdłuż czerwonych, długich futerałów, z których wystają końcówki przewodów uwolnionych przez nią z zacisków. Żadna hipnoza nie zdołałaby odwrócić jej uwagi od niebezpieczeństwa czającego się w metalowej bryle o skomplikowanej budowie. Odczepia sprężynę odciągającą, podnosi czop urządzenia blokującego i klapę bezpieczeństwa. Ukazują się dwa zapalniki uwięzione w złożonych futerałach. Dwa razy po trzy gramy sprężonego materiału wybuchowego, piorunianu rtęci, który w stanie pierwotnym ma konsystencję i wygląd zmielonego na proszek cukru, ale szczypie w nos i powoduje zapalenie błon śluzowych jak najgorszy rodzaj kokainy. Sześć gramów. To dosyć, by została do końca życia inwalidką o poszarpanych rękach i twarzy zamienionej w sito przez drobniutkie ziarenka miedzi i ołowiu. Jednak ryzyko prawie nie istnieje, nie ma na sobie odzieży nylonowej, a jej lewy nadgarstek otacza bransoleta połączona z ziemią za pomocą przewodnika z metalowej plecionki. Cała statyczna elektryczność jej ciała jest zneutralizowana. Przetykając ślinę bierze specjalny wkłęsły klucz, w który wkłada druty zapalników, potem starannie dociska kolejno dwie stalowe nakrętki, przytrzymujące futerały ochronne.

Z braku doświadczenia, ze strachu albo z jakiejś innej nieuświadomionej przyczyny, a może z wszystkich trzech powodów razem, nie udaje się jej wyciągnąć klucza. Jej rysy twardnieją, na czole zarysowują się zmarszczki, usta rozchylają. Klucz nadal jest zaklinowany. W rogu komórki montażowej końcówka zaczyna wydawać trzaski „pip, pip”, ale nie zwraca na to uwagi, gdyż nie ma żadnej potrzeby zaznajamiania się z umykającymi danymi, które ukazują się na zielonkawym ekranie.

Powinna była zaczekać na przybycie pirotechników i nie przychodzić przed otwarciem pracowni, ale ona jest uparta i dumna. Nie pokazać swego braku kompetencji. O nic nie pytać swych podwładnych. Zależało jej na tym, aby się wprawiać zupełnie samodzielnie przed wizytą delegacji hiszpańskiej.

Szefowie ekipy będą podrwiwali za jej plecami, ale ma to w nosie. Czy nie jest ich zwierzchnikiem? Ich ITEF\*, odpowiedzialnym za sprzedaż torped na eksport? Jest jedyną w tej zbrojowni mówiącą biegle ośmioma językami; jeżeli nie są z niej zadowoleni, mogą sami przeprowadzić pokaz posługując się rękami...

„Spowodujesz wybuch, moja droga, jeśli będziesz się upierała... Na futerałach jest za dużo lakieru z szelaku”.

Trwa nieruchomo przez dłuższą chwilę całkowicie przeciwna uruchomieniu zapłonu torpedy, wsłuchując się w przyspieszone bicie serca. Podłe zajęcie. Jest kobietą odpowiedzialną, myślącą, zdolną do Podejmowania decyzji, do przeciwstawiania się admirałom i inżynierom, do zmiany biegu rzeczy, ale brak jej odwagi, kiedy sama zagrożona jest fizycznie. Widok krwi wywołuje u niej niedyspozycję tak, jak u tych mizdrzących się, mieszczańskich pańnek, które czasami spotyka w kołach oficerskich albo w admiralicji.

Zamocowując klucz za pomocą szczypiec podnosi się i staje dumnie wyprostowana przed opornym urządzeniem, z ciałem wibrującym żywotnością i obawą, tą żywotnością, której chwilowy brak wyrzuca sobie, tą obawą, której zawsze towarzyszy intuicja.

Wicher staje się jeszcze gwałtowniejszy, szyby laboratorium drżą, opancerzone drzwi skrzypią, fale morza wałają jak młotem o wybrzeże. Każde nowe uderzenie wstrząsa młodą kobietą.

\* Ingenieur technicien d'etudes et de fabrication inżynier naukowy i warsztatowy. (Przyp. aut.)

Być może te same emocje odczuwa Fryderyk o tysiące kilometrów stąd w nadmiernie rozgrzanym otoczeniu Wall Street. Ale hałas nie pochodzi z tego samego źródła. Na giełdzie wyczuwa się podniecenie. Można by pomyśleć, że krótkoterminowym spekulantom brak informacji co do jej dolnych i górnych notowań, wydają histeryczne zlecenia, aby zmniejszyć swoje straty. Ale to nie tylko oni, to cały zespół uczestniczących, którzy dają upust swej ekspansywnej naturze, kiedy się znajdują na arenie. Fryderyk ich obserwuje. Zachowują się tak od czasu dojścia do władzy Reagana, jak gdyby jego obecność wystarczała, aby uwierzyli, że powodzenie ekonomiki amerykańskiej trwać będzie i po jego ustąpieniu z urzędu. Ulegając atmosferze, umiera z chęci zagrania, spróbowania szczęścia i zrealizowania nadwyżki mogąc osiągnąć 300 za 100, ale nic taka jest jego rola tutaj. Ma ludzi, którym płaci, żeby grali za niego. Ostrożność obowiązuje.

- Pan Detmer?

Nagle pojawia się pułkownik North między dwoma mężczyznami o twarzach napiętych i oczach wytrzeszczonych, którzy wrzeszczą: „Biorę!”. Ich umysł jest zniewolony kursem giełdowym.

Pułkownik jest punktualny prawie co do minuty. To budujące, prawda? mówi Fryderyk.

- Oni ufają, walczą.

- To dziwne.

- Dlaczego?

- Wszystko to wydaje mi się sztuczne. Widzi pan, pułkowniku, istnieją cztery rodzaje zaufania ekonomicznego: zaufanie do państwa, ja ani przez chwilę nie uwierzę, iż są do tego stopnia naiwni, aby wiązać swoją przyszłość z przyszłością starego człowieka manipulowanego przez swych doradców; zaufanie do banków i to jest tragiczne, gdyż wszyscy wiedzą, że banki nie są wypłacalne. co przy najmniejszym kryzysie może dać skurczenie i zmniejszenie kredytu; zaufanie do pieniądza, co w tej chwili ma miejsce i zrodzi powszechne przekonanie, że dolar ma więcej szans na wzrost niż na spadek, a stąd też bierze się przekonanie, że jego ceny mają więcej szans na spadek niż na wzrost; pieniądź, który idzie zbyt szybko w górę w porównaniu z walutami obcymi może wywołać katastrofalne skutki w gospodarce wewnętrznej kraju; jeśli zaś chodzi o zaufanie do interesów, niech pan spojrzy, przepaja ich uczucie euforii, są przekonani, że poziom cen się nie zmieni, co jest całkowicie sprzeczne z tym, co mam panu powiedzieć, gdyż do tego potrzeba zmniejszenia zaufania do pieniądza. Jak oni mogą być do tego stopnia nieświadomi niebezpieczeństwa, jakie ściągają na świat?

- Dziękuję za wykład, ale to wszystko odbiega od naszych spraw.

- Jest im o wiele bliższe, niż się panu wydaje.

Być może i pan z tego korzysta. Jest pan informowany przez nas na bieżąco o wszystkich posunięciach rządu, o zamiarach monetarnych, operacjach finansowych wielkich banków, stopie oprocentowania i o wszystkim, czym może się posłużyć spekulant giełdowy pańskiej klasy. Co robi pan z tymi wszystkimi pieniędzmi, jakie pan uzyskuje?

Dokładnie to, co robią ci wszyscy, którzy nas otaczają, inwestują.

- Zresztą, proszę robić, co się panu podoba. To nie moja sprawa... Przejdźmy do naszych spraw.

- Milion dolarów przelano na konto numer jeden, a osiemset tysięcy dolarów na numer dwa. W najbliższych dniach powinienem przystąpić do przelewu funduszy z numeru jeden na konta bankowe moich spółek w Tegucigalpie, San Pedro Sula, La Ceiba i Cholutece. Numer dwa pozostaje zablokowany zgodnie z pańskim życzeniem.

Doskonale; proszę oczekiwać, że nasi przyjaciele z Teheranu dokonają drugiej wpłaty: towar, zamówiony przez nich, znajduje się obecnie w portach Lizbony i Kopenhagi oraz na lotnisku we Frankfurcie. Byłoby pożądane utworzenie kilku spółek w Tajlandii i na Filipinach.

- Zrobi się.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak wręczyć panu zapłatę za pańską pracę. North wyjmując portfel i wyciąga z niego kawałek papieru, na którym jest nabazgrany jakiś adres. Potem grzebie w kieszeni marynarki i wyciąga z niej klucz.

- Pojedź pan pod ten adres punktualnie o godzinie siódmej. Kasetka będzie w salonie na stole. Do zobaczenia, panie Detmer.

- Do widzenia, pułkowniku.

Kilka godzin później, port w Nowym Jorku

Znany pod nazwiskiem Belman. mężczyzna jasnowłosy i pospolity, opiera dłoń na rękojeści rewolweru. Czuje na skórze dotyk zimnego metalu i nic więcej. Przyzwyczajenie. Nawyk. Równie dobrze mógłby dotknąć zapalniczki, noża czy monety jednodolarowej. To po prostu powracający i utwalony nawyk pozbawiony wszelkiego znaczenia, kiedy nie grozi niebezpieczeństwo. Intuicja zaś mówi mu, że tak jest w tym przypadku.

W porcie roi się od ludzi. Belman ma wrażenie, że działalność nabrzeży jest pod kontrolą gigantycznego komputera, ten zaś znajduje się w rękach władzy najwyższej, która reguluje wszystkie ruchy, i że doki i hangary pełne ukierunkowanej energii funkcjonują bez przerwy i hałaśliwie jak stara, źle naoliwiona maszyna, której nic nie potrafi zatrzymać.

Nie spostrzega nic niezwykłego. Tutaj każdy jest na swoim miejscu. Pod żurawiami i ruchomymi mostami. Na statkach towarowych, podnośnikach, ciągnikach, ciężarówkach i wagonach. A jednak jest nieufny. Ma wszelkie powody, aby uważać, że Casey, szef CIA, a jego zwierzchnik, w obecnych czasach specjalnie się nim interesuje.

„Niech zdechnie” - mówi w duchu, myśląc o guzie na mózgu swego dyrektora.

Obaj się nienawidzą. Jeden jest republikaninem, drugi - Belman

demokratą. Po dojściu Reagana do władzy Casey próbował pozbyć się swego, zawadzającego go, pomocnika. Na próżno. Belman jest tajną osobą odpowiedzialną za stosunki z Izraelem, zbyt dużo

o tym wie. Od niego zależy wiele operacji toczących się w Europie

1 na Środkowym Wschodzie.

Uświadamia sobie, że od czasu dojścia do władzy w ciągu tych długich lat Casey nigdy mu nie gratulował. Stara się przypomnieć sobie choć jedno wydarzenie, kiedy rozmawiali ze sobą spontanicznie i szczerze, bez wykrętów... Nie przypomina sobie żadnego.

Casey unika tego i od razu przystępuje do spraw służbowych. Pomału współpracownicy Belmana są wyłączani, odsuwani, odsyłani do archiwów albo wysyłani na równik do nędznego biura dziesiątej kategorii, gdzie zleca się im robienie wywiadów w środowisku hodowców świń i plantatorów bananów.

Ba] bankierów

33

Perspektywa, że cały ciężar pracy zwali się na jego ramiona, i widok jego nazwiska widniejącego samotnie w schemacie organizacyjnym wywołały u Belmana złe samopoczucie, które szybko przerodziło się w nienawiść.

Dziś pozostaje mu tylko jeden sposób, żeby się z tego wydobyć: wykorzystać swych przyjaciół demokratów i przyspieszyć upadek Reagana. Posłać prezydenta na deski przez techniczny nokaut i ułatwić zwycięstwo przyszłemu kandydatowi demokratów. Ma na to sposoby. Poza Stanami Zjednoczonymi jest mu posłusznych wielu agentów. Mimo ciosów zadanych przez Caseya, nadal ma olbrzymią siłę działania. Jest ona jak podziemna rzeka, płynąca tuż pod powierzchnią na całej planecie, która wytryskuje jako źródło, kiedy tego zapragnie, w najmniej oczekiwanych miejscach.

Źródło. Dokładnie to właśnie zamierza stworzyć: niewyczerpane źródło informacji, które wywołają oburzenie na świecie. Potrzebny mu jest do tego celu współdziałanie tajnych agentów zagranicznych, dziennikarzy i jednego bankiera. Ludzi niepospolitych, zwłaszcza jeśli chodzi o tego ostatniego, którym niełatwo będzie manipulować. Czeka na niego. Już przeszło minutę.



Opuszcza osłonę kontenerów, wśród których znalazł schronienie, i kieruje się w stronę hangaru. Jest to bardzo długi budynek, brunatnoczerwony od rdzy, poczerniały od brudu i zimna, jak brzuch statku porzuconego na Alasce. W głębi mieści się biuro z wybitymi szybami. Tam znajduje się bankier, stoi nieruchomo, odwrócony plecami, patrzący nie wiadomo na co na murze poplamionym i wybrzuszonym. Belman oddycha spokojnie, zbliża się powoli. Nadchodzi wreszcie ta chwila, kiedy musi oddać się kłamstwu i zdradzie. Chcąc pracować dalej, iść w górę, zachować swą władzę wewnątrz CIA i móc się zemścić - musi się posłużyć tym groźnym człowiekiem.

Mężczyzna się odwraca. Wyraz twarzy ma nieprzenikniony. Jego jasne, zimne oczy błysnęły groźnie przez chwilę. Zarys ust dużo mówi o jego sile woli. Panuje milczenie. Pozdrawiają się i Belman zaczyna mówić, mówi długo, budząc zainteresowanie u swego rozmówcy, a nawet zdziwienie, kiedy mu oznajmia:

- Pracuje pan dla Northa i Caseya, ale oni mają w nosie dobrą wolę, której pan daje dowody, i ryzyko, na jakie pan się naraża. Kiedy nadejdzie ta chwila, im będzie pan zawdzięczał swe największe

niepowodzenia, a nawet śmierć... Tak, śmierć. Inni przed panem otrzymali tę samą nagrodę. Niech się pan nie spodziewa żadnej wdzięczności od tych ludzi. Casey to szaleniec.

Stopniowe obniżenie się sprawności jego umysłu robi z niego najbardziej niebezpieczną istotę na świecie. Kiedy wyda rozkazy, jego najemni mordercy wytropią pana wszędzie, nawet po jego śmierci. Pańską jedyną szansą na przeżycie jest przyłączyć się do nas.

Do nas? - Do demokratów.

Rozumiem. Czego się po mnie spodziewacie?

Współpracy i wzajemnych informacji. Od pańskich zależy ochrona interesów Ameryki, od naszych pańskie życie.

6

„Afera ze sprzedażą broni do Iranu to prawdziwy kamień probierczy”.

Tak myśli Henri. myśli o tym codziennie. Martwi go współudział Francji w tym nielegalnym handlu za pośrednictwem spółki Lu-chaire, przez porty Santander i Bilbao w Hiszpanii.

„No cóż - wzdycha trzeba zwiększyć nasz bilans płatniczy... a zresztą nigdy nie wiadomo: kilka tysięcy pocisków sprzedanych Iranowi może ożywić stosunki, jakie mamy z przywódcami tego kraju. Zresztą inne kraje również są w to wciągnięte: Szwecja. Wielka Brytania, Hiszpania, Brazylia i prawie wszystkie kraje Wschodniej Europy”.

Marna pociecha. To go wcale nie zadowala. Kraje i ludzie, którzy czerpią korzyść z tego plugawego konfliktu, pokazują, kim są.

Dziwne, że Belman. jego amerykański odpowiednik, z którym w ciągu ostatnich miesięcy niejednokrotnie się stykał, utrzymuje to samo. Czyż nie powiedział mu, że: „w osobach niektórych bankierów, wmieszanych w tę sprawę, należy zdusić złe siły egoizmu i antyhumanitarnego indywidualizmu, tej choroby, której najgorsze konsekwencje najpełniej się uwidaczniają na Środkowym Wschodzie?”

To naprawdę dziwnie brzmi w ustach wysokiej osobistości CIA.

Henri jest zakłopotany. Po co udzielił im wszystkich informacji

O Fryderyku Detmerze? Jaka jest rola CIA? Czy rzeczywiście potrzebuje pomocy Francuzów? Dlaczego niektóre materiały nagle docierają do nich z Izraela? Czy Belman ma poparcie? Czy nie próbuje dublować Caseya? Jeśli tak, to by tłumaczyło jego skwapliwość w negocjowaniu z DGSE.

Po paru dyskretnych dochodzeniach w Waszyngtonie agenci Hen-riego mogli potwierdzić popadnięcie Belmana w niełaskę. Być może agent amerykański jest szczery.

Henri się zastanawia. Wszystkie warunki zdają się być spełnione, aby osiągnąć sukces kosztem Amerykanów. Trzeba przedłużyć kontrakt zawarty z Belmanem. Bankier gotów jest

prowadzić podwójną grę. Belman jednak nie obdarza Detmera pełnym zaufaniem i podsunął myśl, aby DGSE infiltrowało kogoś spośród jego bliskich współpracowników.

Kogo w to wtajemniczyć? ..Firma"\* ma tak mało ludzi! Wszyscy agenci operacyjni zostali porożysłani. a jest ich tak niewielu, że pole działania niektórych z nich obejmuje setki tysięcy kilometrów kwadratowych. Henri nie może sobie pozwolić na wysłanie amatora, to zbyt wielkie ryzyko. Rozwiązaniem byłoby stworzenie nowego agenta. Henri zastanawia się nad tym, chwytając się tej myśli i ma nadzieję uzyskać niezbędne kredyty. Ma zwłaszcza nadzieję, że nie otrzyma rozkazu wycofania się. kiedy operacja będzie już w toku.

Henri przypuszczał, że ta kobieta może się nadawać, a teraz odczytując na terminalu komputera dotyczące jej informacje nabrał co do tego pewności:

Dyplomy z inżynierii, mechaniki, elektroniki i cybernetyki. Kolejne praktyki w szkołach wojskowych w Saumur, Draguignan

1 Montpellier.

Staże naukowe i techniczne w szkole morskiej, kierunek informatyczny systemu broni.

Języki: hiszpański, angielski, włoski, arabski, rosyjski, grecki, niemiecki.

\* W swym żargonie zawodowym pracownicy DGSE nazywają swą centralę ..Budą", ..Firmą" lub ..Mleczarnią". (Przyp. red.)

Wstąpiła do SDECE\* 11 maja 1981 roku.

Wypełniona misja w Pakistanie w ramach kontraktu w sprawie sprzedaży torped.

Mechanizm informuje go, że obecnie kobieta uprawia tenis i al-pinistykę, a więc nie jest osobą słabą. Ponadto w jego posiadaniu znajduje się parę setek jej fotografii zrobionych bez jej wiedzy, niektóre przedstawiają ją u siebie w domu, bardzo skąpo przyodzianą. O ile sobie przypomina, ma długie muskularne nogi, płaski brzuch, drobne i jędrne piersi. Jędrne?... Tak przypuszcza, nigdy ich nie dotykał...

Uśmiecha się do wyimaginowanych obrazów i pochyla nad ekranem, żeby je odpędzić.

„Katalog 7/1969. Bez dalszego ciągu”.

„Idźmy dalej” - mówi do siebie i przeskakuje kilka lat. Zadowolony opada na oparcie fotela, zapala camela i puszcza kółko dymu na ekran. Jaki to piękny wynalazek informatyka. I jaki genialny pomysł z potajnym połączeniem wszystkich komputerów Ministerstwa Spraw Wojskowych i Spraw Wewnętrznych. Mieć w nosie całą komisję informatyczną i być orędownikiem racji stanu, której nie mogą się przeciwstawić ani partia polityczna, ani środki masowego przekazu, ani też obywatele.

„To właśnie ona jest nam potrzebna” - mówi do siebie, powracając do przedmiotu swych rozważań. Po kilku lekkich dotknięciach na ekran wraca pierwsze źródło informacji:

„Nazwisko: Cortes.

Imiona: Elżbieta, Maria, Juana.

Urodzona 10 kwietnia 1950 r. w Bordeaux.

Adres domowy: 45, rue des Amandiers-Monsenergue, Tulon.

Zawód: Inżynier naukowy i warsztatowy, przyjęta na podstawie konkursu w 1979 r.

Zakład pracy: DCAN\*\*, pirotechnika, Tulon”.

Henri wyłącza kontakt. W oddali autostrada okalająca Paryż jest zablokowana. Dwieście, a może trzysta aut stanęło unieruchomio-

\* Service de Documentation Exterieur et de Contre-espionnage Służba Dokumentacji Zewnętrznej i Kontrwywiadu, obecna nazwa: DGSE. (Przy p. aut.) \*\* Direction des Constructions et Armes Navales Zarząd Budowy Okrętów i Uzbrojenia Morskiego. (Przyp. red.)

nych przy Porte des Lilas. Jako jeden z ostatnich przebywa o tej porze w „Budzie”.

Mimo półmroku Elżbieta wyraźnie rozróżnia ruchy długich brunatnych rąk zbliżających się i oddalających na klawiaturze pianina. Serge, jej kochanek, pasjonuje się Ravelem, ma cygańskie usposobienie i niezwykłą brawurę, jednak życie, rodzice i brak wytrwałości

przyczyniły się do złamania w nim powołania, zbyt go pochłaniającego i o niepewnej przyszłości.

Pod jego palcami Bolero, które mogłoby być doskonałością, odżywa bez wdzięku; najpierw łagodnie wyważone dochodzi do mezzo forte w dziesiątym takcie, żeby zakończyć się wybuchem i rozwinięciem harmonii tonacji durowej.

Serge przygryza dolną wargę z ciężkim sercem, w jego napiętym spojrzeniu przebija od czasu do czasu wstyd, który objawia się zaczerwienieniem policzków.

- Bez akompaniamentu pizzicato altówek i wiolonczeli, bez fletów i skrzypiec, bez bębnow i harfy nie dam rady mówi zamykając gniewnie wieko pianina. - Jestem stworzony do sprzedawania M3 i prefabrykowanych domów, a nie do tego, by stać się doktorem honoris causa nauk muzycznych.

- Nie mów tak - pośpiesznie odpowiada Elżbieta z niezwykłą wyrozumiałością, zbliżając się do niego, aby pogłodzić go po policzku. Jesteś dobrym muzykiem.

- Przestań! Wiesz bardzo dobrze, że potrzebuję dwu tysięcy godzin pracy, żeby osiągnąć właściwy poziom.

Elżbieta milknie. Gotowa bez namysłu poświęcić dla ukochanego mężczyzny ten zbyt szybko osiągnięty dostatek, próbuje wyeliminować to wszystko, co wydaje jej się zbędne - salonik obity wytłaczanym aksamitem w stylu regencji, ze swą akwizgrariską komodą, dwa pokoje gościnne wytapetowane na niebieskozielono. Potrząsa głową. Być może, pod wpływem swoich bogatych przyjaciół, żyli na zbyt wysokiej stopie, zbyt burżuazyjnie. Być może należałoby pozbyć się mebli nabytych w salonach sprzedaży: olbrzymiej kanapy narożnikowej, kinkietów z brązu, fotelików, tkanych lampasów z mory w ich pokoju. A te dwa komputery królujące w najnowocześniejszym gabinecie, czy rzeczywiście są jej potrzebne?

- A wakacje na krańcu świata, czy rzeczywiście są konieczne? - odzywa się cichym głosem.

- Co mówisz?

- Mówię, że idziemy błędną drogą - wyjaśnia, ujmując go za podbródek, żeby mu się dobrze przyjrzeć.

- Błędną drogą?

- Żyjemy jak ludzie, którzy mają już życie za sobą. Właśnie tak. Stanowimy piękną parę, błyszczącą, polakierowaną, zabezpieczoną przed rabusiami, żyjącą w luksusowej oszklonej gablotce.

Co ty pleciesz?

- Nic... nic ciekawego. Pocałuj mnie.

„Scarlett O'Hara i Rett Butler na pierwszym planie” - myśli Jean-Pierre Dracone naciskając wyzwalacz swego aparatu fotograficznego.

Kiedy to się skończy? Trwa to już trzy miesiące, był w Calvi, potem go wysłano do Saint-Geoire-en Valdaine, do Manosque, Lyonu, Tuluzy... Krzywi się próbując utrzymać równowagę na tej ostrej skale, na której zostawił kawałek naskórka z małego palca. Nie było łatwo wspinać się po ciemku, ale lepsze to od słupa elektrycznego z poprzednich seansów. Stąd może działać bez pośpiechu i napawać się zapachem rosnącego wokół tymianku.

Uregulować podczerwień. Nastawić przesłonę. A tych dwoje tam na dole obejmuje się, ich ręce poszukują siebie, odnajdują i odchodzą ku innym podbojom. Wzdycha. Ich sztuczki nie mogą, mimo podniecenia, jakie w nim budzą, odciągnąć go od obowiązków służbowych. A jednak zadaje sobie pytanie, czego oni chcą od tej sympatycznej pary i całej setki przypuszczeń mimo woli przychodzą mu na myśl. Ich teczka na akta jest tak cienka jak książeczka zdrowia niemowlęcia.

Szum silnika, przesunięcie się błony. Elżbieta i Serge opuszczają kąt, w którym stoi pianino. Jean-Pierre marszczy brwi. Mężczyzna popycha kobietę dość grubo-biańsko ku drzwiom.

Jean-Pierre utrwała ten gest na trzech kliszach.

„Czyżby był brutalny?” - zastanawia się, przesuwając obiektyw na wysokie, łysiejące czoło Sergea. na prawą krawędź jego nosa, na nieco skrzywione usta. na ciężki zaokrąglony podbródek, stanowiący prawdziwy środek ciężkości tej wąskiej twarzy, jakby stworzonej do dojrzwiania i refleksji.

„To przeciwieństwo człowieka walki” myśli Jean-Pierre sprawdzając natężenie światła i różne podziałki do regulacji.

Jedna czwarta stopnia w prawo i ukazuje się twarz Elżbiety. Jean-Pierre delektuje się długo i nie śpieszy się z naciśnięciem wy-zwalacza. Pozwala, aby objęło go spojrzenie szarych oczu i poddaje się jego czarowi.

„Trzymali1 ją. Mam ją” mówi do siebie.

Używa tych czasowników w sposób naturalny myśląc o „niej”, którą dzieli w tej chwili z Sergeem.

Potem wstrzymuje oddech.

Kobieta o śniadej cerze pozwala się pocałować w szyję. Jej nieco spłaszczone nozdrza drgają, czerwone, zmysłowe usta zdają się zachęcać mężczyznę.

„Zmysłowe zwierzę” - wnioskuje Jean-Pierre wracając do swego zajęcia. Jednak w miarę robienia zdjęć odkrywa w niej coraz wyraźniej podstępna niewinność kocicy igrającej ze swą przysłą ofiarą. Jest to wrażenie mgliste, ale obsesyjne... W tym momencie wie, że to właśnie chciał w niej uchwycić, tę cechę drapieżnego zwierzęcia.

Za chwilę oboje są nadzy i powieki kobiety zamykają się. kiedy mężczyzna przyciska ją do siebie, a jego ręka zaczyna ją pieścić.

Zaczyna padać drobny deszcz, ale Jean-Pierre tego nie czuje. W oddali otwierają się drzwi pokoju. Narzuta na łóżko i prześcieradła są zgniecione i ściągnięte na cenny kobierzec. Twarz kobiety unosi się- jej czarne włosy fruują, jej krzyk ulatuje ku skale, gdzie Jean-Pierre nadal śni swój mroczny sen.

Rozgoryczony, zziębnięty, ma w głowie jedynie wrażenie tych dwu ciał oddających się sobie w bladym świetle lampy.

Dwudziestego dziewiątego listopada 1983 roku dolar wynosi 8,27 franka.

A Fryderyk nakupił zielonych banknotów na wszystkich rynkach. Nie osobiście, lecz przez współpracowników swych wspólników, ludzi działających jako kierownicy spółek, będących w posiadaniu tych właśnie wspólników; są oni de facto figurantami, co pozwala działać bardzo dyskretnie jeśli chodzi o terminowe transakcje. Są też niezbędni dla dobrego załatwiania spraw, Fryderyk zatrudnia ich bez skrupułów i nie jest pod tym względem jedynym, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Chcąc obejść przepisy i czując się mocnym z racji opieki Northa, zatrudnia ich parę setek, ponieważ prawo amerykańskie wymaga zgłoszenia, jeśli ktoś ma ponad 5 procent akcji jakiejś spółki, notowanej na giełdzie. A kiedy nie występuje jako osoba czy osoby, Fryderyk kryje się pod szyldem poważnych spółek, całkowicie amerykańskich, zdrowych, o solidnych bilansach, gdyż zna on bardzo dobrze przepisy tego kraju; ściśle kontrole są wymagane tylko wobec spółek zagranicznych, kupujących na terytorium Stanów. Co jeszcze skupuje Fryderyk?... Banki. To jego dawna mania. Pierwszym jego nabytkiem był bank Narsey, na nędznym przedmieściu Chicago. Fryderyk, to znaczy jego spółka Atlantic Protection Corporation z Brigde Port, Connecticut, zapłaciła za tę transakcję potrójną cenę wartości rynkowej, mianowicie 3,5 miliona dolarów. Było to po wojnie z Wietnamem. Bank Narsey wciąż jest tym, czym był przed dziesięciu laty: przedsiębiorstwem na małą skalę. A nawet jest to bank bardzo przeciętny, gdzie przeciętni klienci, pracujący w tej dzielnicy, przychodzą zrealizować swe czeki, i którego zyski nie przekroczyły 225 tysięcy dolarów rocznie w 1982 roku. Lichota. Ale Fryderyk lubi banki, lubi je posiadać, gromadzić, nawet takie, które wydają się bez przyszłości. W ciągu kilku lat udało mu się nabyć ich wiele, co nie jest łatwe, nawet jeśli się jest pod osłoną administracji danego kraju, jeśli przymyka się oczy i zmusza do milczenia nadmiernie gorliwych agentów

CIA i FBI. Pochodzenie funduszy, służących do robienia tych zakupów, musi pozostać absolutnie anonimowe. Ogólna suma transakcji nie jest przekazywana wprost przez banki szwajcarskie na konta jego przedsiębiorstw, przeciwnie, podlega skomplikowanej procedurze, w tym pośrednictwu szeregu instytucji międzynarodowych. Bankier angielski, który ściągą również dużo pieniędzy od skarbników Rady Bezpieczeństwa Narodowego, jest obecnie użytecznym przekąźnikiem. Posiadany przez niego bank w Kolumbii otrzymuje akredytywy na wiele milionów dolarów, pochodzących ze Szwajcarii; przelewa pieniądze do różnych banków w Memphis, Montgomery, Lubbock i Sacramento, te zaś przekazują je do spółek Fryderyka.

Fryderyk kupił właśnie SPC-Tech Bank w Baltimore, jak zawsze za cenę wysoką, dwukrotnie wyższą od rynkowej, czyli za 11 milionów dolarów, to jest bardzo drogo jak na bank, który znajduje się na granicy upadku. Ale bank jest zawsze bankiem, posiada swoistą moc przyciągania, a mieć ich dwadzieścia to trochę tak, jak mieć na własność Amerykę.

„Za SPC-Tech Bank” mówi do siebie.

Serwuje sobie kieliszek mazi-chambertin 1955. Docenia jego rubi-nowomiedzianą barwę.

„Wspaniałe... zapach likieru kawowego i poszycia leśnego... to właśnie lubię...”

Bardzo chciałby trącić się kieliszkiem ze współnikiem. Nie czuć się już samotnym. Mieć przyjaciela. Ludzie jego pokroju nie mają przyjaciół, mają tylko sługusów i nieprzyjaciół.

Kobietę... to niemożliwe... Intymność i czułość przynoszą szkodę interesom. Pozostaje więc sam.

„Ma doskonały zapach, jest delikatne, eleganckie, dobre w smaku”.

Prawdziwa rozkosz dla podniebienia księcia nocy.

„Trzeba będzie pomyśleć o kupieniu kilku hektarów tych winnic”.

W oddali trwa w uśpieniu Nowy Jork. Fryderyk jest sam na sam z miastem. Właściwie niezupełnie: jego konkurenci na pewno nie śpią. Z wysokości swoich oświetlonych budynków rzucają sobie w duchu wyzwania. On jest taki sam jak oni. pragnie Nowego Jorku w tym momencie.

Rozlega się dzwonek telefonu, przerywając jego rozmyślenia. Podnosi słuchawkę. Tak.

Manson... Jestem w Tokio.

- A więc?

- Wartość tego, o czym pan wie, spadnie na łeb, na szyję... Wszystkie aktywa spółki, o której mowa, będą sprzedane w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Proszę zacząć działać, zanim wiadomość się rozniesie.

- Dobrze, proszę pana.

Fryderyk odkłada słuchawkę. Jest to mechanizm bez zarzutu, posługuje się nim dzięki informacjom specjalistów z Białego Domu. Opanował je tak dobrze, iż pewnego dnia będzie w stanie obejść się bez ich usług. Nowy Jork należy do niego, jutro przyjdzie kolej na Paryż, Londyn i Rzym. Ojciec zostawił mu dziesięć milionów dolarów. Pewnego dnia suma ta zostanie pomnożona pięćsetkrotnie.

8

Czyż te spojrzenia nie wyglądają dokładnie tak jak uderzenia pioruna na czarnym niebie? Czy te ręce nie są szponami sokoła? Czy to serce nie bije jak darbuka\* pustyni?

Melchior nie ośmieliłby się położyć ręki na tej twarzy, która sprawia wrażenie lepkiej i zimnej w dotyku.

„Kadafi to żmija” - myśli.

„Melchior to szatan” myśli Kadafi.

Pułkownik i bankier wzdragają się przed wyznaniem sobie wzajemnego niesmaku, jaki odczuwają przy każdym spotkaniu. A tymczasem nazywają siebie przyjaciółmi. Muszą pozostać wierni poszanowaniu, jakie sobie jawnie przysięgają jako sojusznicy. Czyż, poczynając od 1974 roku, nie prowadzą wspólnie, w tajemnicy, polityki, „która zapobiegnie

niebezpieczeństwom napotykanym przez naród arabski, niebezpieczeństwom stwarzanym przez siły żądne jego bogactw, próbujące rozbić siły rewolucyjne arabskiej ojczyzny, zniweczyć jej nadzieje"?

Siedząc po turecku naprzeciw siebie, na mocno zakurzonej dywanie, pozwalają czasowi przesuwać się jak paciorki różańca. W milczeniu. Wpatrując się jeden w drugiego. Wokół nich, w zakątkach

\* Darbuka - bęben obciągnięty kozią skórą. (Przyp. aut.)

wielkiego namiotu, strażę pozornie obojętne, z pistoletem Kałasznikowa na brzuchu, wstrzymują oddech: dąży je strach przed niezadowolaniem uwielbianego przywódcy.

- Jestem pełen skruchy - mówi nagle Kadafi.

- Wszyscy żałujemy za grzechy świata - ostrożnie dodaje Melchior.

- Grzech to u was, na Zachodzie, najważniejsze słowo. Melchior zastanawia się, do czego on zmierza. Czuje pulsowanie

żyły na czole. Za pierwszym razem, kiedy ich drogi skrzyżowały się w Atenach, uległ takiej samej emocji, głupiej i niszczyielskiej, domyślając kryjącego się w Kadafim szalonego zabójcy.

„Jeśli skinie w stronę Mohammeda, koniec ze mną” - myśli Melchior spoglądając na prawdziwego olbrzyma w drelichu, nieczulego na muchy atakujące jego tępą twarz.

„Kto będzie mnie tutaj szukał?"

Wylądował w Trypolisie z fałszywymi papierami i fałszywą żoną, która została w hotelu. Oficjalnie spędza trzy dni u przyjaciela w Rzymie.

Oczy Kadafiego rozbłysły zainteresowaniem. „Oto jesteśmy w domu” - myśli Melchior.

- Potrzebne mi są fundusze i to niezwłocznie. Fundusze Ummi\* i wpływy za naftę są niewystarczające.

Melchior odetchnął z ulgą. Będzie mógł go traktować jako klienta, jako potrzebującego.

Bierze górę... Może sobie pozwolić niemal na wszystko. Atakuje brutalnie.

- Nie respektowałeś naszych umów: „zaprzestanie interwencji w Czadzie”, to Rosjanie znów cię podburzyli. Powinieneś najpierw zastosować plan „El-Homra”, przygotować wojnę planetarną, totalny terrorizm, a nie rzucać się w ryzykowne przedsięwzięcia. Afryka wytyka cię palcem, twoja polityka ekspansji kompletnie spali na panewce. Wasza armia nie ma spójności strukturalnej i posługujesz się nią tak, jakby była zorganizowana w dywizje. Wojna mas do niczego nie prowadzi. Zatrudnij swoich mudzahedinów na innych frontach, w głębi. Akcja rewolucyjna powinna być przeniesiona w samo serce narodów kapitalistycznych.

\* Umma - wspólnota muzułmańska. (Przyp. aut.)

- Bóg jest dzisiaj łaskawy - odpowiada tajemniczo pułkownik. \_ Słucham tego, co mówisz, pozwalam ci wznieść się na poziom twych najwyższych pasji. Bóg jest dzisiaj wspaniałomyślny, powrócisz cały i zdrowy do Rzymu. Jednak przeceniasz swe siły, przeceniasz swe słowa... Moja armia jest coraz lepsza. Tylko ja mogę zgasić te stare wspomnienia zwycięstwa, tak, jak tylko ja mogę kazać ci zapłacić za twe złe zamysły, powtarzam jednak: Bóg jest wspaniałomyślny.

Kadafi milknie i zamyka na chwilę oczy. Przypomina sobie niedolę pierwszych dni, kiedy był jeszcze niedojrzałym dzieciakiem, nie mającym podstaw wiedzy. Nędzarzem wśród nędzarzy narodu bez przeszłości, bez miasta, bez bogactwa, a od tego czasu, w miarę jak wchodził w życie krok po kroku, ta przeszłość bez przyszłości wydaje się mu bronią jeszcze bardziej zatrutą, nożem wbitym w brzuch i w jego godność. Czy można budować imperium na piasku? Co więcej mógłby zostawić swemu narodowi, który ma już Koran? Po nim wiatr pustyni znów stanie się panem, a nomadzi będą wybierali wielbłądy zawsze w ten sam sposób, obmacując je, badając ich oczy i zęby, podnosząc ich kopyta, zanim pójda napić się herbaty do namiotu, w którym unoszą się odrażające zapachy kozich skór i skwaśniałego mleka.

- Operacja „El-Homra” rozpocznie się, jak tylko będziemy w stanie podtrzymać ją finansowo - pada z ust Kadafigo, który otwiera oczy. Od ciebie tylko zależy, aby jej nie opóźnić. „Bóg jest wspaniałomyślny, ponieważ ty potrzebujesz dolarów” - myśli Melchior zanim odpowie:

To nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Mój system ma bardzo ścisłe ramy, moi zaufani ludzie mają bardzo ograniczone pole manewru, ponieważ „grają” na wszystkich rynkach zajmujących się informacją i napięciem. Ja jestem informacją, ty napięciem. Oni nie mogą skutecznie rządzić swymi portfelami, jeśli nasza synchronizacja nie jest doskonała. W ciągu kilku lat udało mi się popchnąć kilku bankierów na drogę bez wyjścia. Wszyscy grali na nadwyżce monetarnej krajów OPEC\*, którą ponownie uruchomili w krajach rozwijających się. Te zaś zgodziły się płacić wygórowane

\* Organizacja Państw Eksportujących Ropę Naftową. (Przyp. tłum.)

procenty od przyznanych sobie pożyczek, ale ich możliwości płatnicze nie dorównują całkowitej sumie pożyczek udzielanych bez żadnego planu. Jeżeli nie będą w stanie zwrócić długów, jeżeli cena ropy spadnie, jeżeli dolar ulegnie niższe z powodu powszechnej deflacji, realizacja naszych marzeń będzie bliska.

- Ale jakie jest to twoje marzenie? Nie jesteś marksistą, nie jesteś muzułmaninem, zdradzasz swoich... Mógłbyś żyć szczęśliwie w twojej Szwajcarii. Bez żadnego ryzyka.

- Ty też - odpowiada Melchior. - Mógłbyś żyć szczęśliwie pośród swego plemienia na pustyni, hodować wielbłądy. Bez żadnego ryzyka. Bez Migów. Bez czołgów. Bez doradców koreańskich, syryjskich, rosyjskich... Ale tak już jest, nie zmienimy naszego przeznaczenia. Nasza wyobraźnia, agresywna, przyzwyczajona do atakowania, daremnie stawia pytanie. Marzymy, walczymy, dopóki nie zaskoczy nas nieuniknione rozczarowanie życiowe. Wtedy zmiecie nas potężny podmuch i nasze miejsce zajmą inni marzyciele. Samolot myśliwski przelatuje nad namiotem, zagłuszając ich rozmowę gwizdem reaktora. Teraz odprężyli się obaj, chociaż w ich oczach zachował się błysk nieufności. Melchior nie czuje żadnego strachu, kiedy Mohammed się zbliża, aby podać herbatę. Gawędzą po prostu o sprawach poważnych, które lubią poruszać w rozmowach z sobą mężczyźni pragnący zmienić świat. W oddali, w blasku słońca olbrzymie cętkowane ciężarówki, przewożące Frogi 7 i pociski SSI Scud B, oddalają się powoli ku widnokręgowi.

Kadafi prowadzi Melchiora na zewnątrz.

Pięćdziesięciu strażników staje natychmiast w pogotowiu i szczeka bronią. Otaczają ich, szukają najdoskonalszej pozycji dla ochrony swego pana i jego gościa. Ich karabiny bojowe opadają w twardych i suchych rękach. Armatki kalibru 20 mm obracają się na osi i pilnują nieba, na którym warczą dwa duże helikoptery.

- Potrzebuję tysiąc takich - mówi Kadafi, wskazując na ciężkie samoloty uzbrojone w karabiny maszynowe, pociski raketowe i AT-6 „Spiral”.

„Mil Mi 24 Hind - myśli Melchior. - Sowici są niedaleko”. Potem odzywa się do Kadafigo zatopionego w myślach.

- Do czego będą ci potrzebne te latające czołgi w przyszej bitwie, jaką wydamy? Pomyśl o „El-Homra”; pomyśl o tych wszystkich ludziach, których powinienesz zagrzewać do świętej wojny... Pomyśl o tym, a będziesz miał niezbędne fundusze.

Psia służba. Nawet na ranczo musi poświęcić część swego weekendu na studiowanie skomplikowanych dokumentów. Stojący zegar wahadłowy w salonie wskazuje 10.30; Ronald Reagan wzdycha. Kieruje się krokiem pełnym ociągania do swego gabinetu, jeszcze nie zaczął, a już jest wyczerpany. W ciągu całego tygodnia ścigała go sfera dziennikarzy akredytowanych przy Białym Domu, komisje budżetowe, obrony i rolnictwa, ambasadorzy Francji i Wielkiej Brytanii, ścigała Nancy, która stwarza wokół nich dwojga paranoiadną atmosferę. Opada na skórzany fotel i przez całą minutę przygląda się czterem teczkom leżącym przed nim. Pierwsza dotyczy ewakuacji Arafata i czterech tysięcy fedainów

lojalnych wobec OWP z Trypoli-su do Libanu, druga odnosi się do następstw wyborów na prezydenta republiki Wenezueli, socjaldemokraty Jaime Lucinchiego, trzecia traktuje o problemach finansowych Izraela. Reagan zamyka na chwilę oczy: Izrael to cierń w jego polityce zagranicznej; pomoc dla tego kraju wynosi więcej niż jedna czwarta wszystkich wydatków na bezpieczeństwo przewidzianych w budżecie państwa. A teraz zwracają się do niego o zgodę na przedłużenie pokrycia pożyczek. Nie możemy pozwolić, żeby Izraelczycy zostali poniżeni przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy - wystąpił stanowczo Donald Regan, administrator Białego Domu, podczas ostatniej sesji, przyznając tym samym, że Izraelczycy nigdy nie zwrócą długów...

Jest jeszcze czwarta teczka, która sama jedna ciąży na sumieniu prezydenta bardziej niż pozostałe trzy razem: „Recovery” i Iran. W swym nowym aspekcie ma ona zapoczątkować operację „Aurora I”, która będzie mogła zacząć się w rejonie Fakkah dzięki pierwszym transportom broni amerykańskiej dla „strażników rewolucji islamskiej”.

Dobry Boże, przyjdź mi z pomocą mruczy prezydent. Myśli o Caseyu, który poinformował go o ryzyku ponoszonym przez Biały Dom, gdyż w głównej kwaterze w Langley wysocy funkcjonariusze CIA, przeciwni prowadzonej obecnie polityce, w najwyższym stopniu zaniepokojeni, poszukują najlepszego sposobu przeciwnatarcia w razie poślizgu.

- Oni zdecydują się podać do publicznej wiadomości ten szatański spisek Rady Bezpieczeństwa Narodowego przekazując dziennikarzom rezultaty swych wywiadów - powiedział mu szef CIA, który napotyka ogromne trudności w utrzymaniu w korbach swej agencji.

Ale nie przejmuj się wcale, Ron. utrzymujemy nad nimi baczność kontrolę, zwłaszcza nad Belmanem - dodał.

..To przede wszystkim nad bankierami międzynarodowymi trzeba by bacznie czuwać” - myśli prezydent otwierając teczkę Iranu. Bankierzy... Ma świadomość faktu, że potęga Zachodu opiera się zasadniczo na ich dobrej woli. To oni są panami sytuacji. On zaś jest jedynie ich kozłem ofiarnym.

„Fryderyk Detmer, urodzony 10 stycznia 1940 r. w Bernie. Jean-Luc de Castillon, urodzony 8 września 1935 r. w Bordeaux. Wiaczesław Granikow. urodzony 30 marca 1938 r. w Leningradzie.

Alex Meyer, urodzony 3 kwietnia 1938 r. w Zurychu. Raden Tasaleh urodzony w Balitapan (przypuszczalny wiek 36 lat).

Melchior Saschauer. urodzony 18 kwietnia 1942 r. w Genewie.

John Belmont, urodzony 21 marca 1946 r. w Atlancie\*\*.

Henri Seyne zapala papierosa i dmucha dymem na tę listę znaną na pamięć. Z wyjątkiem Jeana-Luca de Castillon, który pracuje dla Francji w Afryce, i Wiaczesława Granikowa, obywatela radzieckiego wyspecjalizowanego w dostarczaniu zrabowanej technologii poprzez Moskiewski Bank Ludowy, właściwie nie wie nic o tych innych. Wywiadowi francuskiemu brak środków, zaś świat banków jest jednym z najtrudniejszych do przeniknięcia, zwłaszcza kiedy chodzi o pochwylenie w sidła ludzi, którzy się kryją i działają wyłącznie przez podstawione osoby. Opierając się na informacjach dostarczonych przez Belmana, zogniskował wszystkie swoje wysiłki na Fryderyku Detmerze, bez rezultatu. To człowiek nie do przychwycenia. Można by sądzić, że korzysta ze wszystkich środków dostępnych CIA i KGB, żeby zniknąć... To człowiek ostrożny; francuscy agenci zawsze gubią jego ślad po jednej godzinie tropienia go na ulicach Nowego Jorku czy Genewy. Trzeba by móc na nowo nawiązać kontakt z Belmanem, który sprzedaje im „Recovery”, ale Belman z kolei gdzieś się ulotnił. Seyne wyłącza aparat. Ekran ciemnieje, jego ograniczona pamięć jest bezpieczna o kilka dziesiątków metrów poniżej, w suterrenach „Firmy”. Szeroka ręka Seyne'a poklepuje przyjaźnie obudowę monitora. Potem wyjmuje fotografię Elżbiety Cortes z obwołuty zatytułowanej „Wywiad”. Odwieczne pytania. Dlaczego o niej pomyślał?



Ponieważ ona mówi ośmioma językami, pertraktuje ze wszystkimi handlarzami broni na całym świecie, a potrafi uchodzić za zwykłego inżyniera pirotechnika w Tulonie, czy też po prostu dlatego, że jest ładna?

„To nonsens” mówi do siebie, odsuwając myśl, że mogłaby oczarować Fryderyka Detmera. Po dziś dzień nie wykryto nawet cienia kobiety w życiu tego bankiera, nawet zwykłej kurewki. Wybrał Elżbietę dlatego, że w chwili obecnej jest ona jedynym agentem, jakim rozporządza. Na razie brak jej wykształcenia, ma stałego kochanka i oficjalnie nie posiada żadnego stopnia w szeregach DGSE.

„Trzeba zaradzić temu wszystkiemu” - mówi do siebie.

Podnosząc się z fotela wsuwa fotografię do lewej wewnętrznej kieszeni marynarki, tuż pod zimny metal swego starego browninga. Następnie prosi telefonicznie o audiencję u ministra obrony. Wyznaczono mu ją na dzień następny.

Zaczęła się druga faza operacji „Detmer”.

9

Tulon, 11 listopada 1983

Słońce prześwieca przez drzewa, a mistral unosi spódniczkę i rozwiewa włosy Elżbiety. Opanowuje ją uczucie dziwnego szczęścia, jest w swoim żywiole. Kocha ten kraj, ten wiatr gwałtowny, nagle burzący nietrwałą i pogodną harmonię pustkowia. Dawno już nie padało, kurz wzbija się tworząc wiry i pędząc po bitych drogach. Smaga sosny, jałowce i jej auto ustawione wzdłuż zbocza.

Zatrząskując drzwiczki Elżbieta przez chwilę mruga oczami, walna I bankierów

49

cjrąc z siłą podmuchu, który zbyt ostro uderza ją w twarz. W chwili kiedy się odezwał oficer DGSE. miała również przymknięte oczy. gkoriczyła się ZWYkła służba wywiadowcza. Ona to wyczuwa. Będzie ni usiała porzucić swą pracę inżyniera pirotechnika, wyrzec się wygo-jnego życia.

Kieruje się ku domowi. Wiatr ją porywa, wygina, to cichnie, to zjów odradza się w zetknięciu z jej ciałem, jeszcze silniejszy, wciąż nabierający mocy. Elżbieta dociera do hallu i opiera się o ścianę, zziuzona, oszołomiona, rzucona do tej przystani spokoju przez nieustanne prądy powietrza. Już jesteś?

- Tak - wyszeptwała. Muszę z tobą pomówić.

Serge ukazuje się w drzwiach salonu. Przygląda się jej przez długą chwilę. W jego postawie nie ma nic sztywnego, jednak ta nadmierna swoboda czyni ją nienaturalną. Lewą pięść ma zaciśniętą.

- Elżbieto, chciałbym wiedzieć, co cię tak niepokoi od kilku dni.

- Mów grzeczniej, proszę cię.

Będę mówił grzeczniej, jeśli mi wytłumaczysz, co cię niepokoi jo tego stopnia, że nie chcesz ze mną spać ani spotykać się z przyjaciółmi i zamykasz się na całe godziny w swoim gabinecie.

Będę musiała wyjechać na dłuższy czas.

Co takiego?

Dyrekcja Wydziału Spraw Międzynarodowych ministerstwa zaproponowała mi pracę przy uruchomieniu taśmy montażowej torped (V Karaczi. Zgodziłam się.

Gniew ściąga rysy twarzy Serge'a. Nie znosi tych wyjazdów za granicę; podejrzewa, że ona je wykorzystuje, aby go zdradzać z innymi inżynierami.

To nie do wiary! - woła. - Kim ja jestem dla ciebie? Ostatnim głupcem? No tak... Byłem tego pewny... Wiadomo było, że któregoś dnia znów pociągniesz swój tyłek na koniec świata.

Zamilcz, wiem, co mi powiesz: twoja kariera przede wszystkim.

Oczywiście. Sądę, że po tym, co usłyszałam, lepiej będzie, gdy na tym zakończymy. Cześć!

Elzbieta!

Już go nie słucha. Nie powinna go słuchać. Musi podporządkować się rozkazom i zerwać z panem Lecourt. Wychodzi z domu, pędzi do swego auta i rusza, podczas gdy Serge biegnie ku niej.

Tędy. panowie - mówi Karl swym ochryplym głosem.

Następnie pochyla się ku staremu słudze, który właśnie otworzył na oścież masywne drzwi, wydaje mu po cichu jakieś polecenie, jakby to był sekret, i ustawia się przed wejściem do salonu wynajętego przez jego pana. Siedmiu mężczyzn przechodzi przed nim, przenika ich swymi wyblakłymi oczami. Siedem ciemnych garniturów, siedem niebieskich krawatów, siedem par czarnych półbutów, siedem teczek zamkniętych na skomplikowane zamki, siedem twarzy o napiętych rysach. Siedmiu mężczyzn, w których wyczuwa tę samą trwożę, te same żądze i to samo okrucieństwo. Siedmiu finansistów, których serca biją zgodnie z rytmem wahań kursów walut: jeden Brazylijczyk, jeden Meksykanin, jeden Argentyńczyk, jeden Koreańczyk, jeden Chilijczyk, jeden Indonezyjczyk i jeden Filipińczyk.

Tych siedmiu zauważa wreszcie swego gospodarza, Melchiora Sas-chauera, i czuje ucisk w piersiach. Pierwszy z nich, Carlos Cis-co-Diez, Meksykanin, drobny mężczyzna o siwiejących włosach, z wahaniem wyciąga ku niemu rękę. Od dawna przygotowywał się do tego decydującego spotkania z Saschauerem. a teraz chciałby opóźnić tę chwilę, której pragnął z całych sił, chwilę, która niezależnie od tego, co nastąpi, zmieni definitywnie bieg jego życia.

- Proszę panów - mówi Melchior, uściskawszy wszystkim dłoń siadajcie.

I każdy z nich zagłębia się w miękkim fotelu pośrodku tego funkcjonalnego salonu, wynajętego na tę okoliczność w jednym ze skromnych hoteli dzielnicy Tiefencastel w Szwajcarii. Zastosowali się do poleceń: zmylić ewentualnych śledzących, przyjść samemu, i to pod zmyślnym nazwiskiem. Oficjalnie zarówno jedni, jak i drudzy przebywają w Mediolanie, Innsbrucku, Zurychu. Ich gospodarz wygląda na zadowolonego, dziękuje im kolejno za ich dyskrecję i za pracę wykonaną w ostatnich miesiącach. Oni przyglądają się sobie nawzajem. Filipińczyk, Jose Pizal, kłania się Bagusowi Anwarowi, Indonezyjczykowi, koledze po fachu, którego spotyka niekiedy na giełdzie w Tokio. Inni nie są mu znani. Jak Melchior, dla którego pracuje od dziesięciu lat. Snucie domysłów na temat tego, czego nie wie, wywołuje obawę, która niczym dreszcz przebiega po fałdach tłuszczu pod jego skośnymi oczami i po zmarszczkach rysujących się pod tymi fałdami. Zgodnie z tym, jak mu się przedstawili jego bezpośredni sąsiedzi, Argentyńczyk i Chilijczyk, nazywają się Benito Hernandez i Radimiro Mendoza. Nazwiska innych to Song Toegoe i Joaquin Alves, są oni przedstawicielami Korei Południowej i Brazylii. Melchior w dalszym ciągu prowadzi swój monolog, szerzej omawiając wysiłki swoich spółek oraz rolę odegraną przez spółkę Datatex, zainstalowaną w Kapsztadzie dzięki staraniom niejakiego Muellera:

- Jak było przewidziane, firma Datatex będzie pośredniczyła w układach dotyczących wymiany bezdewizowej pomiędzy krajami Europy Wschodniej a waszymi. Jeśli chodzi o Argentynę i Rumunię, to transakcje nie są łatwe, Rumuni chcą zboża i mięsa, a w zamian oferują jedynie ciężarówki. Sądzę, że trzeba będzie interweniować, a to sprawa tej spółki, i dać w łapę obu stronom. Co pan myśli o tym, Hernandez? Kilkaset tysięcy dolarów załatwi sprawę, nieprawdaż?

Hernandez potrząsa nieznacznie głową; to on prowadzi negocjacje dla Argentyny.

Nagle zalega cisza i siedmiu mężczyzn odczuwa jedynie przyspieszone bicie swych serc. Zaciskają wargi i usiłują przybrać wobec Melchiora postawę pełną godności. Bankier szwajcarski uzależnia ich wszystkich od siebie faktem przekupstwa. Zrozumieli to przed chwilą. Są wplątani w rozległą sieć jego spółek. Melchior działa w największym sekrecie i

podjeµuje prace d³ugoterminowe przy pomocy setek pomocników. Zastawia w ten sposób sid³a na finansistów i polityków nie maj¹cych skrupu³ów, którzy, podobnie jak siedmiu mæ¿czyzn, bogac¹ siê kosztem p³atników podatkowych. W autach, które ich przywioz³y do hotelu, zapytywali samych siebie, po co zostali zwo³ani. Stawiali pytania. Teraz ju¿ wiedz¹. - Widzê, żeœcie zrozumieli, jaka wiê¿ was ³¹czy. Jesteœcie wszyscy braćmi zaangazowanymi w sprawy finansowe, do których podchodzicie po sportowemu. Interesuje was jedynie wysokoœæ waszych kont osobistych w bankach. Jest to bardzo chwalebne. Jednak macie jeszcze inn¹ cechê wspóln¹... Cechê, która mnie interesuje wiêcej ni¿ wszystko inne na œwiecie.

Filipiñczyk, Jose Pizal, najbardziej skorumpowany i przekupny z wszystkich siedmiu, współdzia³aj¹cy z prezydentem Marcosem, współorganizator opozycji zbrojnej w Mindanao i opozycji pacyfistycznej, powo³uj¹cy siê na Benigno Aquino, współpracuj¹cy z Sowietami i Amerykanami, nadstawia ucha i mimo swego trwo¿nego odrêtwienia z uwag¹ s³ucha mistrza, który przela³ na jego anonimowe konto w Genewie piêæ milionów dolarów. Inni przy³aczaj¹ siê do niego i podnosz¹ g³owy z wyj¹tkiem Songa, który z twarz¹ nieruchom¹ i pozbawion¹ wszelkiej emocji obserwuje jakiœ punkt w przestrzeni.

Koreañczyk zdaje siê znajdowaæ w stanie na wpół uœpienia, ma przymknête powieki i trzyma siê jedynie dziêki zmys³owi s³uchu natê¿onego do ostatecznych granic. Nic z tego wszystkiego nie ma najmniejszej wartoœci w jego oczach. W Korei przekupstwo jest ustawicznym i nudnym zajêciem, nie sprawiaj¹cym mu najmniejszej przyjemnoœci.

Praktykuje je dla swej rodziny, swego klanu i swoich krewnych. Jego bracia, wujowie, siostrzeñcy d¹¿¹ do jednego celu: bogactwa, a ich żony króluj¹ w Seulu na sposób zachodni, dawno zapomniawszy o chong-bop\*

Psy ³asz¹ce siê do jego nóg, oto czym oni s¹. Odczuwa na myœl o nich jeœli nie gniew, to ponur¹ rozpacz: „Nie miej z³udzeñ, Sas-chauer - rozmyœla. - Nie bédziesz mnie mia³ tak ³atwo, jak Pizala. Nie jestem zmuszony wiecznie budowaæ królestwa, by schroniæ mojà skorumpowan¹ rodzinê. Nie wpêdziesz mnie w œlepy zau³ek, ju¿ powzi¹łem decyzjê”.

Mijaj¹ jeszcze dwie d³ugie minuty ca³kowicie wype³nione przygl¹daniem siê Melchiorowi, zag³ebionemu w jakichœ aktach. Dwie minuty mechanicznych gestów i ruchów, kiedy umyœl rozwa¿a informacje udzielone przez Szwajcara. Nagle ogarnia ich nieokreœlone pragnienie, jeszcze nie sprecyzowane, podobne do g³odu. Ca³a siódemka, nawet Song, chce wiedzieæ.

- Dziwiê siê, że tacy spekulanci jak wy jeszcze mnie nie zrozumieli - mówi Melchior, rozdaj¹c kartki maszynopisu. - W ci¹gu ty³u

\* Chong-bop - zbiór regu³ zycia rodzinnego oparty na etyce Konfucjusza. (Przyp. aut.)

lat niczego nie nauczyliœcie siê ode mnie. To prawdziwe ubóstwo psychiczne. Zaprz¹tniêci waszymi cyframi, kasami pancernymi, adwokatami, wys³annikami, przesi¹kniêci pseudomistycyzmem liberalnym ukszta³towaliœcie siê na t¹ sam¹ mod³ê, jako ta sama kasta œlepców omamionych zyskiem za wszelk¹ cenê. Podobni do z³ych uczniów œci¹gacie od waszych najbli¿szych s¹siadów, którzy te¿ s¹ z³ymi uczniami. Wynikiem tego jest ca³kowity brak osobowoœci, a st¹d brak polotu we wszystkich waszych transakcjach. Tymczasem sytuacja, w której siê znajdujemy, jest specyficzna. Jesteœcie wyj¹tkami wywodz¹cymi siê z historycznego poœlizgu gospodarczego. Przyjrzyjcie siê uw¹żnie tabeli na stronie drugiej. Co tam widzicie?

Siedmiu mæ¿czyzn kieruje swój wzrok na liczby i cyfry wypisane na wskazanej stronie. To zwyk³a tabela ukazuj¹ca nagle ten drugi wspólny punkt widzenia, interesuj¹cy Melchiora bardziej ni¿ wszystko inne na œwiecie.

- Powinienem by³ domyœliæ siê tego - wymyka siê Mendozie.

- Powinniœcie by³i zrozumieæ to natychmiast - dorzuca Melchior.

ZADŁUŻENIE WYNIKAJĄCE Z POMYŁEK POWSTAŁYCH W REGULOWANIU  
PIERWSZEGO KRYZYSU NAFTOWEGO. Ocena, rok 1985 dla siedmiu krajów o  
największym zadłużeniu w mi-  
liardach dolarów.

Brazylia ..... 100

Meksyk ..... 85

Argentyna ..... 50

Korea Południowa ..... 42

Chile ..... 20

Indonezja ..... 30

Filipiny ..... 27

- Czego oczekuje pan po nas? - pyta Bagus Anwar.

- To bardzo proste...

10

Jakie wymienił pan nazwisko? Saschauer. Melchior Saschauer. To prawdopodobnie Szwajcar.  
Fryderyk patrzy ze zdziwieniem na pułkownika Northa i przecząco kręci głową.

- Ten bankier nie postawił nigdy nogi w Genewie. Wiedziałbym o tym. Nigdy o nim nie  
słyszałem.

- Mamy poważne powody przypuszczać, że jest niebezpieczny.

- Poważne powody?

- Jest to tylko nie potwierdzona wiadomość, pochodząca z Hongkongu, jednak bierzemy ją na  
serio: podobno Melchior zdradza obóz zachodni na rzecz krajów Europy Wschodniej.

- Bardzo mi przykro, jednak nie mogę panu udzielić informacji o tym osobniku. Tak wielu  
bankierów pracuje dla Sowietów, posługują się tymi samymi metodami co my, kryją się za  
spółkami panamskimi i przybranymi nazwiskami tak, że mimo najlepszych chęci wydaje mi  
się niemożliwością wykryć, kto to jest.

- A gdybym podał panu nazwę anonimowej spółki, założonej przez biuro zurychskie gabinetu  
Meyera, na wniosek niejakiego Va-rena i na konto firmy Seoul Soco Foods, należącej do  
niejakiego Songa Toegoe. Ten ostatni jest zapewne kimś znanym osobnikowi, o którym  
mowa.

- Spółka?

- Filtr... Zresztą wie pan więcej niż ja w tej sprawie.

- To nam nic nie wyjaśnia... Saschauer może być nazwiskiem przybranym. Varen jest z  
pewnością pełnomocnikiem bez większego znaczenia i na pewno nie mógł być sam w  
momencie rejestracji powstałej spółki. W Szwajcarii muszą być zapisani co najmniej dwaj  
akcjonariusze. A poza tym wątpię, aby te dwie osoby, o ile one istnieją, były panu przydatne.  
Tego rodzaju pełnomocnicy są w kontakcie z figurantami, którzy działają z polecenia jakiejś  
trzeciej osoby X, która też działa z upoważnienia, i tak kolejno. Teoggo.

- Toegoe.

- ...Toegoe jest przypuszczalnie pośrednikiem.

- Nie, my tak nie przypuszczamy. To zbyt potężny osobnik. On rozporządza pięciuset  
milionami dolarów.

- W takim razie nie pozostaje nic innego, jak pilnie go śledzić.

- Wydałem stosowne zarządzenie.

North rozgląda się dookoła. Central Park roi się od ludzi, wydaje się jednak, że nikt się nimi  
nie interesuje. Wsuwa więc kopertę do

kieszeni Fryderyka; zawiera ona nowe instrukcje Rady Bezpieczeństwa Narodowego, listę  
najbliższych dostaw do Iranu, nazwy statków handlowych, ich marszrute, nazwiska agentów  
w Lizbonie, Marsylii, Atenach i Tci-Awiwie, potrzeby stronnictwa Contra i spis nowych  
spółek, które należy założyć na Wschodzie. Tak obciążony Fryderyk znów podąża samotnie

przez park. Samotny gracz. Posuwa się od jednej kratki szachownicy do następnej, zanim nastąpią wielkie, nieuniknione upadki. Większa część finansjery, pośredników, biur inwestycyjnych i towarzystw lokacyjnych spóźni się na ten pociąg, ponieważ nie dowiedzą się w porę, jakie są dominujące, choć niewidoczne siły działające obecnie nad zmianą gospodarki świata. A to będzie ostatni pociąg.

Młoda kobieta w różowym dresie uśmiecha się do niego. Daje jej znak ręką i podchodzi do niej.

O trzysta metrów dalej, mężczyzna z aparatem fotograficznym, ukryty za krzakiem, mruczy: „To coś niezwykłego, po raz pierwszy zatrzymuje kobietę”.

11 grudnia 1983, Seul, Korea Południowa

„Lisungkei. postępując tak, jak to robił kilka wieków przedtem Wanggeun, pospiesznie przystąpił do reformowania administracji. Będąc o wiele surowszym od Wanggeuna, pozbył się wielu wrogów, skazując ich na wygnanie bądź każąc zgładzić...”

Delikatne dziecko o krótkich włosach recytuje swą lekcję. Siedząc pod złotym smokiem, otulony w długą jedwabną szatę. Song Toegoe słucha. Nie zdaje sobie sprawy, czy ten cichy głos płynie do niego z bliska, czy jest to sen, który oddala się i unosi po Huanghai Morzu Żółtym. Głos jest czysty... Song marzy o czystej bieli, jednak próżne są marzenia o nieskazitelności, gdy jest się człowiekiem pie niądza. Spuszcza głowę sapiąc i staje się godny politowania wobec rzeczywistości.

„Stolica została przeniesiona do Hanyangu\* w tysiąc trzysta dzie wieździesiątym szóstym roku i utworzono tam Ministerstwo Spraw Ogólnych, kierowane przez premiera przy współpracy z ministrerri lewicy i ministrem prawicy...”

Hanyang Seul. (Przyp. aut.)

Wyraz twarzy dziecka jest surowy. Bardzo poważnie traktuje historię swego kraju. Sprawilo mu trudność nauczenie się tego streszczenia, ale jak zwykle umie je na pamięć. Song jest z niego dumny. Song pochłania go wzrokiem. To krew z jego krwi. Ciało z jego ciała. Jedyne on jest do niego naprawdę podobny.

Dziecko milczy. Lekcja skończona. Wtacza ostatnie słowa tekstu w zakątek swej pamięci i czeka, aż zgaśnie najmniejszy błysk w oczach ojca. aż ich czerń stanie się jeszcze bardziej intensywna, podobna do matowego obsydianu.

- Dobrze. Gim, bardzo dobrze mówi Song, kładąc rękę na karku swego syna. - Ta podwójna znajomość przeszłości i terażniejszości da ci możliwość wyciągnięcia lekcji na przyszłość.

Potem ogarnia go poczucie pogrążania się jakby we mgle, które tłumi w nim czułość.

Obecność Gima przynosi mu z pewnością jakieś ukojenie, ale wywołuje skojarzenia, które okazują się nieprzyjemne.

Opuszczając swe miejsce, kieruje się ku oszklonym drzwiom w wykuszu pokoju i otwiera jedno ich skrzydło. Wilgotne powietrze przenika do pokoju, smok na makatce wygląda tak, jakby dostał ataku konwulsji. Pyłek ze sztucznych kwiatów, rozmieszczonych w licznych wazonach, unosi się i podmuch zimnego powietrza napełnia pokój szmerem.

Song przenosi spojrzenie na miasto, dzieło człowieka, na olbrzymie skupisko nowoczesnych budynków, wyrastających między górami a rzeką Han. Nagle rozpętuje się ulewa. Podobnie jak spieszący się mieszkańcy, tłoczący się i popychający nawzajem, którzy chronią się pod szklanymi daszkami, i on odczuwa zamęt, który zapanował w mieście. Pomimo burzy, pomimo zapalających się raz po raz błyskawic, wychodzi na taras. Odczuwa potrzebę skapania się w wodzie. Zmycia z siebie wszelkiego brudu. Poddaje swoją twarz ożywczemu zimnemu strumieniowi życia, który spływając po niej oczyszcza go. Przynosi mu to pewną ulgę. Czy zrobił to, co powinien był zrobić? Dla Gima... może. Wykorzystał moment najbardziej pewny, okres powiększenia swego kapitału. Kiedy wszystko szło źle, po Pierwszym kryzysie naftowym, w okresie, kiedy na rynku panowała Panika, a ludzie

wyzywali się za bezcen swych papierów wartościowych dla odzyskania pieniędzy, on zajął się spekulacyjnym wykupieniem akcji. Przy następnym kryzysie, który będzie równie głęboki, zrealizuje swe złe papiery wartościowe, następnie zaczeka, aż zapanuje panika. Wówczas Gim stanie się jednym z najbogatszych spadkobierców na świecie. Zdobyczą dla takich ludzi jak Saschauer. Ale tego nie chciał. Z tego powodu zdradził Szwajcara. Nienawidzi Saschauera i całej kliki bankierów pozbawionych ideałów. Niszczycieli, którzy uważają się za bogów.

„Oni zabijają Koreę - rozmyśla. - Przyczyniają się do narastania naszych długów. I przez to wszystko znajduje się teraz w martwym punkcie nawet legalność naszych banków”.

Myśli jego kierują się powoli ku obszarowi, którego granice wyznaczają zarobki i straty, ku regionowi, w którym tempo przepływu wyznaczają informatyka i elektronika. Cyfry, cyfry i jeszcze raz cyfry. Następnie masa walutowa. Potem znowu ta twarz, twarz Melchiora. Song powstrzymuje dreszcz. Wszechpotęga Szwajcarii daje się odczuć aż tutaj. Tego ranka dowiedział się, że fabryki sztucznych kwiatów w Pusan zostały wykupione przez obywatela szwajcarskiego, Chińczyka nazwiskiem Zhong Shentsu. Z innych źródeł dowiedział się też, że Benito Hernandez - jeden z siedmiu miał duży wpływ na wybór Raula Alfonsina w Argentynie.

Song zaciska zęby. Wszystko staje się zrozumiałe. Wszystko było przewidziane. Nie może powstrzymać się od przypuszczenia, że Szwajcar zaaranżował zamach, którego ofiarami padło czterech ministrów tego kraju. \* Jest on, być może, także jedną z osób odpowiedzialnych za zabójstwa w Bejrucie dwustu siedemdziesięciu żołnierzy francuskich i amerykańskich - idealny cel\*\*... Być może.

„Czyżbym się bał? Dlaczego ogarnia mnie to dziwne uczucie?... Czyżbym był już na pograniczu schizofrenii?”

To ponad jego siły. Song przyzwyczyił się uważać każdego z finansistów zachodnich, których spotykał, za istotę niższą, niezdolną do działania tak dobrze jak Azjaci. Melchior jest wyjątkiem, pomyłką rasową. W tym momencie słyszy grzmot od strony świątyni Chinkwan. Wygląda na to, że bogowie postanowili dać mu uroczyste ostrzeżenie. Jego niepokój wzrasta, gdy woda z nieba leje się strumieniami, wirując, na ogród. Kolejny grzmot, potem seria błys-  
\* Zamach z 9 października 1983 r. w Rangunie. (Przyp. aut.) \*\* Zamach z 23 października 1983 r. w Bejrucie. (Przyp. aut.)

kawie. Wszystko wibruje, wszystko jest rozświetlone. Jego brwi unoszą się jak skrzydła mewy, czoło się marszczy, Song cofa się i odwraca. I choć nie ogląda się za siebie, wygląda na człowieka ściganego.

Gdy przechodzi przez salon z wizerunkiem smoka, Gim spogląda na niego ostrożnie. Z włosami błyszczącymi od deszczu, w szacie ociekającej wodą, Song ma wygląd chłopca, który przewrócił się na polu ryżowym. Gim uśmiecha się. Tego już za wiele.

Ze spojrzenia, jakie mu rzucił ojciec, dziecko domyśla się, o co chodzi. Mimo burzy, w pokoju panuje cisza. Dziecko obserwuje wzniesioną ku górze dłoń Songa, tłusty wałek, na którego wzgórkach krótkie linie życia i miłości tworzą łądygi i łądyżki.

Song ma zamiar rzucić się na swoją latorośl, tak jak to robi w tenisie, zbliżając się do siatki; cztery szybkie kroki i jedno uderzenie w policzek; ale dziś nie ma na to odwagi. Opuszczając rękę ogranicza się do wydania serii rozkazów, które Gim przyjmuje w głębokim skupieniu.

- Ponieważ zachowujesz się jak dziewczynka, będziesz ćwiczył dziś wieczorem do godziny dwudziestej na kayageum\*, pod nadzorem Kyonga. Jutro wstaniesz o trzeciej i aż do pójścia do szkoły obliczysz wzrost oszczędności i płynnej gotówki moich banków za dwa ostatnie miesiące. Zrozumiano?

- Tak, ojczu.

- Obliczysz to w markach.

- Dobrze, ojczu. Iw tugrikach.

- W czym. ojciec?
- W tugrikach... pieniądzech mongolskich.
- Ależ ja nie umiem.

Toeogoe zawsze umie. Nie umieć czegoś jest absurdem. Wiedza jest dla ciebie dostępna, często nawet jest w tobie, natomiast z uporem uchyla się od służenia głupcom, którzy zamykają na nią oczy... Moja przemowa wydaje ci się trudna? Na pewno. Za dużo uczonych słów dla zwykłego tugrika, monety dzikich, która warta jest tam mniej niż koń. Wszystkiego dowiesz się o tugrikach, kiedy skorzys-

\* Kayageum - cytra o dwunastu strunach i ruchomej kobyłce, instrument używany przez młode Koreanki z zamożnych środowisk. (Przyp. aut.)

tasz z biblioteki i posłużysz się terminalami banku przy pomocy Kyonga-

Gim milczy z oczyma utkwionymi w usta swego ojca, które zaokrągla się, jakby chciały zadać nową karę. - To wszystko, ucz się nadal historii.

Wola Songa jest tak potężna jak wola bogów. Moc jest przedłużeniem woli, jego fetyszem. Zdarza się, że pyta gorączkowo sam siebie, czy nie doszedł do kresu swych możliwości. Strach przed zastojem, obawa, by nie znaleźć się w próżni, nicości; często nawiedzają go myśli o „niczym” i opanowują go tak, jak myśli rodzące się nie w umyśle, lecz w trzewiach. Song zostawia swego syna, przechodzi przez dom i wraca do swego gabinetu pracy i rozmyślań.

Gabinet jest nowoczesny, biały i czarny. Trzy ściany ozdobione dziesiątkami tradycyjnych masek z drewna i wysuszonej dyni oraz oszklona wnęka okienna z przyciemnioną szybą otaczają olbrzymi stół. Na stole znajdują się cztery terminale komputera i pięć telefonów. Stąd Song kieruje swym królestwem. Naciska klawisz. Na czarodziejskiej zieleni ekranów ożywają natychmiast cyfry i zmieniają się P^y każdej transakcji na giełdzie, dostarczając mu niezrównanej przyjemności. Przez chwilę obserwuje wielki ruch w papierach wartościowych kupowanych za gotówkę, to samo zjawisko zachodziło w dniach poprzednich. Przypisuje to brakowi skrupułów u spekulantów, którzy pieką swą pieczeń przy każdym ogniu czasem przez wygórowaną ambicję, czasem przez głupotę. Song uderza pięścią w stół. Podnosi słuchawki dwóch telefonów, wydaje rozkazy swym agentom, przyspieszając spadek jednego japońskiego papieru wartościowego. Wrzeszczy do aparatu. Dyszy i wyciera pot z czoła. Cyfry się stabilizują.

- Chyba zdechnę - mówi głośno.

Song wie o tym. Pewnego dnia na czterech kolumnach zapisany zostanie kataklizm, wielki kryzys, kryzys z roku 1929 do dziewiątej potęgi, i będzie to jego ostatnie doznanie, nim padnie z pękniętym sercem.

Jego palce znów przebiegają po klawiszach w poszukiwaniu jakichś' nadzwyczajnych zysków. Zmusza swych pomocników, zamkniętych w wieżowcu ze szkła i stali koło dworca Yongsan, do

zdwojonej pracy. Jego wieżowiec. I znów przenika mu pierś twarde jak stal pragnienie zysku. Na ekranach przemawiają wskaźniki. Średnio 0,5 więcej za udziały w jego towarzystwach akcyjnych związanych z grupami przemysłowymi. Daewo, Samsung i Hyundai, najpotężniejszymi w Korei. 0,3 więcej za udziały w Ameryce Północnej, 0.7 więcej za francuskie.

Odpręża się, potem cieszy się widząc wskaźniki niemieckie, brytyjskie, norweskie, szwajcarskie... Dobry dzień, bardzo dobry dzień. Piękna, złocistoróżowa chmurka ukrywająca potworne długi krajów rozwijających się.

Rozlega się dzwonek telefonu; podnosi słuchawkę i rozpoznaje od razu głos swego starego przyjaciela Kima Woo Choonga, jednego z pierwszych finansistów Azji, dyrektora grupy Daewo. To ty Song?

Tak... Czego chcesz, mój przyjacielu Kimie?

- Zwierzyć się z moich obaw, nawet jeżeli wydadzą ci się bezpodstawne.

Co się dzieje, czy won\* ma się obecnie dobrze?

- Won przegnił! - odpowiada Kim.

- O sześćdziesiąt jeden procent. Wiemy o tym wszyscy.

Nie żartuj. Ten dług wynosi faktycznie sześćdziesiąt jeden procent naszego dochodu narodowego i przekracza czterdzieści miliardów dolarów. Jesteśmy zrujnowani.

Nie, nie my, ale ci na Zachodzie.

- Co ty opowiadasz? My jesteśmy bardziej zachodni niż Amerykanie i Europejczycy. Życie jak Azjaci jest w Seulu aberracją. Jeżeli Stany Zjednoczone i Europa nie znajdą sposobu na usunięcie deficytu reszty świata, stoczmy się razem z nimi. Jesteśmy ściśle wplątani w ten system. Nawet Inamori Kazuo, z którym byłem przedwczoraj na śniadaniu w Tokio, jest pesymistą. Przypuszcza, że jego spółka będzie miała dochody do osiemdziesiątego ósmego roku, a potem nastąpi klęska. Uważa nas za częściowo odpowiedzialnych za tę przyszłą sytuację.

Znam jednego z odpowiedzialnych. Kto to jest? woła Kim.

\* Won moneta koreańska o wartości I centyma w 1986 r. (Przyp. aut.)

Nie mogę ci tego powiedzieć przez telefon. Zobaczymy się za dwie godziny na zebraniu w Teatrze Narodowym.

- Będę z pewnością. Do zobaczenia.

Song kładzie słuchawkę i zamyśla się. Inamori Kazuo jest P-D.G.\* najbardziej wydajnym w Japonii inżynierem produkującym ceramikę izolacyjną dla wyrobów wytwarzanych w Silicon Valley. Ten Japończyk kontroluje 70 proc. rynku światowego. Jak On może wierzyć w klęskę, skoro mówi: „Bóg dał nam życie, nie jest ono naszą własnością. Musimy je złożyć w służbie innym, nie zaś pragnąć ciągnąć z niego egoistyczną przyjemność. Prawdziwe szczęście polega na pracy dla uzyskania sukcesu w przyszłości. Jest to filozofia, którą praktykujemy wszyscy u Kyocera”.

Kim ma rację, ich obóz jest na Zachodzie. Trzeba uratować Koreę i uratować świat.

Gasi swoje monitory i zamyśla się. Przycisk dzwonek znajduje się na prawym brzegu stołu, wyciąga palec wskazujący, by go nacisnąć. Na progu natychmiast staje mężczyzna o postawie zapaśnika.

- Czy pan mnie potrzebuje?

- Tak, Kyong. Wyprowadź auto, pojedziemy do siedziby zarządu. Kilka minut później czarny mercedes sunie cicho wzdłuż drogi,

która wiję się na stoku wzgórz. Na niebie ponad drzewami, jak zwykle po burzy, odbywają się zaślubiny oparów i ognia. Niebo jest monsunowe, choć to pora sucha i zimna. Song zastanawia się nad tą pomyłką klimatyczną. Ziemia zatracą swój rytm. Nagle spostrzega mężczyzn w drelichach. Uzbrojeni po zęby żołnierze posuwają się w kierunku przeciwnym do jego auta, a pierwszy z nich w każdym rzędzie dźwiga okazały lekki karabin maszynowy Maremount, czyli M60, który sieje spustoszenie na każdej wojnie. Grupy maszerują jedna za drugą, otoczone czujnymi oficerami. Song nigdy ich tyłu nie widział tutaj, tak daleko od granicy. Prawdopodobnie generałowie są zdenerwowani po strąceniu samolotu linii koreańskich w sowieckiej przestrzeni powietrznej. Najwidoczniej chcą zaatakować czerwonych w Korei Północnej. Song mówi do siebie, że to z pewnością sprawdziłoby się w przypadku załamania się międzynarodowego systemu finansowego. Prezydentowi Chon Tu-hwanowi i pre-

\* P-D.G. prezes i dyrektor generalny. (Przyp. tłum.)

mierowi Chin-lee Chongowi nie udałoby się w żadnym razie powstrzymać armii z chwilą pierwszej prowokacji komunistycznej.

Mercedes, prowadzony przez niewzruszonego Kyonga, niemal ociera się o rekrutów. Song przygląda się piechurom. Wszystkie twarze są skierowane na asfalt drogi: twarze



zaokrąglone, twarde, twarze młodzieńcze, zaczerwienione od trądzika, twarze bezduszne, równie gładkie jak stal karabinów zwróconych ku niebu.

- Dodaj gazu, Kyong.

- Jak pan sobie życzy.

Mercedes połyka szybko kilkaset metrów i Song odwraca wzrok od uniformów cętkowanych zielenią i czerwienią. Gdy przechodzi ostatni żołnierz, spod ciemnego lasu ukazuje się miasto, położone jakby wprost na paśmie gołej gleby. Tysiące budowli rujnujących podnóża wzgórz. Seul rozrasta się, strzelając w górę kaskadami betonu. Według Songa zbyt szybko.

Rozrastanie się miasta nie jest proporcjonalne do wzrostu gospodarczego.

Kyong szykuje się, żeby zwolnić przy pierwszym znaku ograniczenia szybkości. W tym momencie jakaś toyota 4x4, nadjeżdżająca z przeciwnego kierunku, nagle robi szybki zwrot w bok na jezdni i uderza gwałtownie w mercedesa na wysokości przedniego lewego zderzaka. Kyong wydaje zdławiony okrzyk, naciska na hamulec, wykonuje obrót kierownicą i w panice usiłuje uniknąć zjechania na pobocze. W tym miejscu krzywizna drogi wznosi się pochyło nad małym parowem. Kyong skręca i przyspiesza. Nic z tego. Traci panowanie nad pojazdem. Przednie koła obracają się w próżni.

Kyong zamyka oczy. Song kładzie się na tylnym siedzeniu, szarpiąc paznokciami skórę obicia. Wóz odrywa się od ziemi, szybuje przez dwie sekundy w powietrzu i opada na pnie sosen. Kyong czuje, jak deszcz szkła smaga mu twarz. Instynktownie podnosi ramię, gdy gruba gałąź przebija dach i miażdży mu głowę.

Nic... Już nic nie czuje. Nic nie słyszy. Czy jeszcze żyje? Zbędne jest stawianie podobnego pytania, potłuczone ciało Songa zaczyna się budzić. Song pozostaje nieruchomy, wtłoczony między wyrwane siedzenie a dach, który spłaszczył się w chwili gdy auto się przewróciło.

„Ogień... a jeśli ono się zapali...”

Ta myśl poprzedza uczucie strachu.

- Kyong? - szepcze.

Coś ciepłego spływa mu po policzku. Krew, krew jego wiernego sługi, którego głowa jak kawał mięsa zwisa nad nim. Natychmiast ogarnia go odraza, potem górę bierze trwoga.

„Muszę się stąd wydostać”.

Przy pierwszej próbie wyje z bólu. Ma złamaną nogę. Nie może nią poruszyć.

- Ratunku! Na pomoc! - woła wreszcie.

Wykrzywia usta w wymuszonym uśmiechu, gdy spostrzega psa. Doga. Prześlizgując się wśród drzew i krzaków, zwierzę kieruje się ku niemu i, zbadawszy w koło teren, układa się przed autem. W tym momencie nadchodzą dwaj mężczyźni w wiatrówkach. Idą nie odzywając się i nie spiesząc. Coś dziwnego widnieje w ich spojrzeniach. Czoła mają zryte głębokimi bruzdami. To nie jest duma ani pogarda, nie obrzydzenie, ale coś innego, jakby nieczyste sumienie.

Wyciągnijcie mnie stąd - prosi Song dwóch mężczyzn schylających się nad wrakiem auta.

- On jeszcze żyje - stwierdza jeden.

To nie ma znaczenia - odpowiada drugi.

- Co wy mówicie? - wykrzykuje Song.

- Trzeba z tym skończyć.

Dopiero wówczas Song dostrzega, że jeden z mężczyzn trzyma metalową bańkę. Odkręca nakrętkę i oblewa zawartością bańki auto. Benzyna. Song zaczyna się trząść. Strach go paraliżuje. Nie może krzyczeć. Wykręca się i udaje mu się wysunąć głowę przez zbitą szybę.

- Nie - błaga, podczas gdy mężczyzna polewa obficie. Benzyna piecze go w oczy. Mężczyzna opróżnił swój zbiornik.

Daje znak swemu towarzyszowi, żeby zabrał psa, i wyciąga z kieszeni wiatrówki pudełko zapalek.

- Opuścimy ten padół - mówi pod adresem Songa. Potem przygląda się konającemu, którego głowa jest z lekka przechylona na bok, i krzywiąc usta w lekkim uśmiechu pociera zapałkę. Tego lata Reagan wpadł w straszny gniew dowiedziawszy się o wysłaniu pięciu superdywizji francuskich do Iraku, lecz jego doradcy dowiedli mu, że było to pozytywne zaangażowanie się ze strony Francji.

Pamięta to do tej chwili. Bud i Poindexter starali się dowieść mu, że długa wojna między Irakiem a Iranem jest pożądana. Zgodnie z cichą umową trzeba było utrzymać równowagę między prowadzącymi wojnę a ich sojusznikami. Zapobiec upadkowi Iraku jest sprawą decydującą dla Bliskiego Wschodu, któremu w przeciwnym razie groziłaby całkowita „balkanizacja”. Wówczas w miejsce gniewu zrodził się niesmak: „Recovery”. Nie może dopuścić do tego, aby Iran stał się naturalnym partnerem Stanów Zjednoczonych przeciw Irakowi, sprzymierzonemu ze Związkiem Radzieckim. Przed kim powinien odpowiadać za wszystkie te dziesiątki tysięcy zmarłych? Przecież nie przed Donaldem Reganem, tym złym duchem, który co rano przychodzi go niepokoić w jego prywatnych apartamentach.

On już tam jest. I, jak zwykle, prezydent zgadza się na wszystko, przytakując bez przerwy, spijając jego słowa wraz z poranną kawą.

Prezydent zgadza się na wszystko, czego on chce, a Donald pozwala sobie działać na swój własny rachunek, uzyskując całkowitą wyłączność władzy, która do niego nie należy.

Chciałby być prezydentem, jednak rola szarej eminencji też mu się podoba. Siedząc naprzeciw Reagana, który ubrany jest jeszcze w bonżurkę, z „Washington Post” na kolanach i filiżanką kawy w ręku, Regan rozwinął już wielkie tematy, które będą rozpatrywane na zebraniu o godzinie 9.00. A teraz dyktuje, bo nie można tu użyć innego słowa, swoje rady Ronowi.'

- Musisz dać carte blanche Poindexterowi: demonstracja siły w cieśninie Ormuz jest konieczna, by wprowadzić w błąd naszych sojuszników. Irańczycy dali nam gwarancje: będą przestrzegali w miarę możliwości rezolucji pięćset czterdzieści o wolności żeglugi dla państw znad Zatoki. Jednocześnie dobrze by było ponownie °stro zainterweniować drogą dyplomatyczną we Włoszech, Izraelu,

Bal bankierów

65

Korei Południowej i Zjednoczonym Królestwie, które nadal dostarczą Iranowi części zamiennych. Izrael odegra swoją rolę. Izraelczykom zależy na tym, aby podać do publicznej wiadomości mało ważne kontrakty, zawierane w Szwajcarii, by odwrócić uwagę odj operacji „Recovery”. Musimy być wolni od wszelkich podejrzeń.

- Chciałbym mieć twoją pewność, Donaldzie. Kłamać dzień po] dniu, czy na tym polega nasza rola? Czy po to zostałem wybrany?! Odpowiedz mi uczciwie: czy nadal jestem obrońcą wolnego świata? Sprzedaję zboże Sowietom, broń Iranowi, technologię Libii, instruktaż Chinom, doradców Pinochetowi i przekazuję...

- Jesteś czołowym przedstawicielem wolnego świata. Nie powinie-] neś mieć wyrzutów sumienia, Ron. Kontrakty zbrojeniowe, której zawieramy z wrogami wolności, opiewają na przeszło miliard dola-] rów. Któż może nam robić z tego zarzut? Te pieniądze pozwalają nam walczyć na innych frontach bezpośrednio powiązanych z bez-] pieczeństwem naszego kraju. Czyż nie to jest naszym celem?

- Czy mam narażać się na oburzenie środków masowego przekazu?

- Środki masowego przekazu nic sobą nie przedstawiają... Pras\* jest gotowa przełknąć to, co jej podsunie. Nie będzie już Water-gate, bo opinia publiczna tego nie chce. Wierz mi, Ron. Obojętne komu sprzedajemy broń. Liczy się tylko to, że zapewniamy pracę dla naszego przemysłu. Przywódcy państw całego świata mają takie same wyrzuty sumienia: robią z siebie sprawców śmierci, aby ocalić zatrudnienie, stanowiska pracy, poprawić równowagę płacową wzmocnić swoją politykę zewnętrzną. Nawet prezydent Mitterand najbardziej

humanitarny ze wszystkich, ma swoje własne projekt] dotyczące przemysłu obronnego. Ekspansja sił konwencjonalnych w Europie, urzeczywistniona przez plan Rogersa, przedstawia sobi kontrakty na kilka miliardów dolarów; Mitterand domaga się nieustępliwie, aby spółki francuskie otrzymały swoją część tego nade łakomego kąska. Wszyscy wiemy, że te właśnie spółki zarzucają, naszą planetę bronią. Jeśli chodzi o zboże, czy mam ci przypomnieć co się działo czwartego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ( roku, kiedy twój poprzednik wprowadził embargo na handel zbożem?

- Nie, to zbyt cenne... Poindexter otrzyma carte blanche.

Znowu się poddał. Donald wygrał. Jak inaczej mógł odpowiedzieć? Carter jest przykładem, którego nie należy naśladować; nie docenił on siły wielkiej finansjery, banków i kupców podstawionych przez Sowieców. A ktoś z jego otoczenia zdradził go; w przeddzień jego wystąpienia w telewizji. Związek Radziecki złożył dodatkowe zamówienie na trzy miliony ton zboża. Potem włączyli się do akcji bankierzy międzynarodowi. Zawarli na rzecz Sowieców długoterminowe umowy z piętnastoma krajami, żeby zastąpić zboże amerykańskie. To był świetny interes. Fryderyk go pamięta. Embargo na zboże pozwoliło mu, dzięki podstawionym kupcom, wyciągnąć olbrzymie korzyści. Jego pośrednicy pracowali przede wszystkim z Argentyną i Kanadą. Kupił także soję amerykańską, kazał ją przetwarzać w Europie, a następnie sprzedał Związkowi Radzieckiemu, który zapłacił za całą transakcję ponad dwa miliardy dolarów. Oczywiście zapłacenie rachunku nastęrczało poważne trudności, gdyż Sowiecom zawsze brakuje twardej waluty. Toteż zmuszeni byli sprzedać naftę, diamenty, złoto i wszystko zostało załatwione. Ponieważ szczęście nie chodzi nigdy w pojedynkę, w roku następnym, gdy ceny na surowce spadły, Sowieci, aby zapłacić za import zboża, zmuszeni byli zaciągnąć krótkoterminową pożyczkę. Pośrednicy szwajcarscy Fryderyka znaleźli się w pierwszych szeregach tych, którzy im zaproponowali pożyczkę na 17 proc. W światku finansjery zostało to uznane za genialne posunięcie, a przez środki masowego przekazu za skandaliczne.

Czy Fryderyk jest superbankierem czy grabarzem? Czy ma duszę, czy tylko obwody scalone? I ilu takich jak on jest rozsianych po świecie? Kim jest naprawdę w tej chwili, gdy znajduje się obok tej kobiety, nagiej i omdlewającej? Oddała mu się, ponieważ jest uroczy. Uważa go za profesora lub kogoś w tym rodzaju, ale gdyby wiedziała... Fryderyk nauczył się podporządkowywać regułom, zgodnie z którymi powinien wtapiać się w anonimowy tłum nowojorski. Żadnych wyróżniających go ubiorów, żadnego auta ani długich rozmów, jedynie skąpa wymiana zdań. Spotkali się kilkakrotnie w Central Parku i kobieta się do niego uśmiechnęła. Pracuje w biurze

ogłoszeń, jest rozwódką, ma trzypokojowe mieszkanie naprzeciw rzeki Hudson i lubi kuchnię włoską. Nazywa się Elsa Barnett i jest idealnym parawanem dla Fryderyka. Skromna i nie zaborcza, należy do tych, które preferują nieczęste stosunki miłosne i przestrzegają higieny. Tego dowiedział się z notatki FBI wręczonej mu przez Northa.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, czym się zajmujesz i gdzie; mieszkasz? - pyta Elsa, przeciągając się w łóżku, podczas gdy on się) ubiera.

- Czy to potrzebne?

- Nie, ale założę się, że jesteś profesorem języków obcych.

- Czy ze względu na mój akcent?

- Tak, i na sposób, w jaki się ubierasz.

- Nie jesteś daleka od prawdy.

- Dobrze, Henryku... jak chcesz. Zachowaj swój sekret... Kiedy się zobaczymy i gdzie mogę się z tobą spotkać?

- Mam twój telefon, dam ci znać, gdy będę w tej dzielnicy, okay?

- Okay!

Fryderyk całuje kobietę. Myślimi jest już daleko, w Szwajcarii, gdzie czekają na niego duńscy armatorzy zaopatrzeni w umowy dotyczące transportu i dostaw towarów amerykańskich.

Melchior rozmawia przeszło dziesięć minut z Benito Hernandezem. I to przez telefon, co jest sprzeczne z elementarnymi regułami bezpieczeństwa. Ogranicza się więc do odpowiedzi jak najkrócej Benitowi ogromnie poruszonemu otrzymaną przed chwilą wiadomością o śmierci Songa Toegoe.

- To był wypadek i może tak jest lepiej dla niego. Obawiał się: nade wszystko tego, by jego kraj nie znalazł się w sytuacji zawieszenia płatności przed wprowadzeniem w życie naszego planu.

- Ależ to niemożliwe... Wszyscy bankierzy na naszej planecie obawiają się tego terminu i tego, co stanie się potem. Od czasu rewolucji kubańskiej i ogromnej ekspansji międzynarodowego rynku kapitałów żaden kraj poza Iranem - nie znalazł się w takim położeniu. My, bankierzy, zrobiliśmy wszystko, i robimy nadal, aby do tego nie doszło.

Wolimy posługiwać się innymi fortelami, jak rozłożenie na raty, moratorium niż stosowanie środka mogącego rzucić cień na kruchą strukturę, na której opiera się międzynarodowa działalność bankowa. Wreszcie, mówiąc „my” używam obrazowej przenośni, bowiem nadal pozostaję wierny moim zobowiązaniom wobec was.

- Tak też to przyjmuję, drogi przyjacielu... Mamy misję do spełnienia. Biedacy będą przez kilka lat skazani na jeszcze większy niedostatek niż obecnie, ale to jest cena, którą muszą zapłacić. Nie osiągną żadnego postępu, gdy gospodarkę świata charakteryzuje niepewność, wojny, niska stopa procentowa i nadmierne zadłużenie. Światu potrzebny jest nowy system stosunków gospodarczych, uwzględniający interesy ludzi i ich wzajemne potrzeby. A do nas należy przygotowanie nadejścia tej nowej ery, nawet gdyby to nie odpowiadało rządowi, blokom, partiom, innym bankierom i potentatom Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Uspokój się, Benito, i pomyśl o obowiązkach, które na ciebie czekają. Nie możemy ryzykować utraty ciebie.

Obaj mężczyźni wymieniają zdawkowe zwroty grzecznościowe i odkładają słuchawki. „Nie powinienem był do niego dzwonić” - myśli Melchior, udając się do parku, w którym czeka na niego kobieta. Powtórzy swą grę. Będzie udawał próżnującego miliardera osiadłego w Szwajcarii. To stosowne miejsce pobytu. Posiadłość jest wspaniała. Melchior ją wynajął. Z oczami utkwionymi w odległy cel Melchior czeka. Obok niego kobieta pali papierosa. Ubrana jest w różowy kostium z cienkiej skóry, botki sięgające powyżej kostek są również różowe, podobnie jak opaska podtrzymująca jej blond włosy, niewiarygodnie długie. Jej piersi wypychają skórę żakietu, a uda rozciągają skórę spódnicy, jej usta, duże i nabrzmiałe, płoną jaskrawą i zmysłową czerwienią. Każe nazywać się Mathias. Jakakolwiek możliwość przelotnej przygody z nią jest niemożliwa. Dlatego Melchior angażuje ją czasem w specjalnym biurze w Genewie. Jest bardzo droga.

Mathias robi kilka kroków ku niemu. Najmniejszy ruch ożywia ją i dodaje takiego uroku, że niewiele osób potrafi się temu oprzeć z wyjątkiem Melchiora.

- Nie ruszaj się - mówi z naciskiem.

Mathias nieruchomieje i czuje jedynie bicie swego serca. Odrzuca papierosa, zaciska wargi, a potem, usiłując przybrać swą zawodową postawę, odpina jeden po drugim guziki żakietu.

Melchior nie zwraca już na nią najmniejszej uwagi. Celuje. Pomimo nasilającego się wiatru, linia lotu strzały ukazuje mu się wyraźnie i dokładnie. Wypuszcza strzałę. Ciężka wibruje, strzała lecąca w powietrzu gwizdzie i wbija się w czerwone kółko tarczy.

- To nie jest gra - rzuca do Mathias, stojącej wciąż bez ruchu. Niczego więcej nie wyjaśnia. Wyciąga nauki z mądrości broni.

„Jest to ćwiczenie duchowe” myśli z nabożnym wyrazem twarzy.

- Pomyśleć, że mamy wiek dwudziesty - odważa się odezwać Mathias.  
- Wiedz, moja droga, że ja nie uważam zabytków przeszłości za ideały. Rozważania nad szczęściem dawnych ludzi pozostawiam utopistom. Widzę to, co dzieje się teraz, i pograżam się w przyszłości. Moja droga jest podobna do drogi strzały, którą właśnie wypuściłem. Nie można zmienić kierunku. Nie można zrezygnować ani żałować. Nic poza chwilą emocji i serią doznań. Ty jesteś wpisana w tę serię doznań i mam ochotę całować cię pośpiesznie i nieudolnie, tak jak to robią młodzi chłopcy. Idź się rozebrać i połóż się na brzuchu na stole bilardowym.

Mathias nie dowierza przez chwilę, ma minę, jakby chciała powiedzieć: „odczep się”, ale wreszcie się godzi, odgadując intuicyjnie, że opór na nic się nie zda. Odchodzi kręcąc biodrami, a jej krótka spódniczka odsłania nagie uda, które może wprawić w drżenie jeden podmuch wiatru. Widać z tego, jak wielkiego szczęścia doznaje, kiedy jest podziwiana. Być może Melchior uzna, że obdarzona jest wszelkimi talentami, zwłaszcza nocnymi. Tego nie wie.

Melchior skłamał. Jest coś, czego żałuje. Pewien sekret uporczywie tkwiący w głębi jego świadomości. Kładzie łuk u swych stóp i obraca się ku słońcu, ku temu płomiennemu migocącemu punktowi, zatopionemu w zielonej gęstwinie stuletnich drzew. Wstrzymuje oddech. Oczy ma pełne słońca, mózg pełen słońca i pełne słońca serce, tam, gdzie odradza się żal, słońca obojętnego na ból ludzi, tych ludzi, których Melchior chce zniszczyć, aby tym skuteczniej ich ocalić. Karl-milczek ukazuje się na progu głównego wejścia do willi. W swym czarnym garniturze, harmonizującym z czarnym swetrem wysoko zachodzącym na szyję, zbliża się, podobny do drapieżnego ptaka.

Melchior słyszy jego kroki. Karl-wysłannik. Natychmiast czuje się wyzwolony, jakby to wszystko, absolutnie wszystko w jego głowie, nigdy nie istniało. Przy pierwszym spojrzeniu, jakie wymieniają obaj mężczyźni, wszystko przybiera zwykły obrót. Zbędne są wszelkie słowa. Karl robi jedynie lekki, potakujący ruch głową. Karl pozwala się wykorzystywać i stosuje się do woli swego pana z głębokim uczuciem ulgi.

„Więc to się stało” - mówi do siebie Melchior.

Za chwilę weźmie udział, choć nie bezpośredni, w gonitwie. Lecz któż się o to troszczy? Nikt. Melchior kupuje i sprzedaje. Banki. Lasy. Dolary i jeny. Tyle transakcji zawiera się na świecie. Wówczas gdy światowy dochód roczny wynosi 11 500 miliardów dolarów, dzienne transakcje walutowe wynoszą 3 200 miliardów dolarów. Cały pieniądź świata obraca się sto dwadzieścia razy w roku. Przyspieszenie, szaleństwo, wir: pieniądź, który wreszcie przestaje mieć wartość, budzi trwogę ludów i rzuca ją w środek wiru, w którym znajdują się ludzie tacy jak Melchior.

Melchior musi jeszcze poczekać z palcem na przycisku detonatora zadłużenia światowego. Ta bomba waży w październiku 1983 roku 920 miliardów dolarów. Jeszcze nie jest dość ciężka; będzie mógł spowodować jej eksplozję, kiedy bomba osiągnie 20 proc. dochodu światowego. Wówczas nikt nie ustrzeże się przed jej destrukcyjnymi skutkami. Ten dług musi stać się głównym przedmiotem rozważań siedmiu mężczyzn.

„Trzeba ujarzmić ich dusze - mówi do siebie Melchior, myśląc o nich. - Religia zawsze uczyła rezygnacji, ja nauczę ich mojej religii”.

I spogląda na Karla, jakby chciał nadać swym myślom właściwy ciężar. Następnie kieruje się do willi, w której Mathias oczekuje go na stole bilardowym.

Paryż, 20 grudnia 1983

Podobnie jak każdy oficer dbający o zachowanie swej pozycji w świecie szpiegowskim, w którym panuje wysoka konkurencja

1 rządzi prawo szybkości działania, pułkownik Henri Seyne narzuca sobie bardzo ścisły dzienny rozkład zajęć. Poświęca mało czasu na przyjemności: trzy godziny tygodniowo na szermierkę, dwie godziny co wieczór na naukę sanskrytu i trzy dni w

miesiącu na rozrywki seksualne z Niną, swą przyjaciółką, prezenterką kosmetyków w Galerii Lafayette. Wszystkie jego czynności są zaprogramowane. Przed kilku laty wraz z grupą informatyków „Firmy” opracował zrównoważony rozkład zajęć, który następnie wprowadził do swego indywidualnego komputera, uaktualniając go co sześć miesięcy, i którego od tej pory przestrzega, o ile służba mu na to pozwala.

...Godzina 12.00: fala bólu słabnie stopniowo, Henri kończy swoją serię ćwiczeń brzucha i sprawdza rytm serca, porównując go z rytmem z dnia poprzedniego. Wszystko w porządku, waga także. Okay! Ciśnienie...Godz. 6.18: łyka kawę. Godz. 6.22: jest już po prysznicu. Następnie obrządek ubierania się i włączania urządzeń elektronicznych przed opuszczeniem mieszkania... Godz. 6.40 wsiada do metra.

O godzinie 7.16 przybywa do pracy w „Basenie”.\*

- Dzień dobry, pułkowniku.

Seyne ma wrażenie, że zderza się z lodową ścianą: wielki szef siedzi za biurkiem. Co on tutaj robi o tej godzinie? Dyrektor generalny obecny już o świcie! Seyne jest zbity z tropu: ani Pierre Marion, ani Alexandre de Marenches\*\*, słynni poprzednicy wielkiego szefa, nie przybywali tutaj bez uprzedzenia go i na pewno nie przed godziną 11.00 rano.

- Moje uszanowanie, admirale rzuca wreszcie.

Dopiero teraz spostrzega drugiego mężczyznę siedzącego wygodnie w fotelu. Latynosa. Oczy jego są całkowicie niewidoczne za okularami z przyciemnionego szkła. Czoło ma szerokie, skórę tłustą i opaloną, zmysłowe usta rozciągają się w uśmiechu, ale zapewne zawsze muszą być takie, dla ukrycia chytryści.

- Przedstawiam panu pułkownika Henri Seyne'a - mówi admirał. Milczący mężczyzna zwraca się do pułkownika.

\* „Basen” (La Piscine) nazwa nadana przez dziennikarzy francuskim tajnym służbom, gdyż siedziba DGSE znajduje się na bulwarze Mortiera w Paryżu naprzeciw basenu de Tourelles. (Przyp. red.) \*\* Pierre Marion: dyrektor naczelny SDECE. następnie DGSE. 1981-1982.

Alexandre de Marenches: dyrektor generalny SDECE. 1970-1981. (Przyp. aut.)

- Moje gratulacje za wykonaną pracę - mówi z wyraźnym obcym akcentem. I wyciąga do niego rękę.

- Pułkowniku ciągnie dalej admirał - oto pan Avraham Szalom. Nie trzeba nic już dodawać. Seyne jest przerażony: Avraham

Szalom to szef Mossadu (tajnej służby izraelskiej), jeden z porywaczy Eichmanna w 1960 roku. Zarówno przyjaciele jak i wrogowie nazywają go „Avrum”.

Avrum zdejmując okulary, ukazując swe oczy, na pewno zmęczone widokiem zbyt wielu cierpień i zabójstw, jednak jeszcze niezwykle żywe. Oczy zawodowca, które nigdy nie mrugają, tylko prześlizgują się po was jak brzytwa, żeby postawić ultimatum. Kiedy mówi, cała jego twarz porusza się i upodabnia go do zwierzęcia; ale jakiego zwierzęcia? Do demona ze Starego Testamentu, do golema, do gar-gulca\*, do zwierzęcia, którego inteligentne oczy zwężają się przed atakiem?

Seyne widzi jego wyższość. Ugina się pod ciężarem tego wzroku, zdolnego okiełznać, bez wydobycia oręża, najbardziej dzikie pragnienia.

Avrum jest częścią serca Izraela, mieczem Syjonu, który nie może i nie chce służyć wykorzenionym już pragnieniom swych rodaków, ale broni niezawisłości narodu żydowskiego.

Avrum zdaje się czekać, jego umysł jest ukryty wewnątrz skorupy nie do przebiccia, ale świadomość ma czujną. Tak długo, jak mu się udaje zachować tę równowagę, jest silniejszy. To ci inni mają się odsłonić.

- To pan Szalom kieruje operacją - ciągnie dalej admirał. - Dzięki jego usługom otrzymujemy większość informacji dotyczących akcji „Recovery” w jej fazie rozwojowej.

- Przybyłem tu z zamiarem poinformowania panów o Fryderyku Detmerze - mówi Avrum.

Avrum zdejmuje zasłonę. Rozprostowuje swe guzowate ręce na udach i rzuca groźnym głosem, tak jakby usiłował pohamować przyływ gniewu, którego przyczyny nie może odgadnąć:

- Jeśli chcecie obalić wroga, nie wystarczy zniszczyć go fizycznie,

\* Gargulec zwierzę będące wytworem fantazji, którego rzeźba umieszczona jest na rynnach średniowiecznych katedr, aby deszcz spływał z jego paszczy. Wiele ich jest na paryskiej katedrze Notre Dame. (Przyp. tłum.)

trzeba go najpierw przeniknąć. Detmer jest niebezpieczny. Jeśli go przenikniemy, włączymy się do jego spraw, jego sieci, jego życia, jego sumienia, jego duszy. Cóż o nim wiemy?

Prawie nic, ponieważ nie da się przewidzieć jego postępowania. Jedna rzecz jest pewna, to człowiek o podwójnym obliczu: on nazywa się także Melchior Saschauer.

- Co? - wykrzykuje Seyne.

- To co pan słyszał. Bankierzy Saschauer i Detmer to jeden i ten sam człowiek. Detmer jest znany w świecie finansów. Udało mu się podporządkować sobie wszystkich wielkich finansistów krajów nie-rozwiniętych i trzeciego świata. Terror to jego druga natura. Jest przyjacielem Kadafiego; dostawcą broni dla „nowej armii ludowej” Filipin; jest odpowiedzialny za umocnienie się opozycji antyamerykańskiej w Meksyku i Brazylii; manipuluje Rudolfem Seguelem, przewodniczącym narodowego zarządu pracowników i organizatorem wielkich strajków w Chile... To doprawdy interesujący bankier, powiecie mi, jednak on nie jest jedynym, który wierzy, że po pierwszym kryzysie naftowym powstała nowa rasa biznesmenów. Oni nie solidaryzują się już z wielką rodziną, która zbiera się na jesieni w Waszyngtonie, jednocząc cztery tysiące najznakomitszych jej członków, poczynając od Banku Światowego aż do banku Lloydsa. Dotychczas psychika bankierów bardzo się różniła od psychiki finansistów. Pierwsi byli pełni rezerwy i ostrożni, drudzy - demagogiczni i awanturniczy. Wygląda na to, że tacy ludzie jak Detmer-Saschauer są czymś pośrednim. Zrodzili się oni ze sprzeczności pomiędzy ostrożnością krajów bogatych a zbyt śmiałymi wymaganiami krajów biednych, marzących o nowym porządku świata. Chcąc mieć wpływy na arenie międzynarodowej i umocnić swą władzę, niektóre rządy obu bloków posługują się takimi ludźmi, ułatwiając im w ogromnej mierze omijanie prawa, dając możliwość jednoczesnego prowadzenia banków depozytowych i inwestycyjnych. Pan mnie nie rozumie, pułkowniku? To bardzo proste: banki inwestycyjne są sprawne i przejściowo pełnią rolę pośredników na arenie światowej, jednak ich rola jest znikoma, ponieważ nie dysponują miliardami dolarów depozytowych stanowiących klucz do potęgi bankowej. Gdyby klucz depozytowy dać inwestorom, to świat się zmieni... na gorsze lub na lepsze. Nie wiemy, co nam przygotowuje

cZ}ovviek, o którym mowa; miał pan nosa, pułkowniku, wypuszczając swoje ogary na jego trop.

\_ Chcieliśmy wyświetlić pewne punkty operacji „Recovery” i trzeba było koniecznie dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Nie osiągnęliśmy wyników.

- A co zamierzacie uczynić?

- Prowadzić sprawę dalej, przeniknąć do jego otoczenia. Przygotowujemy w tym celu agenta.

- To nie będzie łatwe.

- Co pan wie jeszcze o Detmerze-Saschauerze? I dlaczego nie powiadamia się Amerykanów?

- Ja osobiście nie lubię pewnych przywódców amerykańskich i podejrzewam ich o antysemityzm; Casey dybie na moją skórę, a ja nie wierzę w powodzenie operacji „Recovery”. I jeszcze coś: Detmer pracuje z Northern i Caseyem, podczas gdy Saschauer posługuje się Harrym Belmanem, wysokim funkcjonariuszem CIA, demokratą i przeciwnikiem Reagana; ale wydaje mi się, że pan go zna. Jak pan widzi, ten człowiek ma więcej niż jedną cięciwę w swym łuku. Oto jego rozkład zajęć w ostatnich dniach - mówi, wyjmując kartkę z kieszeni:

„13/12/1983 r.: odlot do Nowego Jorku.

14/12/1983 r., godz. 13.08: Spotyka dwóch redaktorów gazety »Buisness Week« Joyce'a Mandigana i Petera Tucka; godz. 18.12: Udaje się do Dennisa C. Sheltona, członka SEC - Securities and Exchange Commission. Godz. 20.00: Zebranie w siedzibie Nassau Bank i opracowywanie planu »Złoto«."

- Co to za plan? pyta admirał.

- Saschauer - wyjaśnia Avrum - założył utajone spółki, rozsiane na terytorium Stanów Zjednoczonych. Dokładnie dwadzieścia jeden spółek, których zadaniem jest interweniowanie na rynku handlu złotem. To pozwala naszemu bankierowi na posiadanie maksymalnej liczby stu dwudziestu sześciu tysięcy umów na sto uncji każda, czyli dwanaście milionów sześćset tysięcy uncji\* złota, które można kupić na określony termin, podczas gdy reglamentacja pozwala na posiadanie sześciuset tysięcy uncji na jedną osobę... Jednak żadna z tych

\* W przybliżeniu 400 ton. (Przyp. aut.)

spółek nie otrzyma nakazu masowego wykupu złota, przynajmniej do czasu aż kartel krajów rozwijających się nie będzie w stanie odmówić spłaty swych długów. Z drugiej strony, przypominam to panom, Saschauer ma sześćset osiemdziesiąt dwie spółki tego typu rozsiane po innych kontynentach. „17/12/1983: Odlatuje do Ankary.

18/12/1983: Ponowny lot prywatnym odrzutowcem w kierunku Damaszku..."

Seyne się zamyśla. Zastanawia się, czy powinien nadal posługiwać się Elżbietą Cortes, aby się zbliżyć do Detmera-Saschauera. Ona jest nie przygotowana, a na to, by ją przygotować, pozostaje mało czasu.

12

Hamburg, 10 stycznia 1984

Okręt stoi w porcie. Na jego zardzewiałym kadłubie można przeczytać „Vendsysse II". Statek ten nie ma wspaniałego wyglądu. „Dobry na złom" - powiedzieliby agenci ubezpieczeniowi. Jego wartość jest jednak olbrzymia. A człowiek, który wchodzi na jego pokład, nie myli się co do tego. W największym sekrecie przybył aż tutaj, myląc trop począwszy od Brukseli.

Kapitan czeka na niego na swym mostku. Zamieniają kilka słów, przekazują sobie nawzajem koperty i rozchodzą się. Godzinę później mężczyzna z Brukseli nakręca numer telefonu.

- Zrobione - mówi po prostu, gdy jego rozmówca podnosi słuchawkę. Ten rozmówca z kolei telefonuje do innej osoby i wkrótce informacja dociera do Fryderyka, do jego biura w Genewie. Fryderyk z ulgą odkłada słuchawkę: „Vendsysse II", przewożący pociski Stinger wyprodukowane przez General Dynamics i szwedzkie RBS-70, otrzymał swą nową cedułę przewozową, która go zaprowadzi do Kapsztadu. Potem operacja będzie się powtarzać aż do chwili, gdy zostanie rozkaz zarzucenia kotwicy w porcie Charak w Iranie. Myśli o tych statkach naładowanych bronią, krążących po wszystkich morzach świata i o ryzyku ucieczki. Zbyt wiele osób jest w to wtajemniczonych, choć mogą nie znać prawdziwego charakteru prze-

wożonego ładunku. Nie ręczy za utrzymanie w sekrecie akcji „Reco-very". A jednak organizacja jest znakomita: Irańczycy przesyłają mu zamówienie do Szwajcarii. On przekazuje je swoim amerykańskim pośrednikom z Rady Bezpieczeństwa Narodowego, którzy najspokojniej w świecie dokonują zakupu na rachunek armii amerykańskiej- Sprzęt strategiczny zostaje następnie powierzony spółkom amerykańskim, założonym przez Fryderyka, a te z kolei mają do czynienia z kilkoma, stale innymi, morskimi biurami transportowymi. Numery rachunków i bonów transportowych są za każdym razem fałszowane w trakcie skomplikowanego transportu międzynarodowego, aby umknąć spod kontroli aliantów. Kiedy Fryderyk staje się Melchiorem, posługuje się tą samą techniką maskowania, żeby zaopatrywać grupy rewolucjonistów w różnych częściach globu, starannie



wybrane przy pomocy jego siedmiu pomocników, z Benito na czele. Ale w tym przypadku ryzyko, na które się naraża, jest mniejsze, ponieważ handel dotyczy znikomych ilości. Fryderyk rozgrywa swą partię ostrożnie. Aby jego projekt się udał, musi utrzymywać się ciągle napięcie międzynarodowe, utajone wojny, terroryzm, skandale finansowe i polityczne. To, czego się spodziewa, co sobie uświadamia, nastąpi w bliższej lub dalszej przyszłości, czyli bez niego. Wszyscy bankierzy naszej planety to przeczuwają. Oni stali się głównymi aktorami w tragedii narodów.

Paryż, 16 lipca 1985

Długo ją przygotowywali, odbyła podróż do Izrael Stanów Zjednoczonych, Meksyku. Całymi miesiącami zastanawia? • się nad jej misją, a ona spędziła całe miesiące pracując nad hi 'pańskim, swoim językiem ojczystym, i nad angielskim, jeśli chodzi o terminologię techniczną. Obecnie uznali, że nadszedł czas, aby ją uodpornić psychicznie. Elżbieta słucha Seyne'a z rękami grzecznie spoczywającymi na spódniczce kostiumu.

- Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób dostanie się pani do jednej z organizacji, założonych przez tego człowieka, który czasem nazywa się Saschauer, a czasem Detmer, ale możliwości są nieograniczone. Na początku tej afery myśleliśmy, że zatrudnimy panią jako infor-matorkę w ramach operacji „Recovery”, jednak z upływem czasu równoległe działania naszego bankiera wydały nam się ważniejsze. Można by się założyć, że sektor bankowy jest jednym z tych, które zajmują pierwsze miejsce w programach wszystkich tajnych służb świata, o ile już się tak nie stało. Rosnące długi sprawiły, że pomiędzy wierzycielami a dłużnikami powstały wzajemne zależności, tworząc niejednokrotnie interesująco powiązane z sobą pary; polscy komuniści i amerykańscy republikanie antykomunistyczni; dyktator chilijski i czcigodny bankier nowojorski; Arabowie Saudyjscy i Izrael. Czy im to się podoba, czy nie, nie mogą tego uniknąć. Do nas należy zbadanie przyczyny tych pozornych megaliansów i wyciągnięcie z tego wniosków na przyszłość. Nie znamy zamiarów Detmera-Saschau-era. Pani wstąpiła do DGSE wiedzona zwykłą ciekawością umysłu. Jak dotąd wypełniała pani zlecenia rutynowe. A tymczasem powinna pani, a nie jest to powieść awanturicza, mieć dość zimnej krwi, aby wysadzać w powietrze pociągi, samoloty, statki, albo stać się osobą zaufaną urzędującego ministra w jakimś kraju. Umieć posługiwać się bronią terrorystyczną, dorównywać innym agentom, przenikać skryte myśli jednostek, zmieniać osobowość, a także, po długim pobycie w obcym kraju, mieć wpływ na podstawowe decyzje państwowe. Oto umiejętności, które powinna pani w sobie rozwijać. Czy pani rozumie, jakie to umiejętności?

- Tak, rozumiem.

W taki sposób pułkownik Seyne nadal prowadzi szkolenie Elżbiety Cortes. Mierzą się spojrzeniami, a pułkownik w dalszym ciągu ją przygotowuje.

- Czy pani się na to zgadza?

- Tak, zgadzam się.

Przypomina sobie liczne rozmowy z innymi osobami. Kim byli ci inni? Wywiadowcami z ministerstwa, oficerami ze służby bezpieczeństwa? Zjawili się po jej przeniesieniu służbowym. Zadawali jej pytania po koleżeńsku, ponieważ, tak jak oni, miała stopień oficera. Rutyna. Tajna służba. Jednym słowem, argumenty, obowiązek, urok osobisty, zobowiązania, wszystko było dobre, by ją dręczyć, dzień po dniu, na pływalni, u niej w domu, gdzie indziej...

Minął pewien czas. Spotkali się z pięćdziesiąt razy. Godziny spędzone pod skrzydłami tego człowieka, który półsłówkami mówi jej, iak pogodzić wszystkie nieuporządkowane elementy jej życia dla celu, którego ona jeszcze nie zna, ale to jest wojsko...

Elżbieta wyczuwa nateżoną uwagę Seyne'a, napiętą do ostatnich granic. Seyne, z łokciami opartymi na biurku, z twarzą szczupłą i bladą, wysuniętą naprzód, przeszywa ją jasnym i ostrym spojrzeniem.

- Dlaczego zgodziła się pani współpracować z nami?

Pytanie ją zaskakuje. Przed chwilą powiedział jej, że wstąpiła do DGSE przez czystą ciekawość, a teraz chce ją doprowadzić do tego, by powiedziała prawdę, zwykłą prawdę:

- Być może przez całkowite zaangażowanie się w to, co uważam za słuszne, przez poświęcenie się dla niezawisłości narodu... Tak właśnie czułam, kiedy pan mi zaproponował pracę w tajnej służbie... A dziś wierzę i mam nadzieję, że sprawa będzie godna i słuszna.

- Nigdy pani nie mówiłem o słuszności ani o godności, o patriotyzmie i poświęceniu. Skąd pani to wzięła? Z jakiej powieści? Z jakiego podręcznika wojskowego? Proszę zapomnieć o wpojonych pani ideach, o szlachetnych uczuciach. Wielką sprawę narodową ujrzy pani często w stanie rozkładu i bezsilności. Odkryje ona przed panią ciemną stronę, a wtedy pani zrozumie, z czego powstaje wielkość kraju.

Seyne wyciąga nagle ramię, chwyta rękę Elżbiety i zaczyna ją mocno ścisnąć. Tak mocno, że ona stara się ją uwolnić. Sprawia mi pan ból.

- Ból jest tylko wytworem pani mózgu, nie do mnie należy uczyć panią mechanizmów walki z bólem, to przyjdzie z czasem, ale od innych osób. Teraz liczy się każda sekunda, mamy mało czasu, a ja muszę panią nauczyć naszych obyczajów... Czy kocha pani swą matkę?

Zdziwienie odmalowuje się na twarzy Elżbiety: Co ma wspólnego z tą rozmową jej matka?

- Tak - odpowiada, krzywiąc się z bólu.

- Nie! Pani jej nienawidzi.

- Ależ to nieprawda!

- Pani przeszłość już nie istnieje, te wspomnienia żyją w pani wyobraźni. Pani nienawidzi swojej matki. Pani jej nienawidzi, od chwili gdy pani zobaczyła, jak spała z pani bratem.

- Pan całkiem zwariował.

Co on jej opowiada?... Ona nie ma brata.

- Pani przeszłość nie istnieje. Pani ojciec popełnił samobójstwo, rzucając się z mostu w Meksyku.

Elżbieta wytrzymuje spojrzenie Seyne'a z trwogą, pod którą kryje się gwałtowna chęć, aby z tym skończyć. Zapomina o obowiązującej hierarchii służbowej, chce wymierzyć mu policzek. On unika uderzenia odchylając się do tyłu, po czym jeszcze silniej ścisną jej uwięzioną rękę, dzięki czemu poskramia młodą kobietę.

- Powtarzam to pani - mówi akcentując każde słowo - mamy mało czasu, by panią nauczyć, że świat, do którego została pani przyjęta, w niczym nie przypomina ogrodu w stylu francuskim, który pani opuściła. Zagłębi się pani w dżunglę pełną śmiertelnych niebezpieczeństw. Jest pani jeszcze bardzo słaba, pani instynktowny bunt jest tego dowodem... Pani przeszłość nie istnieje.

Elżbieta usiłuje opanować nerwy. Czuje się obnażona przed tym katem, który nie zwraca uwagi na jej doznania. A wstydem jest nie to, że okazuje słabość, ale że okazuje ją pod czyimś obojętnym spojrzeniem.

„On ma rację... On ma tysiąckrotną rację - myśli w wściekłości. Zachowuję się zawsze jak podrzędny agent wywiadu”.

- Moja przeszłość nie istnieje - mówi wreszcie jednym tchem, jakby wydobywała słowa z głębi brzucha.

- Pani nienawidzi swojej matki. Pani ojciec popełnił samobójstwo z powodu tej ladacznicy.

- Nienawidzę swojej matki, mój ojciec popełnił samobójstwo z powodu tej ladacznicy.

- Uwielbia pani koty.

- Uwielbiam koty.

Seyne uwalnia rękę Elżbiety i szuka czegoś w szufladzie swego biurka. Wyciąga z niej aktówkę z zielonej skóry i podaje Elżbiecie.

Proszę nie otwierać jej tutaj. Proszę zaczekać, aż będzie pani u siebie. To wszystko na dzisiaj. Zobaczymy się jutro o tej samej porze.

- To niemożliwe. Mam wziąć udział w zebraniu informacyjnym sekcji analiz.

- Zmieniliśmy rozkład. Od tej pory jest pani pod moimi roz-

kazami. Urząd Bezpieczeństwa doręczy pani stałą kartę wstępu. Może pani nią dysponować. Elżbieta bierze aktówkę cała pod wrażeniem tych słów. Droga, która się przed nią otwiera, to szereg gwałtownych posunięć, stałego zadawania sobie pytań, jest pełna ognia i niebezpieczeństw. „Wytrzymam - mówi do siebie. - Wytrzymam po to, żeby pokazać, że jestem warta więcej niż mój obraz, który sobie wytworzyłeś, mój pułkowniku”.

Manila, 20 lipca 1985, godz. 17.30

Merienda jest w całej pełni. U Pizalów przybiera zawsze charakter święta... Opuszczają pałac Marcosa i udają się tam całym orszakiem, limuzynami, w towarzystwie kochanek i kochanków, dzieci, dziewczynek, z narkotykami i strażą przyboczną. Śmieją się pod krzewami śmiechem faunów i bezwstydnymi prostytutkami. Na dźwięk syntetyzowanych gości gromadzą się wokół długich stołów. Ich żarłoczne usta zbliżają się do srebrnych tac wypełnionych takimi przysmakami, jak sapin-sapin, putang-puti, puto-maya, pancit-molo i bibinka ze słodzonego ryżu, przyprawione orzechem kokosowym.

Melchior stoi na uboczu, nie chcąc się mieszać z tym tłumem śmiesznych dekadentów, nie umiejących powściągnąć swych niepohamowanych zachcianek i odmawiających spojrzenia na rzeczywistość: na nędzarzy włączających się po sąsiednich ulicach.

Nagle tłusta i miękka ręka dotyka jego ramienia:

- Może pan skosztuje?

To Jose Pizal, jeden z siedmiu. Podaje Szwajcarowi palapong - ciasto z ryżu. Twarz jego, naznaczoną przebytą chorobą weneryczną, rozjaśnia miódowy uśmiech. Czarne, posmarowane oliwą włosy błyszczą, podobnie jak jego maleńkie, ciemne oczy ukryte za grubymi szklami okularów.

Proszę skosztować, drogi przyjacielu - mówi Pizal. - To jest wiza do Filipin.

Melchior bierze palapong i waży go w ręku.

- Ten ryż nie kosztuje was zbyt drogo - mówi.

- Będzie tak dotąd, dopóki bank Citicorp będzie wystawiał na

6 Bal bank erów

81

równi z innymi bankami krótkoterminowe obligacje, odpowiadające długom krajów będących producentami ryżu.

- W dniu, w którym te obligacje nie znajdą nabywców, bank Citicorp powinien przekształcić swój kredyt bez pokrycia w pożyczkę i wpisać ją do swego bilansu; wtedy nastąpi katastrofa.

- To jest to, czego pan pragnie, nieprawdaż?

- Głowa Johna S. Reeda\* będzie pięknym trofeum.

- A także wszystkie banki amerykańskie.

- Ja chcę wiedzieć więcej - mówi Melchior, wyciągając palec wskazujący ku Pizalowi.

- Rzucimy na kolana Citicorp, Dai-ichi Kongyo, Bank of America, Fuji Bank i wszystkie banki świata - dorzuca Pizal.

Milkną. Młode dziewczyny z plemienia Kalingas, z wytatuowanymi ramionami, przynoszą im chłodzące napoje. Ich ufrizonowane włosy wydają ciężką woń, płaska kość, zawieszona na skórzanym rzemyku okalającym szyję, kołysze się pomiędzy ich małymi piersiami o sterczących sutkach.

- To moje ostatnie nabytki - chwali się Pizal - pochodzą z północy Luzonu. Ich tatuaż zażegnuje ból.

- Wydaje mi się, że ta kość na ich naszyjnikach również ma działanie magiczne.

- To jest „kość radości”. Pochodzi z głów, które ścinają swym wrogom. „Upiory są wszędzie - mówi ich przysłowie - tylko głowa jest od nich wolna”. Toteż każda rodzina musi zdobyć przynajmniej jedną głowę na rok, ponieważ taka zdobycz uśmierza wszystkie bóle. Ale ich chorobliwe upodobania nie kończą się na tym - mówi ze śmiechem. - Wyjmują najpierw mózg, mieszają go z alkoholem z trzciny cukrowej, zwanym basi, i wypijają to w czasie uroczystości, podczas której rąbią ciało pozbawione głowy siekierą, po czym, umieszczone między dwoma drewnianymi różnami w pozycji płodu, oddają je swemu plemieniu.

- Powinienem z tego wnioskować, że te młode dziewczyny z dobrych rodzin przybyły tu, aby przygotować basi z mózgow pańskich przeciwników politycznych.

- Być może - odpowiada Pizal z tajemniczym uśmiechem - ale tu

\* Dyrektor najpotężniejszego banku świata, Citicorpu. (Przyp. aut.)

odgrywają one inną rolę... Są na wpół dzikie, nieco okrutne, trochę szalone, tam w dżungli pokrewieństwo i kuzynostwo graniczy z kazirodztwem, to podoba się moim przyjaciółom z Manili... Wie pan, co mam na myśli?

- Tak, doskonale to rozumiem.

- Czy chce pan jedną lub dwie z nich na dzisiejszą noc?

- Innym razem; Luzon to okolica pełna uroku, jednak wolę, żeby mi pan mówił o Mindanao. Pizal przytakuje szefowi i obserwuje swych gości, których usta ciągle się otwierają jak wrota, pochłaniając wszystko, co mają w swoim zasięgu. Wszystko idzie dobrze. Wkrótce alkohol i piekielny hałas muzyki poderwą ich i uniosą ku podium do tańca. Są obojętni na wszystko inne.

- Nie tędy, panie Saschauer. Proszę za mną.

Melchior podąża za Pizalem. Nikt nie zwraca na nich uwagi, z wyjątkiem pewnej kobiety, bardzo typowej dla swej rasy. Chinka

o wyskubanych brwiach, na których miejscu nakreśliła na skórze, koloru masy perłowej, dwa czerwone łuki. Czerwone są także jej spodnie, bardzo obcisłe, błyszczą lekko uwydatniając długie i muskularne nogi.

Melchior zdaje sobie sprawę, że kobieta przygląda mu się z tępotą zwierzęcia. Jej palce, zakończone niezmiernie długimi paznokciami, lekko drżą. Jakaś dawka narkotyku z pewnością płynie w jej żyłach. Ujarzmiona namiętność rozpala jej ciało, liczy, że zostanie wybrana.

Dwaj mężczyźni wchodzą do olbrzymiego domu w stylu kolonialnym, zbudowanego nie opodal leniwej rzeki Pasig, przepływającej przez część dzielnicy willowej.

Korytarz jest złocisty i biały. Gabinet z kilkoma obrazami Gustawa de Smeta i Marii Laurencin, w dwóch całkowicie różnych stylach, zawieszonymi pośród pięciu a może sześciu tysięcy książek

1 dziesięciu świętych ptaków burak, grubo ciosanych w drewnie i pomalowanych na jaskrawe kolory.

Pizal wskazuje Melchiorowi skórzany fotel, sadowiać się z lubością na kanapie. Tutaj, w sercu swego królestwa, jest szczęśliwym, zdeprawowanym spadkobiercą kilku wieków kolonializmu, dynastii kupców-polityków, nieuczciwych inwestorów, prowadzących rozbój na Pacyfiku.

Oto jesteśmy z dala od podsłuchujących nas uszu - mówi zapa łąjąc amerykańskiego papierosa. - Czego pan chce się dowiedzieć'

- Przez wiele lat był pan kimś w rodzaju ministra tajnych finansów Marcosa, cieszącym się poparciem jego żony. Co ma pan zamiar zrobić po ich wyjeździe? Ich wrogowie nie oszczędzą pana.

- Wydałem już odpowiednie zarządzenia. Dzięki panu zdobyłem poparcie CIA... Około dziesięciu milionów dolarów zastało rozdzielonych dla szefów opozycji. Od roku moja rola polega także na umacnianiu popularności Corazon Aquino.

- Jest to plan „Cory” - mówi Melchior, który zna go w ogólnych zarysach. - Jego wykonawcą będzie szef konserwatystów SaWador Laurel. Musi pan się z nim zaprzyjaźnić. On jest naszym ratunkiem na przyszłość. Przy nim będzie pan mógł nadal pełnić funkcję tajnego ministra finansów i pracować dla kartelu. A teraz przejdźmy do naszego planu destabilizacji. Pizal rzuca niespokojnie okiem w kierunku drzwi wejściowych i przesuwają się do Melchiora, aby mówić do niego cichym głosem:

- Kazałem zgładzić wszystkich przywódców komunistycznych z Mindanao, przeciwników aliansu z „nową armią ludową”\*. Ta ostatnia, zbliżona poglądami do naszych, będzie reprezentowała jedyny ruch komunistyczny na wyspie. Wojna domowa nasili się w momencie, kiedy nowy rząd będzie próbował naprawić zachwianą gospodarkę kraju. Niepokoje będą tak duże, że zagraniczni inwestorzy nie ośmielą się próbować szczęścia na Filipinach.

- „Nowa armia ludowa” musi mieć taki skład, żebyśmy mogli nią kierować. Przywódcy lokalni i regionalni będą wyznaczeni i kierowani przez pana agentów. W żadnym momencie nie możemy przestać być panami sytuacji.

- Będę czuwał nad tym osobiście. \_ A sprzęt wojenny?

- Broń, dostarczona przez okręty, znajduje się już w Kiamba, następna partia wylądować w najbliższych dniach między Cateel a Ca-rag, po czym zostanie rozdzielona i ukryta w górach. Rozdamy ją w odpowiednim czasie. Skoro stawiamy na szybkie pogorszenie się sytuacji politycznej i gospodarczej kraju natychmiast po objęciu wła-

\* Obecnie w opozycji wobec Corazon (Cory) Aquino. (Przyp. aut.)

dzy przez zwolenników Corazon Aquino, te buntownicze wojska w końcu osiemdziesiątego ósmego roku opanują całą Mindanao, cZyli prawie połowę terytorium Filipin... My wygramy, panie Saschauer.

Melchior zdaje się już nie słyszeć ostatnich słów Pizala. Niedostrzegalny trzask przyciągnął jego uwagę. Pochodzący z korytarza. Uspokoiwszy gestem ciekawość Pizala wstaje z fotela, zbliża się po cichu do drzwi i otwiera je raptownie.

Stoi tam Chinka, ubrana na czerwono, oparta o framugę, bynajmniej nie zmieszana nagłym pojawieniem się Szwajcara.

- Co pani tu robi? - pyta Melchior.

Ręce Chinki są prawie tak samo zręczne i wyćwiczone, jak ręce tancerki singkil. Przesuwają nimi przed twarzą Melchiora i lekko przyciska je do jego warg.

- Czekam na ciebie.

Niech pan nie zwraca na nią uwagi - mówi Pizal. - Kiedy się rozmarzy, popada w obłąd erotyczny i zagina parol na każdego cudzoziemca biorącego udział w moich przyjęciach. Jest to siostra naszego przyjaciela, Amosa Dawe'a, bankiera z Hongkongu, poszukiwanego obecnie przez CIA.

Melchior pamięta Amosa, który w 1973 roku zamieszkał w hotelu „Hyatt Regency” w San Francisco. W ciągu trzech lat ten Chińczyk stał się właścicielem kilku banków amerykańskich działających w okolicach Silicon Valley. Był to skandal, który zachwiał administracją amerykańską. Skazany przez sąd cywilny w Stanach Zjednoczonych został także postawiony przed sądem w Hongkongu i ulotnił się w listopadzie 1982 roku.

- Nie jest pani warta więcej od swego brata - mówi Melchior, odpychając ręce Azjatki.

Nie chce się poniżyć. Nie chce przelotnego stosunku w domu tej świni Pizala. Po chwili, jakby żałując twardych słów, które wypowiedział, dodaje:

- To nie jest ani odpowiednia chwila, ani miejsce, panno Dawe. Proszę wrócić do gości pana Pizala, jestem pewien, że wielu z nich zareaguje na pani urodę.

Chinka zdaje się go nie słuchać. Przykłada ręce do swych piersi, głaszcząc ich czubki przez jedwab bluzki. Melchior czeka, nie krępując się, jakby nieobecny. Doświadczenie nauczyło go, że aktywność seksualna i pożądanie mogą przestać go interesować pod warunkiem, że potrafi poddać się medytacji.

Pizal, zaintrygowany, podchodzi do niego, i spostrzegłszy sztuczki młodej kobiety, mruga okiem, opuszczając powiekę w sposób uspokajający i kpiący.

Zostaw nas, Tian - napomina ją wreszcie, widząc, że Szwajcar pozostaje obojętny na te zaczepki.

Tian pochyla się i znika, nie omieszkując pokręcić na odchodnym pośladkami.

- Cudowna, nieprawdaż? - ciągnie dalej Pizal.

- Wierzę panu na słowo, jest pan lepszym znawcą wdzięków ciała kobiecego niż w dziedzinie finansów.

Trudno nie być ekspertem w dziedzinie ciała w Manili. Tian jest nadzwyczajna. Jej brat powierzył mi ją wraz ze swoim tajnym majątkiem, nim się ulotnił z Pekinu. Ale ona jest niezdolna, niemożliwa do upilnowania, zwłaszcza tutaj. Myśli tylko o uprawianiu miłości. Cały mózg ma wypełniony seksem, kiedy się zaciąga jakimś świństwem, wyciągiem z kory drzewa afrykańskiego. Ale nie ona jedna. Kiedy się pan przejdzie wokół po majątku, zrozumie to pan lepiej.

Na te słowa Melchior wyciągnął podbródek w stronę korytarza, jakby nasłuchując i coś sobie wyobrażając. Potem zagryzł dolną wargę na znak nagłego gniewu i ostro przemówił do Filipińczyka.

- Pan się kompromituje, panie - Pizal. Trzeba temu położyć kres. Pan powinien zdobyć zaufanie pospólstwa swoją godną postawą, jako wzór dobrego chrześcijanina. Żyje pan w kraju bardzo przywiązanim do Kościoła! Oto co pan powinien im pokazać. To jest moje ultimatum. Nie zawaham się zerwać z panem, o ile nie zmieni pan swych obyczajów.

- ...Poprawię się...

- Zrobi to pan znakomicie.

- Tak.

- Dobrze. Niech pan wraca do nich. Udzielam panu czterdziestu ośmiu godzin odroczenia.

Pizal wymyka się szybko, ścigany nieubłaganym spojrzeniem Melchiora. Ten ostatni doznaje wstrząsu otwierając kolejne drzwi. Każ-

dy pokój, przez który przechodzi, kryje koszmarną niespodziankę, uściski bez żadnego skrepowania, zakazane rozkosze...

Przez moment, przez uchylone drzwi sali pogrążonej w półmroku, rozróżnia wyraźnie ruchy białych rąk, które wprowadzają olbrzymi członek męski z kości słoniowej między uda i wyjmują go. Jakiś hałas odwraca jego wzrok od tego widoku.

Biegną ku niemu dziewczynki, ubrane w slipki pozwalające widzieć cały gładki wzgórek łonowy; te slipki to zwykły sznureczek na biodrach i drugi połączony z nim prostopadle, tak wąski, że znika między wargami sromowymi uwypuklając je. Dziewczynki otaczają go, śmieją się i znikają, ścigane przez hałaśliwą grupę młodych. Melchior usuwa się. Banda rzuca się do przodu. To jest Manila. Grzech w całym swym spokoju, w całej beztrosce, pociągający za sobą gwałty, choroby weneryczne i śmierć. Wszyscy ci ludzie to samobójcy, ale czyż nie tego właśnie pragnie? Melchior opiera się o pień drzewa i czeka, aby o zmierzchu zajaśniało miasto. A nadchodząca noc zaciera koloryt ziemi, pozostawiając na niej tylko cienie... Ucieka z domu Pizala, ucieka od ulic Manili i zamyka się w swoim hotelowym pokoju. To jest dopiero preludium do wspianiałej orgii nocnej.

13

La Ceiba, Honduras, 24 lipca 1985

Uprowadzony przez CIA Edgar Chamorro opuścił swą posiadłość w Miami. Jako dawny zwolennik Somozy i działacz antysandinowskiej Contry obecny jest przy każdej transakcji

zawieranej między zarządami spółek Fryderyka w Hondurasie - SICDM i GESPS - a przedstawicielami Contry. Chamorro od jakiegoś czasu często zmienia miejsce pobytu. W 1983 roku trzeba było rozdzielić oficjalnie 27 milionów dolarów skredytowanych przez administrację amerykańską i 5 milionów pochodzących ze Szwajcarii. W 1984 roku 32 miliony i 8 milionów. W 1985 roku cyfry te jeszcze wzrosną, zwłaszcza ta druga, której prawdziwego pochodzenia nawet nie zna. Obserwuje ruchy ciężarówek posuwających się w kierunku portu, a następnie odjeżdżających na południowy zachód, gdzie dziesięć tysięcy kontras z FDN oczekuje amunicji i broni. Pewnego dnia, być może, będzie mógł powrócić do Managui z błogosławieństwem prezydenta Stanów Zjednoczonych i z kilkoma milionami dolarów w kieszeni.

Jakiś oficer daje mu znak, aby się zbliżył. Jakieś papiery do podpisania, uściski dłoni i sprawa będzie załatwiona. Nie usłyszy nigdy o „Recovery”, o Detmerze, o Norcie, o Iranie ani o jakimkolwiek miliardrze z Arabii Saudyjskiej, handlarzu armat, zainteresowanym tą operacją. Nikt ich tu nie zna.

O kilka tysięcy kilometrów od La Ceiby Elżbieta zabarykadowała się w swoim dwupokojowym mieszkaniu, wynajętym dla armii w XV dzielnicy Paryża. Nic nadzwyczajnego, trzydzieści metrów kwadratowych, na szóstym piętrze nowego budynku. Wszystkie jej dawne meble, kupione na prowincji, zostały odsprzedane lub подарowane, podobnie jak przedmioty dekoracyjne, płyty, książki i pianino. Nie chciała niczego zachować. Żadnej pamiątki. Wszystko tutaj jest nowe, tanie, jasne i funkcjonalne. Ten wystrój bez wyrazu jest na wzór jej nowego życia.

Po zasunięciu trzech zasuw i założeniu łańcucha, Elżbieta zrzuca na chybił trafił, jeden po drugim, pantofle w przedpokoju, rozpina ekler spódnicy, która ląduje niczym korona kwiatu na progu salonu, ściąga rajstopy i opiera uda na niskim stole, żeby je zdjąć. Ruchy szybkie, mechaniczne, następują po sobie jak codzienny rytuał. Telewizor jest włączony. Elżbieta odczuwa ciągłą potrzebę obecności tego zawrotnego strumienia różnokolorowych obrazów, to ją uspokaja, chociaż nie zwraca na nie najmniejszej uwagi. Maszynka do kawy jest włączona: pięć albo sześć filiżanek podniecającego płynu w ciągu nocy, której zaczęła nienawidzić. Sypia mało. Od stycznia uczy się, czyta, zbiera dokumentację, przyswaja sobie informacje dostarczone przez Seyne'a.

Oczekuje nocy; godziny, które nastąpią, przeznacza na zbadanie zawartości aktówki z zielonej skóry, wręczonej jej przez pułkownika.

Opuszcza salon i wchodzi do swego pokoju. W pokoju jest ciemno. Światło kuli, zamontowanej na pałaku z nierdzewnej stali łączy się ze światłami dwóch małych lampek u wezłowia, stojący na jasnoniebieskiej wykładzinie. Biurko z białego drewna, pokryte aktami i kasetami, stoi w prawym rogu przy oknie. Lewy róg zajmuje toaleta, na której błyszczy trochę biżuterii, ale nie tej ofiarowanej jej przez dawnego kochanka, tamte klejnociki już dawno utopiła w ubikacji willi w Tulonie - ta „biżuteria” to drobiazgi sztuczne i plastikowe, które czasem przez kokieterię zakłada na uszy, na rękę lub szyję. Wszak nie zrezygnowała z podobania się. Zatrzymuje się przed jednoosobowym łóżkiem. W nogach nadal leży aktówka. Dokładnie w tym miejscu, gdzie ją z pogardą rzuciła poprzedniego dnia. Żółty odbłask słonecznego promienia, padający bezpośrednio na teczkę, robi z niej zjawisko nadprzyrodzone, akcesorium fantastycznego filmu. Szacuje ją kątem oka. Co zawiera ten prezent od Seyne'a?

„Mam jeszcze dość czasu” - mówi do siebie okrążając łóżko.

Podchodzi do samego okna i widzi na dole wejście do metra, tarasy kawiarni, lokal, w którym sprzedaje się pizzę, kino z czterema afiszami, ale tylko jednym mizernym rzędem widzów.

Cały plac ogarnął upał, wszystkie ruchy ludzi i pojazdów przypominają jej prowincję, spokojne niedzielne popołudnie tulońskiego lata.

Nagle marszczy brwi. Mężczyzna w białym podkoszulku i beżowych spodniach siedzi na ławce, trzymając w ręku zwiniętą gazetę. Elżbiecie coś to niejasno przypomina-, szuka w pamięci... Być może... Wspomnienia jak błyski flesza przebiegają po jej głowie... Chyba że... Odczuwa ucisk w sercu, kiedy on podnosi na nią wzrok. Ta koścista twarz, ten nieco skrzywiony nos, ta broda z niewielką bruzdą pośrodku, Elżbieta jest prawie pewna, że spotkała już tego człowieka w Tulonie, w swej dawnej dzielnicy. Szybko wycofuje się z pola widzenia nieznanego i podchodzi do telefonu. Zatelefonować szybko do Seyne'a pod specjalny numer „Firmy”.

Jej ręka gładzi słuchawkę, potem dotyka czoła. Tracę rozum.

Z lękiem powraca do okna. Mężczyzny już nie ma. Zamiast niego dwaj jasnowłosi turyści o białych cerach, objuczeni aparatami fotograficznymi, rozkładają na ławce plan Paryża.

Dziecko, zawieszona w nosidle na plecach wyższego z nich, śpi ze zwieszoną główką, a słońce, świecące silnie, najwidoczniej mu nie przeszkadza.

Elżbieta uśmiecha się i potrząsa głową.

- Idiotka ze mnie.

Od chwili wstąpienia do DGSE wybujała wyobraźnia nasuwa jej wątki z powieści szpiegowskich, o jakiejś nadzwyczajnej historii - jej własnej historii. Ileż to razy oglądała się za siebie na ulicy? Boi się, że jest śledzona. Drży na myśl, że znajdzie drzwi swego mieszkania uchylone... Urojenia. Żadna gra na skalę narodową, nawet najmniej, szał, nie może jej dotyczyć. Ona jest niczym. Niczym. Przyczyną tego przeświadczenia jest odczuwana przez nią bezsilność wobec Seyne'a.

- Zobaczymy, co to za sekret.

Odchodzi od okna, siada na brzegu łóżka, waha się przez kilka sekund, schyla się i bierze do rąk aktówkę.

Gdy ją otwiera, ukłucie niepokoju przeszywa jej serce. Wydobywa z niej tekturowe pudełko, grube na dwa palce i niewielki żółty notesik. Teraz, z rozbudzoną ciekawością podnosi szybko pokrywkę pudełka i zastyga ze zdziwieniem.

Jej fotografia albo raczej portret, którego sama nie zna.

- Nie, to niemożliwe... ależ... to nie ja!

Podobieństwo jest uderzające, ale to nie ona. Ta kobieta ma takie same szare oczy, takie same usta, ten sam nos co ona, ale jej twarz jest bardziej owalna, kości policzkowe mniej wystające, włosy mniej sztywne. Ponadto jest umalowana na sposób południowoamerykański, ma mocno podczernione oczy. Na odwrocie rozpoznaje pismo Seyne'a. Pułkownik wyjaśnia jej, że jest to fotomontaż zrobiony według jednej z jej fotografii, i życzy sobie, by odtąd starała się upodobnić do tego portretu. Jej misja będzie prowadziła przez Amerykę Środkową.

Są i inne fotografie, wszystkie tego samego mężczyzny: Fryderyka Detmera-Melchiora Saschauera. Nie po raz pierwszy widzi go m zdjęciach, ale dotychczas były to zdjęcia do dowodu osobistego; podczas gdy tu pokazany jest w Nowym Jorku, Genewie, Manili, Otwiera notes.

„Panno Cortes, to jest pani osobisty notes wywiadowczy. Przeżył ten powszechnie stosowany przez naszych sowieckich rywali z KGB ale skuteczny”.

- Jakim sposobem odgadł, że otworzę najpierw pudełko - dziwi się na głos Elżbieta kontynuując czytanie.

„Proszę, żeby pani ponownie, i to bardzo uważnie, przyjrzała si tym fotografiom i zanotowała swoje wrażenia w notesie, wszystkie swoje wrażenia.

Podpis: Pułkownik Seyne”.

Elżbieta wyciąga rękę, by wziąć z biurka wieczne pióro, ponownie podnosi fotografie, kładzie notes na prawym kolanie i zaczyna notować:



„Nie rozumiem, dlaczego pan tak postępuje. Pana objaśnienia w biurze wydawały mi się prostsze. Pierwsza fotografia, zrobiony przez pana fotomontaż zadziwił mnie, są jednak pewne szczegóły, w których się różnię, co nie mogłoby zmylić doświadczonego oka. Ona powinna mieć wygląd mniej dziecinny, mniej się uśmiechać. Jeśli chodzi o uśmiech dostrzegam, że jej zęby. są dłuższe niż moje. Winszuję falsyfikatu”.

Elżbieta skupia się jeszcze bardziej i pisze:

„Jej uszy są przekłute, moje nie”.

Bierze w końcu zdjęcia Fryderyka i ogląda je uważnie.

Nie wie, co napisać... Być może o pewnym uroku. Wygląda na bardzo opanowanego, a jednocześnie robi wrażenie napiętego, skoncentrowanego, pełnego rezerwy. Obserwator... Tak, to jest obserwator, którego słabą stroną są, być może, nadzieja i lęk, wrażliwość na pochlebstwa i na perswazję, zależna od nastrojów. Być może? Nie jest tego całkiem pewna. Wyobraża go sobie jako człowieka z krwi i kości, człowieka, który usiłuje wyrzucić wrażenie na swych bliźnich i przekonać ich, jednocześnie zaś troszczy się o bilans swoich spółek i zyskuje pewność siebie dopiero po zbilansowaniu wiarygodności bez pokrycia, z uwzględnieniem strat i korzyści.

„Nie, to nie takie proste - myśli. - On nie jest taki jak inni”.

W Białym Domu, początek września 1985

James Baker, sekretarz skarbu, jest z pewnością człowiekiem, który obok George'a Shultza wpływa najbardziej uspokajająco na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wysoki, o twardym spojrzeniu i surowej twarzy, jest wcieleniem drogiej Reaganowi Ameryki pionierów. Czyż nie jest panem sytuacji? Tym, który stawia opór protekcjonistycznym\* naciskom Kongresu?

„Dojdziemy do ugody międzynarodowej, aby obniżyć wartość do-

\* Protekcjonizm system chroniący rolnictwo, przemysł itd. danego kraju przed konkurencją zagraniczną. (Przyp. tłum.)

lary” - mówi, popierając swój wywód uwagami o toczących się układach z członkami OCDE\*. Reagan słucha nie oponując. Bo i jak mógłby to zrobić? Zagadnienia dotyczące techniki sporządzania budżetu, ekonomii, dolar i międzynarodowej współpracy walutowej przerastają, i to znacznie jego kompetencje. Nie żąda się od niego, aby był ekspertem. Ani by rozumiał. Żądają jedynie, aby wierzył na słowo. Więc wierzy.

„Postaramy się więc zmniejszyć dług Ameryki Łacińskiej\*\* - ciągnie dalej James z pewnością siebie. - Jednak nie da się tego zrobić bez zajęcia wyraźnego stanowiska wobec Ameryki Środkowej. Bez zdobycia zaufania Brazylii i Meksyku nie można mieć nadziei na poprawę sytuacji, która, jeśli jeszcze nie katastrofalna, to na pewno jest kłopotliwa”.

James ma na oku Buda i Donalda, jakby podejrzewał, że są w jakiejś mierze odpowiedzialni za zamieszki nękające Amerykę Łacińską.

- A deficyt stu siedemdziesięciu miliardów, przewidziany na przyszły rok? - nawiązuje prezydent, ukrywając zakłopotanie, które go nagle ogarnia. - Kto będzie miał do nich zaufanie, dowiedziawszy się prawdy?

- Przyznaję, że deficyt jest jeszcze za duży - mówi James - ale powiększy się jeszcze, o ile wartość dolara nie obniży się przynajmniej o dwadzieścia pięć procent. Przy mocnym dolarze, deficyt rekordowy... I odwrotnie, przy słabszym dolarze i zależnie od tego, w jakim stopniu nasi przemysłowcy zgodzą się na wysiłek, można spodziewać się deficytu stu miliardów dolarów w osiemdziesiątym siódmym i mniej niż pięćdziesiąt w osiemdziesiątym ósmym roku.

Reagan wzdycha. Konkurencyjność. I znów to słowo zostało rzucone. Będą chcieli, żeby ten temat stał się osią jego przemówień. Za każdym razem, gdy wymawia to słowo, odnosi wrażenie, że skazuje kilka milionów Amerykanów na bezrobocie. W imię tej wielkiej liberalnej zasady ATT\*\*\* ogłosi skasowanie od zaraz do 1986 roku dwudziestu czterech tysięcy stanowisk pracy.

\* Organisation de Cooperation et de Developpement Economique - Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (od 1960-61, przedtem OECE). (Przyp. red.)

\*\* Plan Bakera. (Przyp. aut.) \*\*\* ATT - American Telephone and Telegraph Company.

(Przyp. tłum.)

\_ Cóż mam począć?

Zwątpienie... Poczucie niemożności zapanowania nad wydarzeniami. Reagan doszedł do tego. Nic nie działało się tak, jak było to przewidywane. W ostatnich miesiącach swojej kadencji doznaje samych rozczarowań^ Senat potępił CIA, które brało udział w zaminowaniu portów Nikaragui; wojna iracko-irańska stanęła w martwym punkcie; Związek Radziecki nie uczestniczył w Igrzyskach Olimpijskich w Los Angeles; w Panamie wybrano Nicola Ardito Barlettę, ludowca... i jeszcze coś poważniejszego: banki amerykańskie i Bank Federalny musiały pożyczyć 7,5 miliarda dolarów dla banku Continental Illinois. Teraz poruszają delikatną kwestię zakładników amerykańskich w Libanie. Docierają do sedna „Recovery”. Reagan czuje, jak jego członki lodowacieją. Trzeba będzie skłamać Shultzowi, Bakerowi i całemu narodowi amerykańskiemu.

Paryż, 11 września 1985

1. Nie wymawiać nawet w półsłówkach nazw „Rainbow War-rior”, „Greenpeace” ani nazwisk ministrów, Hernu i Joxe'a.

2. Udaremnić wszelkie zabiegi dziennikarzy.

Są to własne słowa Seyne'a, rozkazy nie-do-naruszenia-pod-żad-nym-pretekstem-pod-karą-wysłania-w-głęb-Gujany-z-poleceniem-by-nigdy-z-niej-nie-powrócić. Ilekroć Elżbieta wchodzi do „Firmy” przy bulwarze Mortiera, wydaje się jej, że słyszy te słowa. Ten sabotaż wprowadził ją w wielki niepokój. DGSE przybrało nagle w jej umyśle rozmiary, których się nie spodziewała, budząc strach, niewymowny strach.

W co wierzyć? Komu wierzyć? Jaką rolę odgrywa to państwo w państwie? Ona może jedynie, jako podrzędny agent, wyciągać wnioski z danych, którymi rozporządza; dane, którymi dysponują dziennikarze, i wysnuwane przez nich wnioski - napawają ją lękiem. Nie wyzbyła się jeszcze całkowicie przesądów wpajanych w nią przez całe życie; nie uważa „Firmy” za mur obronny dla narodu, a nawet przypuszcza, że być może jest trochę prawdy w tym, co podają środki masowego przekazu.

Przypuszczalnie nie ona jedna tak sądzi.

Osobnicy, których mija w korytarzach DGSE, mają maski na twarzach i dźwigają cały ciężar tajności obrony na ramionach. Ostrożnie przechodzą z jednego biura do drugiego, tak jakby sektor był podminowany. Lodowaty stukot dalekopisów wywołuje w nich drżenie. Gdy któryś znika ze swego stanowiska, przeniesiony nie wiadomo dokąd, jego koledzy milkną, stawiając sobie pytanie: „Na kogo teraz kolej?”

To nie dotyczy Seyne'a. On jest zawsze na swoim stanowisku, mocno zakotwiczony w swojej kierowniczej służbie. Seyne, który ją przyjmuje w swoim zacisznym gabinecie, prosi, żeby usiadła, troskliwie wypytuje o jej zdrowie, zadaje zdawkowe pytania i zaczyna mówić o Fryderyku-Melchiorze, o planie Bakera, o zakładnikach w Libanie, o terroryzmie, o światowym zadłużeniu, o CIA, o Iranie, i pierwszoplanowej roli, jaką Elżbieta ma odegrać. Sprawy, o których już słyszała dziesiątki razy i które z trudem wiąże z sobą. Trudno jej uwierzyć, że wszystkie te wydarzenia się łączą.

- Wszyscy jesteśmy potencjalnymi zakładnikami - powiedział jej Seyne, nie dając żadnych innych wyjaśnień, kiedy odniosła mu fotografie i karnet.

Od tego czasu oczekuje, aby odsłonił przed nią szczegóły swego planu, ale on gubi się w nieustannych objaśnieniach na temat działalności „Firmy” i różnych tajnych służb Wschodu i Zachodu; drażni ją jej przeszłością, tą, jakiej nigdy nie miała, i odprawia ją do domu, gdy Elżbieta jest na granicy buntu i urazy.

- Włączyła się pani do grupy skrajnej lewicy w Meksyku, bardzo ściśle zależnej od Saschauera. Czy nie ma sprzeciwu?

- A więc zgadzamy się.

Elżbieta poprawia się na krześle. Na co zdałoby się sprzeciwiać pułkownikowi? Aby stać się agentem wysokiej klasy, potrzebne jest długie przygotowanie. Więc on ją przygotowuje długo i cierpliwie. Wygląda na to, że ta chwila zastała wybrana, aby odsłonić przed nią pewne ważne sprawy. Elżbieta czeka. Trochę się boi. Mimo wszystko niebezpieczeństwo ją pociąga. Ono w niej tkwi, odkrywa je, tak jak inni, którzy odkryli je dużo wcześniej, wiążąc się z „Firmą”.

Seyne naciska klawisz terminalu, stojącego przy biurku, szuka imienia Elżbiety, zakodowanej jako Ahea\* i obraca się do młodej kobiety z zatroskaną twarzą.

\* Ahea - jedno z imion mistycznych, odpowiadających Wenus. (Przyp. aut.) 94

- Dziś przedstawię pani nową osobę - mówi naciskając ostatni klawisz.

„602. Ahea. Nie działająca”.

- Uaktywnię ją po raz pierwszy - odzywa się i wprowadza hasło kodowe, umożliwiające korzystanie ze specjalnie zabezpieczonego programu.

„603.C. Nazwa kodu: Ahea. Uaktywniona. Nazwisko rodowe: Chavez. Imiona: Juana Angela. Urodzona 16 kwietnia 1950 roku w Queretaro, Meksyk”.

Na ekranie ukazują się inne informacje; niektóre z nich Elżbieta poznaje z pewną trwogą.

„Nauka francuskiego w Meksyku, dokąd udaje się ze swymi rodzicami w 1956 r... Ojciec popełnia samobójstwo w 1959 r... Matka umiera na raka w 1972 r...”

Przechodzi potajemnie przez granicę amerykańską w 1973 r. i pracuje jako kelnerka w mieście Phoenix (Arizona), potem w Ogden i Salt Lake City (Utah).

Powraca do Cmeretaro po doznanym zawodzie miłosnym i poronieniu w 1980 r., przez pięć lat uczy tam francuskiego i decyduje się na powrót do Stanów Zjednoczonych.

W lutym 1987 r. zostaje aresztowana w Sonorze za posiadanie heroiny i kokainy. Jest skazana na dwa lata więzienia i internowana w Houston w celi Anny Ordas Nalles.

W czasie przewożenia do więzienia w San Antonio obie kobiety uciekają i wracają do Meksyku”.

- Przecież mamy obecnie rok osiemdziesiąty piąty - dziwi się Elżbieta. - To jest fikcja?

Seyne obdarza ją pięknym uśmiechem i poklepuje przyjaźnie dwa razy po ramieniu.

- Cortes, jest pani wciąż taka naiwna... Ta fikcja to pani. Elżbieta marszczy brwi. Pułkownik zapewne nie mówi poważnie.

- Moja? Pan chyba bredzi?

- Czy wyglądam na kogoś pozbawionego zmysłów? Na pewno nie. Niech pani się opanuje.

Tak wygląda pani przyszłość. Przygotowaliśmy dla pani piękną rolę. Przekona się pani, że nie tak trudno odgrywać komedię. Wszystko będzie zaplanowane z CIA, ale nie z grupą Caseya, a z grupą innego urzędnika agencji, przeciwnika Northa i Reagana.

Demokratą?

- Tak, jednak jest jeszcze za wcześnie na to. żeby wtajemniczać panią w różne fazy operacji i podać nazwiska uczestników. Musimy ograniczyć się do ogólnych zarysów. Proszę powściągnąć swoją ciekawość. I mieć do mnie zaufanie. Pani jest odważna, Elżbieto, a wolny świat potrzebuje pani.

- Proszę mi oszczędzić indoktrynacji wstępnej - przerywa Elżbieta - i proszę mi opowiedzieć coś o Annie Ordas Nalles.

Seyne rozkłada ręce na znak zgody i pochyla się ponownie nad maszyną.

- Nie mam pani nic do powiedzenia o niej. Wszystko jest tam zapisane.

Jego palce bębnią po klawiszach i na ekranie ukazują się akta Meksykanki. Elżbieta koncentruje się i czyta:

„Anna Ordas Nalles, urodzona w Guadalajarze, Meksyk, w roku 1949. Wychowana bardzo surowo przez rodziców, należących do bogatej burżuazji miejscowej, prowadzi przykładowe życie aż do 1967 roku. W tym właśnie roku zostaje wysłana do Meksyku, do swojej ciotki, aby studiować ekonomię. Tam spotyka Lazarosa Bahamon-teza, studenta prawa na UNAM (Universidad Nacional Autonoma de Mexico), należącego do grupy skrajnej lewicy.

W 1968 r. Anna i Lazaros biorą udział w zamieszkach 2 października i atakują wraz z innymi manifestantami wojsko na placu Trzech Kultur.

3 października Lazar ginie, zabity przez policję.

W 1969 r. Anna zostaje ostatecznie wcielona do komórki terrorystycznej. Od tej pory, wraz z towarzyszami, dokonuje włamań w Meksyku, a potem w Stanach Zjednoczonych, żeby zasilić fundusze przyszłej armii ludowej.

W 1984 r. zostaje aresztowana wraz z trzema kompanami, po napadzie na bank w Golveston. Skazana na dziesięć lat więzienia 6 stycznia 1985 r., przebywa obecnie w więzieniu w Houston".

- Rozumiem - mówi z westchnieniem Elżbieta jednak to wszystko wydaje mi się skomplikowane. Chce pan, żebym spotkała Melchiora-Fryderyka Saschauera i dla osiągnięcia swego celu wybiera pan drogę najbardziej niebezpieczną.

- Jest to jedyny możliwy sposób. Pani wiarygodność wiąże się i więzieniem w Houston. Melchior zainteresuje się panią jedynie wtedy, kiedy pani dotrze do niego drogą najbardziej niebezpieczną. Chce zrobić z Meksyku kraj niestabilizowany, tak przynajmniej sądzimy, gdyż powiększa tam liczbę tajnych spółek, których rola wydaje się nam niejasna; zaś Anna Ordas Nalles była w kontakcie z jednym z jego głównych bojowników, bankierem z Torreón, Lui-sem Caso. Teraz pora, abym przedstawił pani instruktora wojskowego. Proszę za mną. Genewa, w tym samym czasie

Karl jest „cyborgiem”. Swymi wyblakłymi oczami bez blasku, swymi rzadkimi włosami, swą kanciastą twarzą, szerokimi ramionami, kwadratowymi rękami przypomina maszynę obleczoną w ciało. Wydaje się być zaprogramowany dla jednego celu: ślepego posłuszeństwa. Ustawwszy się przy swoim panu z aparatem telefonicznym w ręku, czeka.

Melchior stoi naprzeciw niego. Na wpół pochylony nad dużym stołem w salonie Braunerów, swych starych znajomych, którzy są również jego współnikami w interesach i na jego prośbę są nieobecni, wertuje akta naszpikowane cyframi. Widzi tam zmniejszone wpływy, zbiorowe zwolnienia, obniżanie zarobków, głód, wojny. Poza tymi cyframi wszystko jest w porządku. Zastanawiając się ponownie nad przyszłością, widzi zachwianie gospodarki światowej wywołujące nieustanne konflikty społeczne i międzynarodowe. Odwraca strony i z zadowoloną miną zakreśla kółkiem mierne osiągnięcia tej czy innej spółki w tym lub innym kraju. Zakodowane nazwiska są zapisane na marginesie niektórych paragrafów. To jego pośrednicy. Wykorzystuje ich, jak można najlepiej i zgodnie z ich specjalnością. Jeden z nich potrafi najlepiej manewrować w czasie spadku lub zwyżki ceny kawy i cukru w Brazylii. Inny kontroluje część produkcji ropy w Indonezji. Zrzeszając się, dziesiątki drobnych przemysłowców mogą sparaliżować kopalnie miedzi; wielcy przemysłowcy

Bal bankierów

97

kładą rękę na złocie, ołowiu, cynie, manganie. Wszyscy mogą być pobudzeni do działania w chwili, która nastąpi.

Dzwonek telefonu. Karl bierze słuchawkę i słucha. Prawie natychmiast odkłada ją i mówi po prostu:

- Podjęli decyzję.

Karl nie zna rozmówcy, który właśnie telefonował. Nie wie również, na czym polega ta decyzja. To Reagan dał zielone światło dla przyspieszenia upadku Marcosa na Filipinach.

Casey ma zadziałać. Oczywiście kilka osób ma być wyeliminowanych. A między nimi, jeden z siedmiu: Pizal. Melchior to przewidział...

Od tej chwili na miejsce Pizala wchodzi konserwatysta Andrea Tena. Jest on sojusznikiem Corazon Aquino i finansistą pierwszej klasy. Tak jak wszyscy utopiści znad Pacyfiku marzy o uniezależnieniu się od Stanów Zjednoczonych i Japonii... Melchior pomoże mu śnić dalej.

Manila

Policjanci rozprędzają tłum gapiów. Jeden z oficerów ostrożnie obchodzi wkoło szczątki auta Pizala. Lekarz i dwóch sanitariuszy zapytują siebie, co mają zrobić z tą połową ciała, na wpół zwęgloną znaną o pięćdziesiąt metrów od miejsca eksplozji. Oficer powie dział im, aby zaczekali na służbę bezpieczeństwa. Uzbrajając się w cierpliwość poszukują szczątków ofiary wśród rozrzuconych części samochodu.

Tian uśmiecha się. Policjantów zalewa fala sprzecznych lub wymyślonych informacji. Szereg osób widziało terrorystów, dwóch czy trzech, jak uciekali żółtym autem... Nie, białym... Nie. On był sam jeden, na motorze... Nie. Było ich dwóch w półciężarówce, przykrytej plandeką.

Tian jest zadowolony. Śledztwo nigdy nie dojdzie do niej, narkomanki, konkubiny, luksusowej prostytutki przybyłej z Hongkongu. Pięciokilogramowa bomba, którą nastawiła pod siedzeniem kierowcy, jest istnym cudem, nadesłanym jej przez laboratoria CIA. Będą zadowoleni z jej usługi... Zrobiła to dla Amosa, swego brata, wciąż prześladowanego przez federalnego prokuratora Theodora Wu, i dla 200 000 dolarów, złożonych na jej koncie w Szwajcarii.

?ści

Elżbieta Cortes, kapitan Erie Falp mówi Seyne przedstawiając ich sobie.

„Więc to jest mój instruktor”. Elżbieta przygląda się temu kapitanowi, wyjętemu wprost z powieści Stephena Kinga. Trójkątna gęba, niczym niewzruszona, oczy błyszczące jak dziwne kamienie. Sądząc po woni, jaka się rozchodzi, perfumuje się Chanel Nr 5. Niezwykle, jak na wojskowego.

- Bardzo mi miło panią poznać - zagaja Falp, wyciągając rękę.
- Bardzo mi miło odpowiada Elżbieta ściskając jego suchą i twardą dłoń.
- Będziemy pracowali razem przez pewien czas, poruczniku mówi Falp nie wypuszczając ręki młodej kobiety.
- Poruczniku? - dziwi się Elżbieta, cofając zdecydowanym ruchem swoją dłoń.
- Tak. Od tej chwili otrzymuje pani ten stopień - odpowiada Seyne. - Zostawiam was.

Wkrótce się zobaczymy.

- Ale!... - wykrzykuje Elżbieta z żalem, widząc, że pułkownik oddala się w stronę „Firmy”. Zostawia ich samych na parkingu. Elżbieta stara się przywołać wszystkie racje, jakie sobie wymyśliła w przewidywaniu tej chwili, kiedy naprawdę zostanie jej powierzona jakaś misja. Ta chwila nadeszła, a ona jest bezbronna, chociaż w niczym nie zdradza po sobie tych emocji. Trzyma się bardzo prosto, z głową wzniesioną w kierunku Falpa.

Kapitan Falp czeka nie wiadomo na co, spokojnie wsparty o karoserię białego citroena. Z jego twarzy nie można odgadnąć, jakie ma zamiary.

- Jestem na pańskie rozkazy - rzuca wreszcie Elżbieta.
- Dobrze.
- Co mam robić?
- Ruszamy.
- Dokąd?
- Na południe Francji. Do Canjuers.
- Pan żartuje?
- Czy wyglądam na żartownisia? - odpowiada groźnie Falp.
- Nie... na pewno nie... ale moje rzeczy, mój bagaż, niczego mi nie przygotowałam.

- Nie potrzebuje pani niczego. Proszę być posłuszną, poruczniku! Zrobimy z pani dobrego żołnierza. Kiedy nadejdzie pora i trzeba będzie się bić, będą dobrzy i źli wojskowi, ja zaś chcę, żeby panij stała się jak najlepszym. To wymaga absolutnego posłuszeństwa. I Elzbieta czuje się oszołomiona: żołnierz, najlepszy, posłuszeń-1 stwo... Co on opowiada? Ona nie potrafi trzymać w rękę nie tylko karabinu, lecz nawet drutów do robótek, ale nie w tym leży jej błąd. Co on rozumie pod słowami: „kiedy przyjdzie pora i trzeba] będzie się bić”? Jaki to ma związek z „Recovery” i Detme-rem-Saschauerem?

- Proszę wsiadać - rozkazuje Falp otwierając drzwiczki auta od strony pasażera. - Nie powinniśmy przeciągać naszego pobytu tutaj] Nie chciałbym, żeby nasi amerykańscy przyjaciele sfotografowali panią.

- Amerykanie?

- To byłoby dla pani niebezpieczne - odpowiada Falp z wielką powagą. - My nie pracujemy z Caseyem, pułkownik musiał pani pójść o tym powiedzieć, tylko z funkcjonariuszem CIA, który jest w opozycji do Reagana.

Ona wie o tym, ale myśli o swoich otwartych oknach, o bieliznie w pralce, o ćwierć kilogramie kielbasy i trzech pomidorach i o paczce mięsa w lodówce, o licznikach na gaz i wodę, których nie zamknęła, o tysiącu drobniactw, które ją jeszcze wiążą z normalnym życiem.

4 grudnia 1985, w Białym Domu Nancy odetchnęła.

Dymisja MacFarlane'a była konieczna. Nie pasował do sytuacji Negocjacje z Arabami z Teheranu załatwia się z ludźmi innego pokroju. Bud doprowadziłby w końcu do skandalu, który zachwiałby pozycją jej drogiego małżonka - prezydenta. Dzień po dniu Nancy walczy za Ronniego u boku Donalda Reagana, którego nie lubi, ale z którym musiała się zjednoczyć.

Zbyt długo nazywano ją

pięknością Rodeo Drive", tej ulicy, na której szastała niekiedy krociami tysięcy dolarów, ot tak, dla przyjemności. Nie znosiła tego. Miała o to żal do całego świata. Czy przejdzie do historii jako wzór kobiety głupiej, snobki, rozrzutnicy bez serca? Nie ma mowy. Dokonała więc wyboru, zrobiła z prezydenta człowieka pokoju. Ten cel jest bliski jej sercu wraz z walką przeciw narkotynom. „Nancy - Królowa Pokoju” oto jaki tytuł chciałaby nosić. Wtedy świat zapomni o jej poprzedniczkach w Białym Domu: o Rosalynn Carter i jej walce o dzieci niepełnosprawne, o Betty Ford i jej kampaniach przeciwalkoholowych, o Jacqueline Kennedy i jej ogromnym wpływie na środki masowego przekazu. Ona to osiągnie, nawet jeżeli przyjdzie jej utracić Donalda, tak jak utraciła Buda, Richarda Allena i Williama Clarka.

Nancy przeciw Donaldowi. Potyczka milionerów. Pierwsza Dama Stanów Zjednoczonych przeciw dawnemu prezesowi Merrill Lynch\*, olbrzymowi giełdy i finansów.

Nancy przygląda się Ronniemu. Śpi. Jest chory. Chory na raka, który draży mu trzewia, chory na swych doradców, chory z tego, że nie stoi już na wysokości zadania. Powiedział jej to po konferencji genewskiej i spotkaniach z Gorbaczowem.

„Pozostały ci jeszcze trzy lata działania, Ronnie - rozmyśla Nancy. - Wytrzymaj! Ameryka zapłaci po nas”.

Ale o tysiąc kilometrów od Białego Domu myślą inaczej, śmieją się, udało się przekonać senatora demokratów, Gary'ego Harta, żeby przystąpił do walki o fotel prezydencki w 1988 roku.

Canjuers, Var, 6 grudnia 1985

- Niezwłoczne uruchomienie eszelonu nastąpi o godzinie siódmej piętnaście wraz z lądowaniem oddziału spadochroniarzy między punktem dwieście dwa i farmą na stoku wzgórza. O godzinie dwunastej osiemnaście natarcie ugrupowania przetransportowanego drogą powietrzną.

Elżbieta raz jeszcze zadaje sobie pytanie, co tutaj robi, słuchając dowódcy wciśniętego w źle skrojony mundur. Usadowiona w głębi sali widzi ręce oficera, jego krótkie i grube palce przesuujące się

\* Jedno z najważniejszych towarzystw maklerskich na świecie. (Przyp. aut.)

powoli po mapie sztabowej, widzi też połyskujący, wieloczynny ciowy zegarek... Stracony czas. Myśli o swoim pobycie w tym ogromnym obozie, o samotnym domu, który dzieli z dziwnym Fa pem, nigdy w nim nie nocującym; o swym zmechanizowanym życiu godz. 5.00 pobudka i śniadanie; godz. 5.30 - 15 km marszu; godz. 7.30 - ćwiczenia bojowe; godz. 8.45 - przygotowanie wojskowej teorii techniki zbrojenia; godz. 10.30 - udział w zebraniu oficerów obozu; godz. 12.30 - kurs i zaznajomienie się z nasłuchem łącz radiowych MLQ-34 i nasłuchem radarowym TRQ-17A; godz. 14.

- dalsza asymilacja meksykańska; godz. 17.45 - ćwiczenia bojów godz. 19.00 - obiad; godz. 19.30 - raport dla Falpa; godz. 20.30 j

- spoczynek... Rozkład zajęć zmienia się co trzy tygodnie, zaostrzając się nieco za każdym razem. Elżbieta wzdycha.

„...Hamowanie i wytyczanie pozycji nieprzyjaciela przez szóstą dywizję pancerną między wioską a zboczem sześćset osiemdziesiąt osiem...”

Wyrazy i cyfry płyną z ust komendanta z jednostajnym pomrukiem. Co on opowiada?

Elżbietę ogarnia błogie ośpienie nieuwważnego i roztargnionego ucznia. Podczas gdy zapada w letarg, od strony drzwi dochodzi ją lekkie skrzypnięcie. Spojrzenie kątem oka wystarcza, żeby rozpoznała Falpa w mundurze bojowym. Zgodnie z duchem obozu ukrywa swą dwoistość pod mundurem jednostek bojowych, zmiennym jak kameleon, przechodzącym z zielonego, po<sup>o</sup> przez szarość, w brąz i żółtość.

Porucznik Cortes? - woła komendant.

- Tak - odpowiada Elżbieta podnosząc gwałtownie głowę i czując, że się czerwieni, jak gdyby złapana na gorącym uczynku drzemki.

- Przygotować się i zameldować u kapitana Falpa. Porządkuje swoje papiery, długopisy, zeszyt i kieruje się do drzwi

Falpa odwraca się, kiedy ona zrównuje się z nim.

- Proszę za mną.

Ten sam zapach perfum Chanel. Mundur przystosowany do błot<sup>o</sup> dzungli i zrujnowanych miast nie zmienia natury kapitana. Prowadź ją do jeepa i wskazuj miejsce obok siebie.

Włącza silnik i rusz z miejsca tak, jakby brał udział w rajdzie.

Obóz. Miliony hektarów przeznaczone pod gąsienice pojazdów pancernych, pod rakiety i pociski, które odrywają skibka po skibce powłokę ziemi, wymęczonej przez słońce i mistral. Elżbieta ma wrażenie, że przedzierają się przez kraj spustoszonego przez olbrzymów. Mimo wycia silnika jeepa dochodzi ją skądś znany i niepokojący stukot gąsienic pojazdów pancernych. Wkrótce dostrzega je na szczycie wzgórza. Falpa zwalnia, hamuje i wyłącza silnik. Elżbieta pyta go spojrzeniem. Kapitan obserwuje ciężkie czołgi posuwające się przez zarośla. Są to dwa czołgi AMX.

- Hm - mruczy Falpa bębniąc palcami po kierownicy.

Oba czołgi obracają się powoli na osiach i kierują się na jeepa nastawiając swe działa.

- Skaczcie. Cortes!

- Ależ...

- Skaczcie, to rozkaz! Chronicie się za skałami tam, na prawo! - ryczy wypychając ją z jeepa. Elżbieta się waha. Falpa skacze za nią, chwytając ją za ramię i ciągnie za sobą.

- Biegiem!

Rzucają się oboje przez krzaki i zarośla. Nagle, kiedy już są o jakieś dwadzieścia metrów od jeepa, daje się słyszeć gwizd, a po jednej setnej sekundy następuje detonacja. Elżbieta czuje,

że ziemia się porusza; brak jej tchu. Fala przepływa przez jej ciało, bębunki uszu i mózg. Znalazła się na ziemi, szorstka ręka przyciska jej plecy.

- Dobry z was rekrut, poruczniku. Myślicie, że to Pola Elizejskie? Do kroćset diabłów, czego was uczą na tym kursie?

- Ja... Ja...

- Potem to wyjąkacie, poruczniku. Jeżeli nie zdążymy dotrzeć do skał, niewiele dam za naszą skórę. Już lepiej?

- Nie wiem...

- Na nogi i biegiem! - ryczy Falp ciągnąc ją za włosy. Duszący zapach spalenizny zatruwa powietrze. Elżbieta się krzywi.

Jej płuca jeszcze pracują. Włada jeszcze swymi nogami. Uszy odzyskały ostrość słyszenia: gwizd. Padają na ziemię, aż minie burza, aby znów ruszyć na oślep w tumanie kurzu, który spowija sosny o powyrywanych gałęziach. Padają następne pociski, ale już dalej, poza torem przebiegu wybranym przez Falpa. Ostatnie burczenie rozlega się o dwieście metrów od nich, później strzelanina ustaje.

Falp doskakuje do skały, Elżbieta za nim i przyciska kolana do piersi. Łzy tryskają raptownie z jej oczu.

Nie trzeba się bać - mówi Falp obojętnym tonem. - Teoretycznie powinniśmy znacznie wyprzedzać ścigających nas. Oni są uzbrojeni, my zaś - nie, co daje nam przewagę jeśli chodzi o ciężar. Oni I się uważają za silniejszych, co ich obciąża dodatkowo.

Ścigających? - Elżbieta zwraca osłupiałe spojrzenie na kapitana. Stara się odnaleźć siebie w chwili obecnej. Z trudem jej to przychodzi. Chwila obecna to być pokrytą siniakami i zadrapaniami, mieć podartą koszulkę khaki, czuć strach szarpiący wnętrzności; bezpowrotnie utracone panowanie nad sobą. Zaczyna się bać tej teraźniejszości przy boku Falpa, który siedzi sobie niedbale. Nie potrafi wyrazić logicznie żadnej myśli. A chce wiedzieć.

- Te czołgi... dlaczego?

To dobre pytanie, poruczniku. Wchodzimy w czynną fazę przeszkolenia. Od chwili wyjścia z matczynego łona wpajano w panią strach, teraz musimy szybko usunąć ten defekt, nie robiąc z tego prezentu.

- Łajdacy! Chcecie mnie zabić?

- Zabić?... Skąd takie myśli, poruczniku. Po prostu uzdrowić. To ta sama stara droga, po której kroczy elita agentów „Firmy”. Chcę I z pani zrobić najlepszą. A tymczasem trzeba do tego dążyć: chłopaki j ze służby bojowej będą za chwilę deptali nam po piętach, a otrzyma- i li rozkaz, żeby się zachowywać nie jak na ćwiczeniach, lecz w akcji.

- Chwileczkę - mówi Elżbieta odchylając się do tyłu. Okropna cisza, ciężka jak przed uderzeniem bomby wiszącej

w błękitnie naelektryzowanego powietrza, nie do zniesienia także w tych chwilach, które poprzedzają grozę.

„To senny koszmar... ja się z tego zbudzę” - myśli zamykając oczy.

Poruczniku?

- Tak - mówi Elżbieta otwierając oczy.

Czy macie zamiar stać się odpadem biologicznym?

- Kupa łajna!

- Brawo, poruczniku, wasz język się poprawia... robicie postępy. Dalej! Wstawać i biegiem! - ryczy nagle i ciągnie ją za ramię.

W tej samej chwili kula świszcząc im koło uszu.

j

- Strzelec wyborowy! - stwierdza Falp i przebiega sto metrów do lasku rachitycznych sosenek.

Elżbieta już się nie zastanawia. Nogi niosą ją w rekordowym tempie u boku Falpa.



- Trzeba się utrzymać przez dwadzieścia cztery godziny, taka jest reguła - mówi oddychając ciężko. - Znajdujemy się tuż obok umocnionych pozycji w Owernii. Ci, co nas ścigają, wyruszą od strony góry Beau-Soleil. Trzeba pośpieszyć w przeciwnym kierunku. Z tymi słowami Falp kieruje się pośpiesznie na zachód. Elżbieta powstrzymuje dreszcz i zaczyna maszerować, czepiając się nowych myśli: „To błaga... Oni nas osaczą z oddali... To wszystko jest wyreżyserowane jako próba mojej wytrzymałości nerwowej... Nie ma potrzeby tracić głowy...”

Wciśnięta jak w trumnę w ciasne pudło komory bezpieczeństwa starego czołgu ćwiczebnego, rozbitego podczas manewrów, Elżbieta, przyszła ofiara, drży całym ciałem.

- Proszę przestać się trząść, poruczniku - rzuca Falp - jesteście bezpieczni.

- Bezpieczni w tej kupie żelastwa bez wieżyczki?

- Woli pani znaleźć się bez osłony?

Głos kapitana zagłuszają suche i metaliczne trzaski. Strzelają do czołgu z pistoletów maszynowych. Kule odbijają się rykoszetem od nieruchomego szkieletu, wydobywając złote błyski z zardzewiałych blaszanych płytek.

- Ta wrzawa ma na celu wywarcie na nas większego wrażenia - odzywa się Falp. - Zmęczą się prędzej od nas.

- Ale jakim sposobem nas odnaleźli?... Większość czasu spędziliśmy pod osłoną krzaków.

- Folpen - odpowiada lakonicznie Falp.

Elżbieta pojmuje. Żadnej szansy na ucieczkę, jeśli nie będzie należytej odległości między nimi a ścigającymi. Mają nowego Folpena, rodzaj przenośnego radaru wynalezionej przez Amerykanów, który potrafi wykryć człowieka poruszającego się w najgęstszych zaroślach.

- A jeżeli się zjawią? - pyta nagle Elżbieta.

- Przyjmiemy ich odpowiednio. Wszystko przewidziałem.

Falp wsuwa rękę pod poszarpane i zwęglone siedzenie, przezna- I czone dla strzelca czołgu, i wyciąga spod niego dwa pistolety automatyczne UZI, zaopatrzone w magazynki, wszystko owinięte w ar- i kusz przezroczystego plastiku.

- Zadekowałem je przed dwoma dniami - mówi Falp, odwijając pistolety. - Nie róbcie takiej miny, poruczniku... Wiem, że pani nie nauczyła się jeszcze posługiwać bronią palną. Proszę wziąć tego UZI, pokażę jak się z tym należy obchodzić.

- Ależ...

- Co, ależ?

- Ja nie chcę strzelać do ludzi.

- Bez bredni. Może chciałaby pani strzelać do kwiczołów? Niech pani rozłoży kolbę.

- Nie jesteśmy na stopie wojennej!

- Właśnie, że tak... Już od przeszło kwadransa nasi wrogowie celują w nas. Naśladujcie moje ruchy, Cortes. Naciśnijcie na spust pistoletu, ciągnąc do siebie dźwignię, naciśnijcie bezpiecznik kurka. Do cholery! Uważajcie! Nie trzymacie w ręku wiertarki... No dobrze. Nastawić selektor na F (Feu - ogień). No i jest pani gotowa do kontrataku.

I znowu niepewność: czy to gra, czy rzeczywistość? Jak daleko mogą się posunąć? Elżbieta przełyka ślinę i parę chwil trwa znieruchomiła w samym środku tego strasznego świata, do którego drzwi otworzyły się mimo jej woli. Kontratakować. Wie, że na jednym „tak” nie kończy się, pociąga ono za sobą drugie i następne: ripostować, celować, strzelać, zabijać. Cztery „tak”.

- Myślę, że jest ich pół tuzina - mówi Falp drapiąc się w czoło pistoletem UZI.

- Dość tej komedii. Niech pan powie swoim komandosom, że się nie zgadzam. To marny scenariusz filmu sensacyjnego.

- Którego pani jest bohaterką. Dobrze się pani prezentuje z bronią w ręku, poruczniku.

Całkiem do przyjęcia w tej roli, ale niech pani spróbuje pokazać swój ładny pyszczek aktorom

po drugiej stronie, żeby sprawdzić ich refleks. Zobaczy pani, że nie strzelają ślepyimi nabojami!

Falp spogląda na ciemniejące niebo, a potem na swój zegarek. Za kwadrans będzie już prawie noc. Spróbujemy wyjść stąd. Tymczasem chcę im pokazać, że mamy ich czym przyjąć. Nie czekając prostuje się, wysuwa górną połowę ciała z czołgu i posyła na chybił trafił krótką serię ku skałom.

- Ot i wszystko..., nic łatwiejszego - mówi z zadowoloną miną i zapada w ukrycie. - Bieda wtedy, kiedy brakuje amunicji i jest tylko jeden magazynek, w takim przypadku UZI jest właściwie nieprzydatny.

- Oto dobry moment - szepcze Falp dotykając ramienia Elżbiety. Kapitan podnosi się z wolna, ona go naśladuje. Oboje wysuwają ostrożnie głowy. Mimo całkowitych ciemności i ciszy nadmiernie pobudzone zmysły Elżbiety postrzegają falowanie dźwięków i kształtów.

- Teraz - mówi cichym szeptem Falp.

Elżbieta opiera się o siedzenie czołgu, przesadza poskręcane brzegi, maskujące ich schowek. Falp zaczyna natychmiast strzelać. Tamci ripostują.

Strach skręca wnętrze... Elżbieta już poza nadwoziem pada na gąsienicę, kalecząc się lekko w łydkę. Przenika ją ostry ból i czyni agresywną. Ścisła UZI. Nad nią roztaczają się ognie wojny, upiorne białe i czerwone błyski świetlnych pocisków smugowych, znikających w ciemnościach. Falp wyskakuje koło niej.

Ruszamy, poruczniku, nie pora na drzemkę... Otwórzcie ogień na lewo i biegiem, prosto przed siebie, na przestrzeni dwustu metrów teren jest płaski i odkryty. Biegnę za wami, osłaniając nasze prawe skrzydło.

Elżbieta stosuje się do wskazań. Ma wrażenie, że leci ponad zwirowatą ziemią. Instynktownie otwiera ogień. Dziwne uczucie w ramionach, pistolet UZI podnosi się, jakby żył swym własnym życiem. Zaskoczona reakcją broni, przestaje naciskać na spust i skupia całą swoją energię na biegu.

Dwadzieścia pięć sekund. Strzelanie ustało. Teren to się wznosi, to opada, Elżbieta puszcza się biegiem. Falp depcze jej po piętach, zrównuje się z nią, śmiejąc się drwiąco.

- Bawią pana niebezpieczne gry? - cedzi Elżbieta przez zęby.

- Tak. Bardzo lubię, kiedy tropią mnie fachowcy. No, a co myślicie o tym UZI?

- Odbija w górę.

- Nauczę was, jak się nim prawidłowo posługiwać. Już siły odzyskane?

- Tak.

- Więc ruszamy. Będziemy się starali posuwać w ukryciu wzgórz i załamań terenu, aby uniknąć elektronicznego wykrycia przez detektor Folpen.

Elżbieta z niepokojem obserwuje Falpa, który pieści ręką magazynek UZI.

- On jest pusty - mówi Falp wyprostowując się z uśmiechem, który można by określić jako „niewinny”, należącym do kolekcji tików tego całkiem stukniętego wojskowego. - Pani mnie nienawidzi, prawda? - mówi pogrążając się w ciemnościach. - To pani przejdzie: nienawiść to nierozsądne uczucie, nie dające się pogodzić z cechami charakteru agenta. Oficer DGSE powinien tak postępować, żeby stłumić w sobie tego rodzaju emocje.

Falp mówi i mówi, a Elżbieta słucha go uważnie. W oddali, w kierunku koszar, świetlne wiązki reflektorów omiatają niebiosy.

Opadła mgła i okolica wydaje się dziwnie zmieniona. Elżbieta nie potrafi powiedzieć, czego brakuje, albo co nowego przybyło, ale jest inaczej. Wypoczywali przez część nocy w głębi wąwozu, czekając aż zorza wystrzeli na zimnym niebie. Tak przynajmniej sądzi Elżbieta, że to jest wąwóz, sądząc po najbliższym ukształtowaniu otoczenia, po piargach z obu stron.

Niewiele widzi. Opary mgły prześlizgują się łagodnie poprzez ostre kamienie, są tak delikatne i harmonijne jak woale wschodnich tancerek. Zdają się płynąć z tego wydłużonego kształtu, jaki młoda kobieta czasem dostrzega.

- Cysterna - szepcze Falp - jesteśmy niezbyt daleko od czołówek. Za parę godzin tamci poniechają pościgu, taka jest reguła.

- Jak na razie nie mają zamiaru! odpowiada Elżbieta wskazując UZI w kierunku przeciwległym do cysterny.

Wpatruje się uporczywie, jakby chciała przebić mgłę wzrokiem; potem, wystraszona, zwraca się do Falpa.

- Kapitanie... Oni nadchodzą.

- Ssz!

Wtedy i Falp ich usłyszał. Elżbieta, której słuch jest ostrzejszy, dosłyszała wcześniej odgłosy, które szybko się wzmagają. Z którejś strony, w odległości pięćdziesięciu kroków, stacza się gruz i podskakuje po zboczu.

- Przebijamy się.

Falp pociąga za sobą Elżbietę ku cysternie. Dochodzą do niej, mijają i dostają się na płaski obszar, który doskonale znają: wielka płaszczyna Canjuers, jak na razie pokryta gęstą mgłą, podobnie jak cała okolica.

- Czy pani wie, gdzie jesteśmy? pyta Falp.

- Tak.

- To proszę złożyć broń. Będzie tylko przeszkadzała. Ładny bieg średniodystansowy na dwa kilometry po żwirze rozrzuconym na stole bilardowym zrytym przez czołgi... Biegiem!

Falp znika natychmiast w białym тумanie. Z kolei Elżbieta rzuca się do biegu. Widmowy Falp jest o kilka kroków przed nią, nieznany kształt zrodzony z tajemniczej przemiany wewnątrz mgły. Stara się zbliżyć do niego, ale on znika, zanim zdołała do niego dołączyć.

Została sama. Minuty mijają. Zwalnia bieg, jest zadyszana. Teraz jej serce tętni gorącą krwią. Przyływ i odpływ są zbyt szybkie. Jej otępiełe zmysły nie spełniają już swych funkcji.

„Ale co ja tu robię?”... Gdyby tylko potrafiła pogodzić się z regułami tej gry wariatów, mogłaby znaleźć odpowiedź na swe pytania. Jak na razie odpowiedź to bieg bez końca w tym czymś, w czym niemożliwa jest jakakolwiek orientacja. A może kręci się w kółko pod zimnym okiem Folpena. Wyobraża sobie tę nieubłaganą maszynę namierzającą obiekt i szybkość jej przenoszenia się. Ona jako obiekt!

„Nie myśleć, tylko nie myśleć... Biegnij, Elżbieto”.

Mgła się podniosła. Po raz pierwszy od wielu godzin Elżbieta może się zorientować.

Wyczerpana wysiłkiem przy wspinaniu się na górę, wyciąga się na skale.

„Wielki kanion Verdon” - stwierdza rozpoznając wijącą się drogę, wystającą nad przepaścią.

Nagle, w chwili gdy się podnosi, dochodzi ją pomruk. Z oddali,

wydstając się z jednego z licznych wiraży, zbliża się jeep. Be żadnego wahania Elżbieta skacze, przebiega drogę i kryje się za kamienną balustradą wzniesioną jako osłona drogi od przepaści.

Zuchwałę przedsięwzięcie. Elżbieta dokłada wiele wysiłku, żeby zachować równowagę.

Przykucnięta, z palcami wbitymi w uskok balustrady, z końcami stóp ustawionymi na krawędzi o szerokości paru centymetrów, czeka, żeby pojazd ją minął. Na dole, poniżej nagich, pionowych skał wzburzone skrety potoku wydają się jej nieskończenie małe. Jeżeli puści uchwyt, grozi jej pewna śmierć. Przyciska się jeszcze bardziej do ostrej i zimnej skały.

Hałas motoru nasila się. Jeep dociera na jej wysokość i hamuje ostro. Elżbieta sztywnieje. Z tego miejsca, w którym się zatrzymali, nie mogą jej widzieć, na pewno szukają jej za pomocą lornetki w górach. Stąpienie. Ktoś się zbliża do balustrady. Elżbieta mocno przyciska policzek do skały.

Ukrywanie na nic się nie zda. To koniec.

Podnosząc głowę widzi mężczyznę pochylonego nad sobą, z twarzą posmarowaną na czarno, trzymającego w rękach pistolet maszynowy z lufą w nią wycelowaną.

- Pomyliliśmy się co do pani mówi nieznajomy obojętnym głosem - pani nie potrafi wypełniać funkcji powierzonych przez kierownictwo „Firmy”. Tej nocy nawaliła pani szereg razy i nie możemy ryzykować uaktywniania pani na gruncie nieprzyjacielskim. Skakać! Elżbieta otwiera szeroko oczy. Skakać, żeby się roztrzaskać dwieście metrów niżej?... Ten człowiek to szaleniec, chyba że...

- Pani mnie zrozumiała - ciągnie mężczyzna. - Proszę mnie nie zmuszać do zgruchotania pani palców. Wysokiemu dowództwu zależy na tym, żeby to wyglądało na głupi wypadek.

- Nie macie prawa! - dziko wrzeszczy Elżbieta.

- Przykro mi, ale pani wie za dużo.

Ona jeszcze krzyczy, ale nieznajomy jej nie słucha. Chwyta swoją broń za lufę i szykuje się do wykonania groźby, zbliżając kolbę do palców Elżbiety.

- Skakać!

- Nie!

Z rozpaczliwą energią Elżbieta spręży się opierając się mocno na stopach i z całych sił wymierza mu cios pięścią w grdykę. Jednym podrzutem znajduje się na obramowaniu i szykuje do skoku na przeciwnika, któremu odjęło oddech. W tym momencie dochodzą jej uszu lekkie oklaski.

Oparty o maskę jeepa Falp bije lekko w dłoń i patrzy na nią zadowolony.

- Bravo, poruczniku. Przeszła pani ostatnią próbę z bardzo dobrą oceną.

Czerwona z gniewu Elżbieta rzuca się na niego. Falp zręcznie się usuwa i zagłębia kolano w brzuch atakującej. Elżbieta pada twarzą na ziemię skrzywiona z bólu.

- Ze mną jeszcze pani sobie nie radzi. Jest pani dopiero debiutan-tką. - Wskakuje do jeepa, przywołuje drugiego mężczyznę, który siada obok niego, i odjeżdża. - Pani zna drogę do obozu - woła do Elżbiety, która podnosi się z trudem. - Czekam tam o trzynastej na pani raport.

16

8 grudnia 1985

Dwadzieścia cztery miliony dolarów przepłynęły przez konto nr 1 i dziewiętnaście milionów przez konto nr 2. Potrzeby Iranu rosną. Podobnie jak Contry. Nowe porozumienia zostały zawarte między Amerykanami a Iranem. Ci pierwsi domagają się zwolnienia zakładników zatrzymanych w Bejrucie, ci drudzy mają nadzieję otrzymać ultranowoczesną broń. Fryderyk i przedstawiciel Arabii Saudyjskiej przeprowadzali różne negocjacje w Genewie. Nasilił się ruch statków handlowych. Ma się wrażenie, iż wszystkie narody biorą udział w wojnie, tej błogosławionej wojnie, która wymaga od przedsiębiorstw produkujących broń eksportowania za wszelką cenę, zaś od bankierów pośredniczenia w kuszących transakcjach. Inni korzystają z tego i posługują się rządami, które ich opłacają ze względów ideologicznych. Wśród nich jest i Melchior, kiedy się staje Fryderykiem.

Zwila, Libia południowa, 12 grudnia 1985

Upłynęły przeszło dwie godziny, jak opuścili Zwilę. Dokładnie od dwóch godzin i piętnastu minut podróżuje w towarzystwie Moham-meda-milczka. Biorąc pod uwagę ich ograniczoną prędkość, Melchior oblicza, że musieli zrobić około osiemdziesięciu kilometrów. Dokąd jadą? Tego nie wie. Mohammed przerósł swego pana w sztuce milczenia. Ten dyskretny członek straży przybocznej Kadafiego spotkał Melchiora po wylądowaniu Mi-8 i obaj wsiedli na platformę tej przykrytej plandeką ciężarówki, która jedzie powoli drogą. Pustynia, kamienie, upał. Południowa Libia jawi się mu w rażącym blasku słońca jako ziemia niedoli, gdzie skorpion jest królem.

Melchior zadaje sobie pytanie, po co Kadafi dąży do powiększenia swego kraju w kierunku równika, gdzie nie ma nadziei ujrzenia czegoś więcej niż stale umykające wydmy pustyni, ale wpółś-piony długą jazdą, nie znajduje odpowiedzi na swoje pytanie.

- Kiedy dojedziemy? - pyta Mohammeda.

Arab nie odpowiada. A może naprawdę jest niemy? Może jego pan kazał obciąć mu język? Melchior czuje, że ten olbrzym śledzi go tak, jak sęp śledzi konające z pragnienia zwierzę, które się wlecze do wyschniętego źródła wody. Na co czeka z odezwaniem się? Wygląda jak wielka bryła mięsa, jak bezkształtny ochłap porośnięty tłuszczem, z którego od czasu do czasu wysuwa się ręka, żeby obetrzeć sobie okrągły i maleńki nos tonący w błyszczącym miększu twarzy.

Gwałtowne zahamowanie rzuca ich na siebie. Zderzają się, ale Mohammed natychmiast odpycha brutalnie Melchiora i odwraca wzrok, gdyż nie wytrzymuje spojrzenia cudzoziemca. Melchior zapomina o tym incydencie i spogląda na zewnątrz ciężarówki. Nadbiegają żołnierze wymachując bronią. Prowadzi ich oficer w uniformie bojowym. Otaczają pojazd, zajmują pozycje, nieruchomieją w wojowniczych postawach, podczas gdy ich dowódca staje z szeroko rozstawionymi nogami, trzymając w prawej dłoni najnowszy model pistoletu. „To najprawdziwszy western” - myśli Melchior, przeskakując przez skrzynię ładunkową. - Panie... Ty chodź ze mną - oznajmia oficer łamaną angielszczyzną, zaś żołnierze na widok Mohammeda opuszczają broń.

Melchior obchodzi wkoło ciężarówkę i o sto metrów przed nią widzi oszańcowany obóz, otoczony blindażem, budkami strażniczymi i drutem kolczastym. Poza tą groźną linią, na pasach gołej ziemi, wokół wielkiej liczby pojazdów cywilnych i wojskowych, u stóp zmalretowanego wzgórza poruszają się ludzkie postacie. Czy to obóz karny, czy kryjówka? Wkrótce pojmuję, że przybył do zamkniętej części terrorystycznego państwa, do prywatnej posiadłości, gdzie może obserwować jutrzejszych morderców. Czuje lekki ucisk w sercu: wrażenie, że zbliża się koniec, przylepia mu się do skóry, z chwilą kiedy wchodzi do tego miejsca, które czuć ludzką śmiercią.

Minąwszy szlaban, wzmocniony obecnością czterech strażników i dwóch karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm, idzie wzdłuż jednego z tych otwartych pasów, pośrodku których, w niezbyt głębokim okopie, słoczeni są mężczyźni. Odgłos gwizdka wyciąga ich z tej dziury i ze sztucznymi granatami w rękach zaczynają biec ku transporterowi wojskowemu BTR 152. Dobiegłszy do linii, którą wyznaczają skrzynie z amunicją, rzucają swoje pociski na pojazd sowiecki, padają na dwie sekundy na ziemię i wracają pełnym biegiem. Drugi gwizdek. Daje się słyszeć terkot karabinów automatycznych. Ziemię znaczy w ślad za biegnącymi mnóstwo drobnych bruzd. Wzięto ich na cel. Biegnący przyspieszają. Bruzdy zbliżają się do nich, ocierają o podeszwy. Ci, którzy biegną najszybciej, wskazują do okopów, powolniejsi biorą rozmach i rzucają się głową naprzód do przypadkowego schronu. Jednemu się nie poszczęściło, pośliznął się tuż przed ocaleniem. Bruzdy przebiegają po nim: krzyknął i już się nie rusza.

Melchior spogląda pytająco na towarzyszącego mu oficera.

- Marny element - wyjaśnia ten ostatni. - Zbyt roztargnieni. Wielu przychodzi tu z głową wypełnioną obrazami z kina. A tutaj nie jest kino, to rzeczywistość, rozumiesz?

- Rozumiem. Dokąd idziemy? Idź i nie zadawaj pytań.

Idą długo. Krajobraz jest nierealny: zamaskowane budki strażnicze, wkopane w ziemię wartownie, użyto wszelkich umiejętności dla uczynienia armii niewidzialną. A na tym sztucznym tle, utworzonym przez genialnych specjalistów, rekruci uczą się sztuki znisz-

N Bal bankierów

113

czenia. Budzi się w nich nowe uczucie - rozkoszowanie się morderstwem.

Melchior widzi mężczyzn szkolących się w manipulowaniu środkami wybuchowymi i innych, zakładających pułapki minowe na pojazdy. Niektórzy przyglądają się mu z pytaniem w oczach, większość jednak nie przejmuje się jego obecnością w obozie i nie przerywa swych zajęć. Przynależą do różnych ras, pochodzą z różnych krajów. Oto Irlandczyk zajęty przy

celownika swego półautomatycznego karabinu Dragunowa. Tam Palestyńczyk zakłada minę do starej opony. Jeszcze dalej Niemiec i Portugalczyk demontują urządzenie zdalnego zapłonu elektronicznego. Wszędzie ochotnicy z pięciu kontynentów powtarzają po tysiąc razy te same ruchy.

Melchior ocenia ich umiejętności. Odgaduje, że darzą go zaufaniem. Oprawdają go po centrum mechanizmu utrzymywanego przez niektóre banki za pieniądze krajów arabskich. Pieniądze te, deponowane na anonimowe konta, są później przenoszone na inne konta anonimowe, zanim zostaną przelane na nie istniejących osobników i stowarzyszenia stanowiące parawan. Cała seria skomplikowanych czynności, dokonywanych czasami za pomocą zrównoważonej wymiany z krajami Wschodu, zanim zakończą się sfinansowaniem centrów szkolenia i operacji destabilizacyjnych.

Pośród tego cennego i nieodzownego wyposażenia powinien czuć się szczęśliwy, zadowolony, ale po sześciu godzinach podróży samolotem i helikopterem i dwóch godzinach jazdy ciężarówką przez oślepiającą jałowość ziemi libijskiej ma jedno pragnienie: rzucić się na łóżko. Zasnąć. Zapomnieć o „Recovery”, o bankach...

Oficer prowadzi go przez baraki, gdzie w ostrych wyziewach potu grupki kobiet i mężczyzn przeglądają przezrocza ukazujące Nowy Jork, Londyn, Rzym, Tokio, Paryż, ich główne arterie, wielkie domy towarowe, budynki państwowe, stacje metra, kanalizację... Czasami komentator wskazuje świetlną strzałką pojemnik na śmieci albo chodnik, na którym o każdej porze dnia tłoczą się przechodnie, bądź też szkołę, gdzie łatwo jest wrzucić granat z ulicy na dziedziniec.

Droga ciągnie się bez końca. Wchodzą do namiotów zapelnionych uważnymi uczniami przysłuchującymi się instruktorom, technikom sowieckim, ideologom niemieckim, profesorom francuskim, ekspertom amerykańskim, weteranom, którzy się wykazali w Bejrucie i gdzie indziej. Wreszcie oficer nieruchomieje dochodząc do przejścia specjalnie strzeżonego przez licznych żołnierzy libijskich. Młoda dziewczyna podchodzi do Melchiora i rewiduje go bez skrępowania. Potem poleca iść za sobą. Droga prowadzi między dwiema ścianami worków z piaskiem, między czujną milicją gęsto rozstawioną na otwartej przestrzeni, do wojskowego namiotu pod osłoną baterii przeciwlotniczej. Melchior wnioskuje z tego, że znalazł się w miejscu świętym świętych. Dziewczyna kieruje się w stronę namiotu, odchyła płócienny bok i usuwa się.

Melchior pochyla głowę i zagląda do tej kryjówki, której właściciela dobrze zna. Kadafi siedzi na dywaniku modlitewnym i uśmiecha się na powitanie. W namiocie znajduje się niewiele rzeczy, ale jest tam zastawa do herbaty, ustawiona przed panem tego miejsca, Koran oprawny w zieloną skórę, popielniczka z jadeitu, rozdarty egzemplarz „Timesa” i imponująca Beretta 2, owinięta do połowy wielbłądzią skórą.

Melchior siada na wprost Kadafiego zgodnie z rytuałem, do którego tylko on stosuje się dość bezceremonialnie, nie ściągając na siebie gromów gniewu pyszałkowatego pułkownika. Dwaj mężczyźni obserwują się, po czym Kadafi przerywa to zmaganie się wzrokiem i zaczyna nalewać herbatę... Wciąż się uśmiecha, ale jego wygięte wzgardliwie wargi nie harmonizują z wyrazem jego twarzy ani z postawą, ani, tym bardziej, z żadnym z powolnych gestów, które wykonuje. Co knuje w tym milczeniu, jeden Allah to wie.

- Mówi się, że Reagan ma się pozbyć dwóch swoich przyjaciół - odzywa się wreszcie chłodnym głosem.

- Za dużo się mówi w pewnych ambasadach w Trypolisie odpowiada spokojnie Melchior. - O ile wiem, tylko McFarlane będzie na tej liście.

- A przecież był bardzo bliski prezydentowi.

- Oby Bóg zapewnił nam przyszłość lepszą niż jego.

Tym razem uśmiech Kadafiego staje się szczery. Długo delektuje się odpowiedzią Szwajcara, nim odparuje z właściwą sobie uprzejmością zabarwioną cynizmem:

- Cenię twe słowa, ale ani przez chwilę nie mogę sobie wyobrazić, że wierzysz w Boga.

Wiedz, że to nie jest najstosowniejszy temat do rozmowy dla człowieka naprawdę wierzącego, którego tym obrażasz.

- Nie przybyłem tutaj dla roztrząsania tego tematu.

- Pij, niewierny.

Kadafi podaje Melchiorowi pięknie cyzelowaną filiżankę i podnosi swoją na wysokość oczu. Melchior czuje wyraźnie, że jeden z dawnych demonów opętał gospodarza.

W czarnych oczach widać błysk szaleństwa. Przez dłuższą chwilę Kadafi siedzi nieruchomo z filiżanką w ręku, a potem robi coś tak nieoczekiwanego, że Melchiora przebiega dreszcz: roztrząskuje ją gwałtownie na imbryczku.

- Nie znoszę widoku tych dekadencckich przedmiotów.

I bez żadnego przejścia kładzie przyjaźnie dłoń na ramieniu Melchiora.

- Chciano by, aby nasi ludzie uderzyli?

- Tak.

- Są gotowi. Grupa Abu Nidala gotowa jest do akcji, inne już w niej biorą udział.

- Syryjczycy i Irańczycy powiedzieli to samo, ale wy posługujecie się nimi prawie wyłącznie przeciw Żydom. To zły wybór.

- Wydamy światu prawdziwą wojnę. Nasze wojska mogą wystąpić wszędzie.

- Chcemy, żeby istniała koordynacja między wszystkimi jednostkami. Każdy terrorysta będzie potrzebował formalnego oparcia w kraju, w którym powinien działać.

Jaki jest pierwszy obiekt? - nerwowo pyta Kadafi.

- Francja.

- Dobrze wybrałeś. Nacja, która maleje liczebnie, pomniejsza się pod każdym względem. Nasi Libańczycy i Ormianie są już na miejscu w Paryżu. Zapłonnie w tym mieście ogień i poleje się krew.

Kadafi zatapia się w myślach, jakby już widział grozę wywołaną przez swych wiernych. Słyszy w oddali strzelaninę, szcęk pojazdu gaśnicowego, wojownicze okrzyki terrorystów. Wszystko idzie ku lepszemu, on panuje nad śmiercią... Wciąż jednak nie rozumie, czego szuka Melchior, który wraz z innymi odgrywa ważną rolę w związkach Libii z bankami, Sowietami i różnymi handlarzami bronią na tej planecie. Potrzeby Libii są ogromne. Każdego dnia komputery zaliczają miliony na poczet kredytów i debetów i rozdzielają je między różne banki należące do tego systemu - z Moskiewskim Bankiem Ludowym na czele - a chciwi zysku ludzie, tacy jak w Szwajcarii, Hongkongu, Nowym Jorku, stają się wrogami Zachodu, udzielając pożyczek krajom ekstremistycznym. Dlaczego?

17

Paryż, 20 lutego 1986

Tres siglos de Mexico, tytuł wyróżnia się pozłotą liter na zniszczonej okładce.

Skończone - mówi do siebie Elżbieta wsuwając kartę klasyfikacyjną między dwie pierwsze strony książki Andresa Cavoya opisującej niewolnictwo Indian w XVIII wieku. To ostatnia praca, którą właśnie połknęła w ciągu czterech godzin według metod nauki stosowanych przez eksperta z „Firmy”. Wstawia książkę na jedną z półek bibliotecznych, między sto innych tomów specjalnie sprowadzonych przez Falpa z Meksyku. Niezgorszy wybór, grupujący pisarzy różnych kierunków i różnorodnych stylów od Louisa de Zandovala y Zapaty do Leopolda Zei, poprzez Amado Nervo i Carlosa Fuentes.

Od 1 stycznia Elżbieta żyje całkowicie po meksykańsku. Wszystkiego dostarcza „Firma” przy współdziałaniu Falpa i jego pomocników: posiłki, gazety, publikacje, nagrane taśmy magnetofonowe, wideokasety, ubrania, bielizna... Wszystko jest meksykańskie. Zrobiono

wszystko, aby stała się całkowicie Juana Angellą Chavez. A to „wszystko” oznacza, że Elżbieta mówi i myśli po hiszpańsku, nawet wtedy kiedy jest sama: nie ukrywa się przed nią obecności mikrofonów podsłuchowych połączonych z centralą. Dwa razy w tygodniu Falp urządza również obiad z rodowitymi Meksykanami, zwerbowanymi w tym celu. Falp jest bardzo wymagający i Elżbieta wcale go nie lubi. Panuje między nimi zimna wojna. Elżbieta jest samowystarczalna w tym środowisku, które od razu przypadło jej do gustu. To mieszkanie jest kopią drobnomieszczańskiego mieszkania sfotografowanego w dzielnicy Morelos w mieście Meksyk.

- To było mieszkanie pani rodziców - powiedział jej Falp. - Być może pani do niego „powróci”, kiedy pani tam się znajdzie.

Jest w nim wszystko: figurki z epoki mizteckiej i azteckiej, przedmioty współczesne produkowane w Guadalajarze i Monterey, tanie reprodukcje obrazów Jose Clemente Orozco i Jose Guadalupe Posado... Tutaj, tego dnia, kiedy Falp przyszedł przynosząc z sobą emaliowaną barwnie czaszkę, noszącą na kości czołowej wykaligrafowane jej nowe imię: Juana, zaczęła naprawdę zapominać, że się nazywała Elżbieta Cortes. Ten upominek-maskotka, przysłany przez Sey-ne'a, stał się prawdziwym katalizatorem dotychczas niepewnej motywacji.

Po zaprogramowaniu w swym umyśle zajęć na dzień bieżący, Elżbieta włącza telewizor, wsuwa kasetę i uważnie słucha wiadomości telewizyjnych, nagranych przed tygodniem w Meksyku. Dziennikarz mówi o organizacji Mundialu, o problemach związanych z trzęsieniem ziemi, o zagadnieniach finansowych, które rząd powinien uregulować... Jego komentarzowi towarzyszy reportaż robiony na ulicach stolicy Meksyku, a potem wywiad z ministrem finansów, J. S. Herzogiem\*.

Na jego widok Elżbieta przypomina sobie słowa Seyne'a, z którym się widuje co dwa tygodnie. „Powinna pani liczyć się z Herzogiem. Ten człowiek o słabej mimo pozorów osobowości, to jedna z ukrytych kart pana Saschauera. Możliwe, iż zażądają od pani sprzymierzenia się z nim, kiedy pani tam się znajdzie”.

Zatrzymuje obraz. Przygląda się twarzy ministra: wzrok pochmurny, worki pod oczami, górna warga nie istniejąca, dolna wysunięta nieco do przodu, nos lekko zakrzywiony i bujne, faliste czarne włosy. Całość sprawia wrażenie czegoś gadzinowatego.

- Dobry bezmózgowy ogier, no nie?

Elżbieta jest zaskoczona: Falp stoi tuż przy niej, z wargami przy jej uchu.

- Nie słyszałam, jak pan wchodził - mówi cofając głowę.

- Drzwi nie były zaryglowane. To niewybaczalny błąd z pani strony. Mógłbym panią zabić, panno Chavez - odpowiada Falp po hiszpańsku, w jedynym dopuszczalnym języku.

\* Jesus Silva Herzog zmuszony był podać się do dymisji w czerwcu 1986 r. (Przyp. aut.)

- Nie opuszcza pana poczucie humoru, kapitanie.

Zamieniają kilka zdawkowych zdań, jakby dla wyszlifowania elementarnych form rozmowy. Mają to opanowane w stopniu prawie doskonałym. Elżbieta z wiadomych nam powodów, zaś Falp z racji odbytej praktyki, z czasów swoich funkcji jako attache wojskowy w ciągu trzech lat pobytu w Meksyku i dwóch w Madrycie. Potem nagle, Elżbieta rzuca pytanie:

- Co pan powie o tym Herzogu?

- To jasne, że jego naiwność w końcu nam się opłaci.

- To znaczy?

- Od pięciu lat otrzymuje ze strony pewnych finansistów ustawiczne złe rady, poświęca go, przeciwstawiając Amerykanom, a potem przywróca do łask w oczach narodu i zrobią z niego ewentualnego kandydata do prezydentury w osiemdziesiątym ósmym roku. Herzog chce zamrozić zadłużenie Meksyku.

- Rozumiem... Sądzę jednak, że to nie Saschauser ma bezpośredni udział w decyzjach Herzoga.



- Na pewno nie on. On się trzyma na uboczu. Tajną robotę wykonuje zaufany przyjaciel Herzoga, ogromnie wpływowy osobnik należący ciałem i duszą do Saschauera; to Carlos Cisco-Diez.

- Finansista pracujący dla Merrill Lynch.

- Tak, spotka go pani, kiedy nadejdzie pora.

Falp zdejmuje gitarę, stanowiącą niezbędną część dekoracji mieszkania panny Chavez, i opada na fotel przykryty narzutą z czystej wełny o żywych kolorach.

- Czy chce pani, żebym zagrał tecolote?

Elżbieta sztywnieje. Ten łajdak Falp już nie żartuje. Zastawia na nią pułapkę. Chce ją wysondować. Zaczyna się lekcja. Nieufność. Tecolote to taniec grupy tancerzy z Tarahumaras, którzy posługują się przy tej okazji instrumentem perkusyjnym, składającym się z przedziurawionych i wyżłobionych cienkich deseczek. Jest to dalekie od folkloru zainspirowanego rytmami przeniesionymi z Hiszpanii.

- Nie będzie to łatwe przy gitarze - odpiera Elżbieta.

- Oczywiście - mówi Falp, odkłada gitarę i przysiadła przed młodą kobietą, która go mierzy impertynencko wzrokiem. - Małeńki

sprawdzian pamięciowy - dodaje. Co pani o tym powie, panno wszy stk owiedzająca?

- Kutas!

- Jakież to poetyczne! Pozostajmy przy temacie.

Falp krzyżuje ramiona, unosi brwi, zastanawia się, opuszcza ramiona, przesuwając palec wskazujący pod jej podbródek i brutalnie zatrzymuje rękę Elżbiety, która bierze przyrząd do zdalnej regulacji, żeby wyłączyć telewizor. Elżbieta rzuca mu piorunujące spojrzenie, ale nic nie robi, żeby się uwolnić. Skupia całą swą energię i siłę woli. Nie zapomniła wielokrotnych poniżeń, których doznała od kapitana. Jest zdecydowana wziąć nad nim górę. Ten jeden raz. Jako punkt honoru.

Falp zmienia swój głos i jego poważnie wymówione słowa dziwnie dominują nad słowami komentatora telewizyjnego:

Przejrzystość

(może warto zadać sobie trud

i zapisać to na bieli

tego arkusza)

Nie jest przejrzysta:

Przerywa recytację, ścisną bardzo mocno rękę Elżbiety, która to pojęła i ciągnie dalej, patrząc mu śmiało w oczy:

To szaleństwo

(żółtawe i czarne,

nadmiar żółci, po hiszpańsku)

Wylane na arkusz.

Dlaczego?

Wstyd to gniew

skierowany przeciwko sobie:

Jeśli cały naród poniży się we wstydzie

Staje się lwem, który...

Dość! - wrzeszczy Falp. - Kto to napisał?

- Octavio Paz.

- Kiedy i w jakich okolicznościach?

- Napisał to trzynastego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku i adresował z New Delhi do Komitetu Igrzysk Olimpijskich w Meksyku jako protest przeciw wydarzeniom z drugiego października, które zboczyły krwią plac Trzech Kultur.

- Dobrze, Chavez. Proszę nigdy nie zapomnieć tego poematu. To

będzie klucz, którym pani otworzy w więzieniu serce swojej przyszłej przyjaciółki Anny Ordas Nalles... Jedźmy dalej. Miasto Torreón?

- Główne miasto stanu Coahuila nad rzeką Nazas na południe od Mapimi i...

- Dobrze. Wysokość Popocatepetl?

- Pięć tysięcy czterysta czterdzieści dwa metry...

Obrywa policzek. Elżbieta powstrzymuje się, żeby nie krzyknąć. Falp nie szczędzi razów.

- Pięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt dwa metry, Chavez, pięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt dwa metry. Niech to przedostanie się do mózdzku wykształconej Meksykanki.

Kiedy ból ustąpił, Elżbieta odparowuje uderzeniem nogą w brzuch kapitana, który się zgina, a ona bez trudu wyprostowuje go ciosem ręki w podbródek. Wstrząśnięty i zdruzgotany Falp pada na kolana, trzymając się za podbrzusze.

Nie jestem już dawną debutantką. Mam nadzieję, że dzisiejszego wieczora nie pójdzie pan się włóczyć za młodzikami z Montparnasse. Wynocha stąd, Falp.

Falp kieruje się chwiejnym krokiem do drzwi, a kiedy ociąga się z wyjściem, Elżbieta chwyta koltła Lawmana, który schowała na kanapie pod poduszką. Celuje w kapitana.

- Tym również potrafię się posługiwać.

- Pani mi za to zapłaci, Chavez - bełkoce Falp wychodząc za drzwi.

- Adiós amigo - rzuca Elżbieta zatraskując drzwi.

Potem, wyczerpana nerwowo, osuwa się powoli po ścianie. To musiało nastąpić. Wcześniej czy później, ale musiało nastąpić...

Genewa

Głos prezesa Citibanku dochodzi jakby z oddali. Na podobieństwo starego nauczyciela recytującego uczniowi lekcję, prezes akcentuje zdania gestem ręki. A Fryderyk słucha go myśląc o czym innym.

- Chcieliśmy, żeby restrykcje, które spadły na amerykańskie banki, zostały zdjęte. To dziwne, Detmer, mam wrażenie, iż popełniliśmy błąd. Prawo McFaddena stanowiło ochronę.

Zabraniało nam

podejmować pieniądze w jakimś innym stanie; nie było nam wolno wykupywać banków w Kalifornii czy Dakocie i nie mogliśmy ścierpieć tego, że byle Szwajcar, Francuz czy Anglik może to robić. Dlatego te restrykcje zostały częściowo zniesione, co nam pozwoliło finansować nasz eksport za pośrednictwem filii znajdujących się w innym stanie... Ale my chcieliśmy więcej, jeszcze więcej, coraz więcej. Powinienem powiedzieć: my chcemy więcej. Jesteśmy bankierami, Detmer. Otóż tę rolę odebrali nam w latach osiemdziesiątych skarbnicy wielkich przedsiębiorstw, próbujących wyciągnąć jak największe zyski ze swoich kapitałów, grając gorączkowo na zmianach kursów. Inne proponowały usługi finansowe wdzierając się w domenę naszego działania. Przy tym nie nosiły nazwy „bank” i nie uważały, iż prawo zabrania im przyjmować depozyty w więcej niż jednym stanie. Tymczasem to prawo, które ograniczyło naszą działalność do jednego tylko stanu, zmusiło nas do rozszerzenia jej na inne kontynenty. Wyszło to nam zarówno na dobre, jak i na złe. Obecnie jesteśmy płatnikami długów krajów rozwijających się, a wie pan, co to znaczy?

- Tak, ale dlaczego zniesienie prawa McFaddena tak pana niepokoi?

- Ponieważ od tej pory zajmujemy się obrotem miliardów dolarów oszczędności prywatnych zdeponowanych na całym terenie Stanów Zjednoczonych. Bez tego prawa wolno nam się rozwijać i wchłaniać tysiące drobnych banków. Pożyczamy pieniądze Amerykanom, ludziom uczciwym i wypłacalnym. Jesteśmy bezpieczni, z dala od rewolucji afrykańskich i południowoamerykańskich. Polegamy na sobie. I w tym leży niebezpieczeństwo. Stany Zjednoczone narażają się na utratę pierwszego miejsca, jakie zajmują w świecie. Za dziesięć lat, kiedy będziemy klasyfikować banki według ich aktywów, w pierwszej dziesiątce nie będzie już prawdopodobnie banków amerykańskich.

- O ile banki będą jeszcze istniały - dorzuca Fryderyk.

- Tak, wiem, czynimy właśnie wszystko, żeby znikły i to wbrew naszej woli. Zadłużenie krajów rozwijających się osiągnie wkrótce jeden bilion dwieście miliardów dolarów... Jeżeli my przepadniemy, to i świat przepadnie.

- Nasz świat, prezesie, nasz świat. Proszę nigdy nie zapominać, że nie jest to świat setek milionów wydziedziczonych, którzy cierpią przez nasz egoizm.

- No dobrze, Detmer, zmieńmy temat, chcę raczej usłyszeć o naszych irańskich potrzebach.

18

Detmer się rusza, bankierzy się ruszają, każdego dnia, potajemnie, załatwia się nowe transakcje, ze wszystkich stron rozchodzą się zamówienia.

Teheran, 15 kwietnia 1986

Dostawa na lotnisko części zamiennych dla irańskiego lotnictwa wojskowego. Dostawa Phantomów jest regularna, Stany Zjednoczone dotrzymują swoich umów. W ośrodku szkoleniowym Chiraz Niemcy z NRD respektują swoje: szkołą pilotów irańskich. Jedenastego marca obserwatorzy zanotowali, że lotnictwo irańskie, o którym sądzili, że nie jest już w stanie wykonać choćby jednego zadania, przeprowadza długodystansowe loty. Godne uwagi jest też stosowanie przez tychże Irańczyków pocisków chemicznych ziemia-ziemia przeciw urządzeniom naftowym w Kirkuk.

Moskwa, 15 kwietnia 1986

Irak i ZSRR zawierają umowę o wymianie ropy na broń. Szczegóły umowy są regulowane przez brytyjskiego handlowca, przedstawiciela wielkiego banku w Hongkongu, oraz iracką delegację wojskową, która pozostała w ZSRR po grudniowej wizycie prezydenta Saddama Husajna.

Waszyngton, 16 kwietnia 1986

Na prywatnym zebraniu pułkownik North potwierdza, że demokratyczne oddziały nikaraguańskie (contras), po otrzymaniu niezbędnych materiałów i wyszkolenia, opuszczają Honduras w kwietniu albo maju 1987 roku, by przeprowadzić wielką ofensywę na Managuę.

Genewa, 18 kwietnia 1986

Zebranie ekspertów Fryderyka-Melchiora. Wszyscy są zgodni: inflacja się zwiększy w ciągu drugiego kwartału 1988 roku. Zwyżka kursu złota, na skutek krytycznej sytuacji w Afryce Południowej, jest nieunikniona. Będzie to odebrane jako sygnał do ponownego wywołania inflacji przez finansistów. Stąd zwolnienie wzrostu, czyli recesja. Zwłaszcza amerykańska. Reaganizm się przeżył. Wall Street wpadnie w poślizg, zaś kraje rozwijające się dotkną kryzys.

Fryderyk nie wierzy w światową inflację głoszoną przez obserwatorów. Informacje, które zachowuje dla siebie, i raporty jego ekspertów stwierdzają coś wręcz przeciwnego; świat ma dosyć tego finansowego zamieszania i jego sprawców, którzy zarabiają na tym, a jednocześnie są niezdolni do znalezienia rozwiązania problemu światowego zadłużenia.

Pozostaje podzielić się „jego rozwiązaniem” z siedmioma mężczyznami.

Seyne wali pięścią w stół. Elżbieta nie widziała go jeszcze w takim stanie.

- Jak to, pani już nie chce być Juana Chavez?

- Dobrze pan słyszał, pułkowniku. Nie jestem w stanie utrzymać się w tej roli.

- Co pani opowiada? - mówi Seyne łagodząc głos. - Tyle wdzięku, talentu, możliwości, energii, siły woli, odwagi, i to wszystko w doskonałym wcieleniu w Meksykankę, świadczy o czymś przeciwnym, zdaniem wszystkich odpowiedzialnych za tę akcję. Jesteśmy przekonani, że jest pani jedyną osobą na świecie zdolną do wypełnienia tego zadania. Nasi przyjaciele meksykańscy nie domyślają się, że jest pani Francuzką. A pani wmawia sobie, że nie potrafi odgrywać roli Juany? Nie mówię tego, żeby wpłynąć na pani decyzję. Ja też tak myślę: jest pani agentem doskonałym. A w naszym zawodzie tak rzadko się zdarza napotkać doskonałość. Czasami, kiedy z rozgoryczeniem odnoszę się do moich zadań, znajduję

pociechę mówiąc sobie, że wszystko dobrze idzie, że znajdę nagrodę w tym, iż istnieje gdzieś pewna Elżbieta Cortes, która walczy o dobro ludzkości... Ale cóż! Po co mówić o tym do pani? No nie? Proszę odpowiadać! Pani porucznik ma mnie w nosie? Niech pani jeszcze spróbuje odmówić współpracy z moją sekcją, a każę panią aresztować.

- Ludzkość... Pan, pułkowniku, jest taki sam jak kapitan Falp. Zawsze wielkie słowa na ustach, a bat w ręku. Jeśli chce mnie pan przekonać, proszę być bardziej obiektywnym.

- Mnie brak obiektywności?! - ryczy Seyne, kierując się do terminala swego komputera. Zaczyna uderzać z impetem w klawisze, potem odwraca się gwałtownie do Elżbiety, która wyczuwa całą wagę wybuchu Seyne'a, wszystkie pierwotne instynkty żołnierza przyzwyczajonego do natychmiastowego i bezwzględnego kontrataku. Seyne należy do ludzi wychowanych w rygorach, którzy przeszli od twardych wymogów internatów szkolnych do dyscypliny koszar, od regulaminu szkół wojskowych do rozkazów pułkowych. Kiedy miał dziesięć lat, po raz pierwszy znalazł się w kościele. Usłyszał kazanie o cierpliwości, pokorze i miłosierdziu. Nigdy więcej nie poszedł do kościoła. Akcja, armia, ojczyzna, Francja, swoista etyka, której nośnikiem jest siła - oto jego racje bytu i to, co chce przekazać swoim podwładnym.

- A teraz odzywa się lodowatym tonem chciałbym, żebyście się temu przyjrzyli z chłodną obiektywnością, poruczniku - odsuwa się i pokazuje Elżbiecie ekran. - Proszę dobrze się przyjrzeć i uświadomić sobie, co oznacza odmowa współpracy z nami. Chcę, żeby się pani stała jednym z członków siatki Saschauera. Potrzebuję nazwisk wszystkich finansistów odpowiedzialnych za „Recovery”, wszystkich adresów, a jeżeli niektórzy z nich są w kontakcie z terrorystami, potrzebuję ponadto podania, gdzie mają bazy, jakie są ich przyszłe plany oraz wskazania przywódców państw biorących udział w holokauście. Nigdy niczego tak nie pragnąłem jak spełnienia przez panią tego zadania. Niech pani dobrze się przyjrzy temu ekranowi i wybierze swoje przeznaczenie, swoje „tak” albo „nie”. Ale niech pani wie, że sama możliwość powiedzenia „tak” albo „nie” stanowi istotę wszelkiego panowania nad sobą. Bez tego nigdy nie będzie pani w stanie odnieść sukcesu w tej czy innej dziedzinie. Podczas kiedy Seyne kończy swą przemowę, Elżbieta podchodzi do ekranu. Odnajduje na nim pełną listę zamachów dokonanych w Paryżu od 1978 roku, które pociągnęły za sobą ofiary.

„3 grudnia 1978 r.: dom towarowy przy ratuszu, 1 osoba zabita, 8 rannych;

27 marca 1979 r.: żydowska restauracja uniwersytecka - 33 rannych;

24 września 1979 r.: regionalne biuro zatrudnienia, 1 ranny; 29 stycznia 1980 r.: ambasada Syrii, 2 zabitych i 8 rannych; 3 października 1980 r.: synagoga na ulicy Kopernika, 4 zabitych i 18 rannych;

12 stycznia 1981 r.: kino »Saint-Severin«, 2 rannych;

29 sierpnia 1981 r.: hotel »Intercontinental«, 3 osoby ranne;

28 października 1981 r.: kino »Berlitz«, 3 osoby ranne; 20 listopada 1981 r., 22 kwietnia 1982 r.”

Lista robi wrażenie. Jest tyle zamachów, że Elżbieta nie może ich zapamiętać, nawet tych, o których myślała, że utkwily jej w pamięci; o potwornościach spotykanych na co dzień szybko się zapomina.

„9 sierpnia 1982 r.: restauracja Jo Goldenberga, 6 osób zabitych i 26 rannych;

17 września 1982 r.: ulica Cardinet, 50 osób rannych; 23 lutego 1985 r.: sklep Marksa i Spencera, 1 zabity i 14 rannych; 7 października 1985 r.: Galeries Lafayette, 35 rannych”.

Seyne naciska klawisz i wywołuje inne liczby. „Zamachy w Paryżu, liczba ofiar od 1 stycznia 1976 r. do 1 stycznia 1986 r.: 26 osób zabitych i 386 rannych”.

- Czy chce pani poznać ogólną liczbę w całej Francji? - pyta zimnym tonem.

- Nie... To zbędne.

Elżbieta pochyla głowę. Trudno jej uwierzyć, że istnieje związek między terroryzmem a bankami. Co najwyżej doszły ją słuchy o porozumieniu zawartym między Palestyńczykami z OWP a szwajcarskim bankierem. Ani przez chwilę nie przypuszczała, że oni istotnie chcą z niej zrobić swego rodzaju mściciela ścigającego finansistów, którzy stali się przestępcami wojennymi. Seyne przerywa jej rozmyślania.

- Te masakry są dokonywane przez płatnych morderców przerzuconych na nasze terytorium przez szefów państw, którzy z kolei są manipulowani przez wielkie potęgi i pewne jednostki, takie jak

Saschauer. Jedynym celem tego wszystkiego jest destabilizacja gospodarki budżetowej.

Najgorsze jeszcze nastąpi i musimy okazać się bezliśni. Kiedy pani dostarczy nam dowody winy pewnych ludzi, trzeba będzie być może interweniować w Damaszku, w Trypolisie, Teheranie, na Kubie, w Moskwie, w Pekinie, kto to wie? Ale będziemy interweniowali, może pani być pewna, za zgodą Matignon\* lub bez niej. Potrzebny mi jest Saschauer! Chcę wiedzieć, co on przygotowuje.

Po raz pierwszy postać Saschauera nabiera nieoczekiwanych wymiarów. Elżbieta przestaje go uważać po prostu za mężczyznę o wyrafinowanych gustach, dobrze się trzymającego jak na swój wiek i spędzającego czas między Genewą a Waszyngtonem, lecz za wroga. Pieniądz i wojna. Pieniądz i terroryzm. Ocenia, do jakiego stopnia skorumpowany jest świat finansów. Przychodzą jej na myśl słowa Rockefellera, wypowiedziane na początku kryzysu irańskiego: „Mam nadzieję, że nie uważacie mnie za pajaka siedzącego w sieci intryg narodowych\*\*”. (...) Istnieje nie jedna sieć pajęcza, ale całe mnóstwo”.

- Więc zgoda - odpowiada Elżbieta z determinacją. - Wykonam aż do końca wyznaczone mi przez pana zadanie.

Seyne się odpręża. W jego oczach ukazują się jasne i wesołe błyski, co rzadko się zdarza. Nie posiada się z radości. Poczucie koleżeństwa skłania go do przyjaznego położenia obu rąk na ramionach Elżbiety. Zapomina przez chwilę, że jego stanowisko nakazuje dystans w stosunkach z podwładnymi.

- Dziękuję, poruczniku.

- Proszę mi nie" dziękować. Odebrał mi pan wszelką możliwość odmowy. Chodziło panu o to, by mną wstrząsnąć, wzbudzić moje oburzenie, a później uczynić mnie odpowiedzialną i to się panu udało. Do mnie więc teraz należy zrozumienie, do czego zmierza Saschauer i jego wspólnicy... nawet jeśli przyplacę to życiem.

„Ależ nie" - myśli Seyne. Nie chce jej poświęcić. Pragnie jedynie uświadomić jej, na jakie niebezpieczeństwa są narażone demokracje.

\* Matignon - siedziba premiera Francji. (Przyp. tłum.)

\*\* Deklaracja Rockefellera, ówczesnego prezesa Chase Manhattan Corporation z kwietnia 1981 r. (Przyp. aut.)

- Cokolwiek się stanie - kończy, starając się znaleźć jakieś wyjście

- wiem, że się pani powiedzie.

- Doprawdy?

- Jestem pewien, a pani nie?

- Później się nad tym zastanowię.

- Nie będzie pani miała czasu. Ma pani wyjechać pod koniec miesiąca do Stanów Zjednoczonych. Przeciwnicy Casey'a wewnątrz CIA zajmą się pani dalszym szkoleniem, zanim wyślą panią dalej zgodnie ze znanym jej w ogólnych zarysach scenariuszem. W związku z tym muszą pani przedstawić człowieka, który go wymyślił. Spotkamy się jutro. Proszę być punktualnie o dwunastej piętnaście przed hotelem „Crillon”. Stamtąd pójdziemy do ambasady amerykańskiej.

- Czy ma pani przy sobie jakieś metalowe przedmioty? - pyta Seyne Elżbietę po dotarciu do punktu kontrolnego ambasady.

- Tak.

- To proszę je złożyć w tym pojemniku.

Wartownik amerykański stoi pośrodku przegrody rozdzielającej wchodzących od wychodzących i czeka, aż Elżbieta włoży do pojemnika swoje klucze, monety, zegarek, pilnik do paznokci i różne drobiazgi znajdujące się w torebce. Później sprawdza ją detektorem, ogląda przedmioty, zwraca jej i wręcza jej kartę wstępu.

- Powinna pani nosić ją na widoku - zaznacza Seyne z przyzwyczajenia.

Wreszcie otwierają się drzwi ambasady. Elżbieta stawia nogę na gruncie amerykańskim.

Odnosi wrażenie, jakby oglądała fragmenty filmu przed projekcją całości. Widzi siebie na ulicach Nowego Jorku, nad brzegami Missisipi, w atelier Hollywoodu.

„Coś ci się roi, staruszko - myśli z uśmiechem nigdy nie otrzymasz »Oskara« za najlepszą interpretację”.

Jak pani ładnie wygląda z tym uśmiechem - dziwi się Seyne.

- Nareszcie widzę panią taką, jaką zawsze pragnąłem zobaczyć: swobodną i w dobrym nastroju.

- Zawsze marzyłam o podróży do Stanów i myślę o tej niesłychanej wędrownicy, która się zakończy w więzieniu w Houston - kłamie Elżbieta. - To przyjemne, prawda?

- Ma pani specyficzne poczucie humoru. Radzę być bardziej po-

wściągliwą. kiedy przedstawię panią nowemu instruktorowi. Nie należy do wesółków. To raczej purytanin ze Środkowego Zachodu, Biblia to dla niego książka do poduszki, jego ideałem jest przytyłek gotówki, a przepustką rewolwer Magnum 357.

Ponowna kontrola, tym razem przez cywilów. Hall ambasady rozbrzmiewa nieustannym echem kroków strażników, spacerujących nonszalancko po korytarzach ze wzrokiem utkwionym w interesantach. Seyne prowadzi swoją protegowaną do samego centrum tej świątyni potęgi, aż do sali bez okien. Jest to ogromny salon o ciepłych barwach, który przemierza w różnych kierunkach służba o nieskazitelnym wyglądzie i wyczyszczonym obuwiu błyszczącym jak lustro. Jest to przystań pokoju dyskretnie oświetlona z powodu ustawicznych ciemności, gdzie dobrze jest się znaleźć wśród przyjaciół. Jest ich trzydziestka rozlokowana w świetlnej pozłocie lamp. Gawędzą przytłumionym głosem, ściszą śmiech albo oddają się rozmyśleniom w półmroku, zanurzeni w miękkich fotelach, z talerzami i kieliszkami ustawionymi na niskich stołach. Cała wieczność dzieli ich od wielkiego niepokoju ulicy. Francja jest daleko. Europa jest daleko. Terror jest daleko. Być może kilku trzeźwo myślących przeczuwa niebezpieczeństwo, ale jak polegać na przecuciu, kiedy jest się bezpiecznym w najbardziej strzeżonym budynku Paryża?

Elżbieta próbuje odgadnąć, kto spośród obecnych jest człowiekiem CIA. Zatrzymuje wzrok na najbardziej postawnych i najwyższych, o pobrużdżonych i opalonych twarzach, z oczyma rozszerzonymi jak po bezsennej nocy spędzonej na śledzeniu poczynąń sowieckich agentów na bulwarze Lannes.

Ten, który do niej podchodzi, nie jest podobny do tych, których wybrała. Jest średniego wzrostu, ma różową cerę i naiwne, niebieskie oczy. Pod tą budzącą sympatię maską kryje się siła. Elżbieta ją czuje. On z pewnością nie jest tym zapowiedzianym purytaninem.

Pan Henry Belman, panna Elżbieta Cortes - mówi Seyne przedstawiając ich sobie.

Elżbieta ścisza mocną dłoń Belmana, który w przesadny sposób potrzęsa jej ramieniem. To z pewnością chwyt obliczony na wywołanie sympatii.

Bardzo się cieszę z poznania pani... Mogę tylko dodać - naresz-

cie! mówi głosem bez wyrazu, tak jakby nauczył się każdego słowa na pamięć.

Potem przygląda się jej bacznie niczym chirurg od operacji plastycznych, zastanawiający się, gdzie należy przyłożyć skalpel.

- Jest pani doskonała - mówi wreszcie prowadząc ją do fotela.

- Pan mi pochlebia - odpowiada Elżbieta żartobliwym tonem.

- To nie pochlebstwo - ciągnie Belman zniżając głos i przysuwając się bliżej. - Przystąpmy do faktów, panno Cortes. Co wiemy o tym Detmerze? Że jest osobnikiem inteligentnym, może aż nadto... No tak, umysł graniczący z genialnością w ciele bankiera dysydenta. Nie można go kupić ani posługując się kobietami, ani zaszczytami, ani nawet przystawiając mu nóż do gardła, a tym bardziej operując ideałami. Jest bardziej nie do pokonania niż Elliot Ness w okresie prohibicji, twardszy od wszystkich prezbiterianów i mozabitów\* wziętych razem. „Recovery” jest dla niego środkiem do osiągnięcia własnych celów. Ohver North, Poindexter i Casey chronią go tak, jak chronią innych bankierów. W istocie rzeczy wszystkie rządy postępują w ten sposób z ludźmi, którzy posiadają prawdziwą władzę. Chociaż ja wątpię we władzę bankierów, bowiem w rzeczywistości banki są mniej pewne, niż na to wyglądają; najdokładniejsze obliczenia coraz częściej opierają się na swego rodzaju oszustwie. Sądzę, że nie ma potrzeby rozwijać tego tematu. Do pani należy przedostać się do tej organizacji i dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Ale ja nie jestem specjalistką od finansów - prostuje Elżbieta po hiszpańsku. - Do czasu otrzymania nowego rozkazu nazywam się Juana Angela Chavez i mam uczyć francuskiego w Meksyku.

Seyne, zwrócony do nich twarzą, skrzyżowawszy ramiona, przysłuchuje się rozmowie z widocznym zadowoleniem, jakby badał ich ukryte myśli. Dostrzega - i to go bawi - że Belman nie jest tak surowy, za jakiego go uważał. Doskonały komediant. Rozumie teraz, jak i dlaczego potrafił uspić czujność Casey'a. Niemniej można zadawać sobie pytanie, jakim sposobem potrafił przeciągnąć Sas-chauera na swą stronę i jak doszedł do poznania operacji „Recove-ry”. To on skontaktował się z DGSE. Czego się spodziewa? Że Francja zdemaskuje spiszek Białego Domu?

\* Ortodoksyjni muzułmanie. (Przyp. aut.)

- Wspaniale! - wykrzykuje Belman rzucając zawistne spojrzenie na Seyne'a. - Wykonaliście dobrą robotę. Myślałem, że „Firma” się wyczerpała, ale stwierdzam, że jest genialna. Od tej chwili, pułkowniku, puszczam w niepamięć Greenpeace. Pański agent jest godny CIA.

Seyne nadal mu się przygląda swymi brązowymi oczyma, w których kryje się przebiegłość i znajomość ludzi. Uśmiecha się i odpowiada wążąc słowa:

- Proszę starać się nie zapominać zbyt szybko, że to jest nasz pomysł i że porucznik Cortes jest Francuzką i pozostanie nią bez względu na to, co się stanie.

Słyszając, co się o niej mówi, Elżbieta czuje się zawiedziona. Już jako dziecko doznawała podobnego uczucia, kiedy jej rodzice i ojciec chrestny cieszyli się z jej dobrych wyników w nauce i snuli plany na przyszłość nie pytając ją bynajmniej o zdanie.

- Panowie się myślą - wtrąca się do rozmowy. - Nie jestem tylko czyimś pomysłem. A chociaż jestem porucznikiem i Francuzką, mam jeszcze własną osobowość. Wasze podejście do Elżbiety Cortes jest mechaniczne. A tymczasem ja miewam bolesne menstruacje i przez dwa dni w miesiącu trzymam się za podbrzusze, kiedy nikt na mnie nie patrzy. No tak! Tak to jest! Proszę nie robić takich min! Jestem kobietą i mam swoje słabostki, a jutro mogę naprawdę zakochać się we Fryderyku... Przepraszam, ale wolę to imię niż Melchior.

Belman potrząsa kilkakrotnie głową na znak aprobaty tak, jakby Elżbieta odkryła przed nim nowe horyzonty. Seyne, raczej zażenowany, przygląda brwi wpatrując się w czubki półbutów. Chociaż może to się wydać niedorzeczne, porucznik jest kobietą i podlega wszystkiemu, co wiąże się z tą płcią. Czy brali to pod uwagę w swoim wyrafinowanym programie szkoleniowym? Nie są tego już tak bardzo pewni...

- Stwierdziwszy to - ciągnie Elżbieta - gotowa jestem jechać z panem do Stanów. „Firma” przygotowała mnie do podróży.

- Oczywiście - mówi Belman łagodniejszym tonem - ale to nie będzie łatwa sprawa, panno Cortes. Istnieje bardzo duża różnica między podróżą skromnego turysty udającego się do

Kansas City a podróżą agenta, który przedostaje się do nas z zamiarem wykonania trudnego zadania. Nie żądamy, żeby pani stała się specjalistką w sprawach finansowych. To nie ma żadnego znaczenia. Podchodzimy do pani roli jak najbardziej realistycznie. Po wysłaniu na nasze terytorium będzie pani mogła liczyć tylko na siebie, na swoją siłę fizyczną, na umiejętność szybkiego zorganizowania się i na swoją pamięć.

- Nic nie potrafi mnie zatrzymać.

- Zobaczymy. A teraz zamówię szampana i wypijemy za zdrowie świętej Matyldy.

- Świętej Matyldy? - dziwi, się Seyne.

- Za pięć dni jest jej dzień, modłę się, żeby nie ochraniała Kadafiego.

„Więc o to chodzi - myśli Seyne. - Czternastego będą bombardowali Trypolis”.

19

20 kwietnia 1986, Trypolis

Sześć dni po bombardowaniu miasta przez Amerykanów.

Melchior rejestruje wydarzenia. Wszystko odbywa się tak, jak to było przewidziane.

Przy lądowaniu odczuwał trwogę, po czym ogarnął go wielki spokój. Widok tych ulic pełnych uzbrojonych ludzi jest mimo wszystko uspokajający. Jest ich co najmniej dziesięć tysięcy: przez wizjery karabinów przeszukują miasto. Jeszcze więcej jest tu chyba fanatyków, gestykulujących w pobliżu meczetów. Wypatrują ze wszystkich stron samolotów amerykańskich, izraelskich, imperialistycznych, które z pewnością wrócą, żeby bombardować miasto.

Szatan ich prowadził - mówi głuchym głosem Mohammed.

Mohammed, który nigdy się nie odzywa, wymówił trzy słowa. Melchior jest zaskoczony.

Odwraca się do Araba siedzącego jak zwykle obok niego, na tylnym siedzeniu mercedesa.

Mohammed rzuca mu spojrzenie tak złe, jakby Melchior był szatanem.

Mercedes wjeżdża w ulicę, na której kłębi się wrogi tłum wywrzas-kujący swoją nienawiść do Zachodu. Samochód otacza burzliwe morze koloru khaki, białego i czarnego. Obląkane oczy wwiercają

się w mężczyznę w popielatym garniturze, grzecznie siedzącego obok olbrzyma w libijskim umundurowaniu.

- To Amerykanin! - rozlega się jakiś głos.

- Na śmierć! - ryczy drugi.

Pięści spadają na okna. Pazury wyrywają zewnętrzne lusterka. Dzieciaki wdrapują się na dach. Jakaś kobieta przysiadła na masce i wydziera się. Melchior usiłuje zachować zwykły spokój. W zablokowanym wozie nie ma innej możliwości, jak tylko obserwować z zimną krwią to szaleństwo. Jeżeli Mohammed nie podejmie jakiejś inicjatywy - jest zgubiony.

- Przyspiesz! - warknął Mohammed do szofera.

Melchior widzi w lusterku groźne oko szofera. Ten chętnie rzuciłby go na pożarcie swoim braciom. Silnik wyje. Kobieta na masce spada z wycieraczkami w rękę na pamiątkę, jej suknia się zadziera i ukazuje czarny trójkąt podbrzusza. Czyjeś ręce ją podnoszą, odciągają na bok i wracają do ataku. Auto rzuca się do przodu i wyzwala od tych ludzkich winogron uczeponych karoserii. Rozszalały tłum rozstępuje się przed nim na chodniki. Zamieszanie uliczne rośnie. Tysiące ust przeklinają cudzoziemca, tysiące pięści podnoszą się w górę, tysiące mściwych spojrzeń podążają za mercedesem, teraz będącym już poza zasięgiem tłumu.

Po dziesięciu minutach zatrzymują się na dziedzińcu starego domu otoczonego wysokimi murami i strzeżonego przez doborowy korpus. Młoda dziewczyna, którą już spotkał w Zwili, rewiduje Melchiora. Pełna pogardy i wściekłości wygląda jak złowrózby stwór: jest wystarczająco złośliwa, żeby się kwalifikować na jedną z kochanek Kadafiego.

- Tamtędy - odzywa się wskazując na drzwi.



Melchior jest zdziwiony. Nikt mu nie towarzyszy. Wchodzi do gmaszyska, które wygląda na opuszczone od lat przez swoich mieszkańców. Krzesła z połamanymi nogami zwalone na różnych szczątkach, wśród których rozpoznaje zakurzony szkielet wiolonczeli. Mija puste pokoje. Kuchnia spustoszona i czarna od brudu, a w niej samotny miecz, wyjęty z pochwy, świeci swym ostrzem. Obok leży Koran oprawny w zieloną skórę. Melchior podnosi miecz, przypomina sobie rewizję i wychodząc z kuchni wbija go w drewniane odrzwia. Niezwykły korytarz prowadzi go na schody, gdzie siedzi dwóch brudnych chłopaczków, zasmarkanych i źle ubranych; muchy i uwijają się wokół ich oczu. „Anioły strzegące grobowca” - myśli i Melchior i głaszcze rozwichrzoną czuprynę młodszego chłopca.

Wchodzi po schodach. Jest to dziwna chwila, wprost nierealna. I Obraz Kadafiego prześladowuje go aż do ostatniej chwili. Odciąga jedną ręką brunatną zasłonę wiszącą na zardzewiałym karniszu.

Godny pożałowania Kadafi, brutalnie odarty ze złudzeń, stanął wobec nieczułej rzeczywistości. Czy to możliwe, że nie zdawał sobie sprawy z tego, jak krucha jest Libia? Żyje nadal nierealnym marze-mcm osiągnięcia najwyższej władzy „wielkiego przywódcy wiernych” albo „wielkiego wodza państw arabskich”, albo „wielkiego proroka i rewolucji islamskiej”, albo też wszystkich razem. Tyle wielkości, i która nie ma nic wspólnego z logiką. Snuje marzenia, a tymczasem i jest niczym. Niczym, od czasu nalotu 14 kwietnia 1986 roku. Melchior bierze koślawe krzesło i siada na nim okrakiem, opiera-1 jąc łokieć na poręcz; tym sposobem góruje nad władcą, który na i w pół leży na swym dywaniku modlitewnym. Kadafi przygląda się mu błyszczącymi, czarnymi oczyma, a czoło marszczy mu niepokój. Ma rysy ściągnięte, ale mimo wszystko prze-1 bija w nich ukryte okrucieństwo.

- Oto jesteś, zwiastunie nieszczęścia - zaczyna groźnym głosem!

- Oto jestem.

- Przychodzisz pożreć szczątki.

Melchior zwleka. Czeka pięć, dziesięć, dwadzieścia sekund, zanini odpowie. Oto i on, ten nieśmiertelny Libijczyk, który sądził, że zapewnia sobie egzystencję bez niepowodzeń, bólu i rozkładu orl ganicznego, dobrze chronioną przez legiony śmierci i modlitwy.

- Mnie potrzebne są tylko twoje pieniądze - odpowiada wreszcii Melchior. - Twoje ciało pozostawiam Amerykanom.

- Oni się ośmielili!

- Ty ich sprowokowałeś!

- Zemszczę się!

Trzeba było zacząć od Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch, tal jak było postanowione w naszych umowach.

- Pograżę ziemię w ogniu i krwi!

Jego wiara jest prosta, tak jak każda wiara. Pomści się. Pograż? ziemię w ogniu i krwi. To może się stać, już kiedyś inni to robili

uda się i jemu, tak jak tamtym. Bóg jest z nim, trzeba tylko trwać przy tej myśli.

- Jestem tu, aby ci pomóc - mówi Melchior wstając z krzesła i przysiadając obok niego.

- Ty zawsze chcesz mi pomagać, ale w imię jakiej przyszłości?

- Musisz zmienić strategię.

- Odpowiedz mi, w imię jakiej przyszłości?

- Przyszłość należy do tych, którzy walczą.

Kadafi zadrżał, od wspomnień przechodzi do wizji przyszłości, od wściekłości, wywołanej poniżeniem, do racji wysuniętej przez Melchiora. Od myśli do cudów droga niedaleka i znów ogarnia go pragnienie ich dokonania. Nadstawia ucha tak, jakby chciał usłyszeć bzykanie much, odgłos wiatru, daleki szum miasta. Znow marzy o detonacjach, wybuchach, eksplozjach.

- Masz rację - rzuca wreszcie. - To nie ja rozkazuję Czasowi, to Czas mnie rozkazuje. Chciałem przeskoczyć kolejne etapy. Bóg mnie ukarał. Mam poczucie upadku, załamania. Dlaczego Sowieci mnie nie uprzedzili?

- To są dobrzy przyjaciele - ironizuje Melchior.

- Nie są wariaci więcej niż Amerykanie - warczy Kadafi - ale potrzebuję ich broni.

Czuje wstręt do Sowietów, tych ateuszy. Często wyrażał swoją odrazę na różne sposoby, świadomie bądź nieświadomie. Zdarza mu się odezwać do bliskich sobie: „Sowieci. To plaga, na którą nic nie możemy poradzić”, albo: „Jak mogę zachować spokój umysłu wiedząc, że każdego dnia pertraktuję z wrogami religii? Bóg mi tego nigdy nie przebaczy”.

Bóg mu nigdy nie przebaczy, że częściej zwracał się do Moskwy niż do Mekki.

- Będziesz miał każdą broń, jaką zechcesz - mówi Melchior.

- A ty będziesz miał trupy.

- Ja niczego nie chcę. Nasze interesy wymagają po prostu destabilizacji Francji i Afryki.

Francja, tak... Zorganizujemy akcję z Syryjczykami. Jak już ci powiedziałem, Ormianie i Libańczycy będą stanowili siłę pomocniczą. Nabór będzie zapewniony przez liczne grupy.

Mamy z czego wybierać, aż nadto: ekstremiści lewicowi, uchodźcy polityczni, studenci, turyści, ludzie pracujący „na czarno”, ambasady, wojsko naje-

mne, sympatycy... Nie brakuje broni ani materiałów wybuchowych, już od przeszło dziesięciu lat rozprowadzamy je po całej Europie.

Kadafi wie, o czym mówi. Ma zaufanie do systemu. Ludzie tych podwładnych, którzy

wypełniają rozkazy cichych współników syryjskich i irańskich, prześlizgną się jak węgorzyki między palcami policji francuskiej (jakby byli posmarowani oliwą). Eksperci w garniturach rozjadą się w tysiące różnych kierunków, na Cypr i Maltę, do Bejrutu i Suru. do Wiednia, na Kubę i do Wschodniego Berlina... i zagubią się w sprzecznych doniesieniach wywiadów.

Mało prawdopodobne, że wykryją prawdę oficjalną drogą. Pozostaje służba wywiadowcza.

Agenci DGSE, MI, CIA i Mossada dotowani z własnych źródeł. Niebezpieczeństwo. Czy KGB będzie w dalszym ciągu rozgrywać akcje skierowane przeciw Libii? Czy Kadafi nie ryzykuje, że zostanie zastrzelony w swym łóżku jak pies, jak Carlos?\*

Drży na myśl o zabójcy, którego uzbroją, aby go zabił. Krewny, przyjaciel, wierny?

Przesuwają się w jego wyobraźni dziesiątki twarzy. Jak mało się zna swoich ludzi, mimo że zna się dobrze ich codzienne przyzwyczajenia.

Czy ty mógłbyś mnie zabić? - pyta nagle Melchiora.

Melchior patrzy na niego ostrożnie.

- Zabić ciebie dzisiaj - na nic by się nie zdało. Mógłbym to zrobić, gdybym miał pewność, że zostaniesz męczennikiem. Nie takim zwykłym męczennikiem, ale legendą, nadającą siłę i niepomiarłą wielkość wszystkim muzułmanom świata. A w twoim przypadku tak nie jest:

twoja natychmiastowa śmierć wywołałaby płacz jednej czwartej Libijczyków. Twój charyzmat wymaga jeszcze usług naszych banków.

- Idź więc i módl się, żeby nasz związek trwał długo.

20

Waszyngton, początek grudnia 1986

Co się stało? Kto ich zdradził? Czy to koszmar? „RecoYery” na scenie publicznej,

„Recovery” ujawniona przez lichy dwutygodnik

\* Carlos został zastrzelony w styczniu 1986 r. (Przyp. aut.)

libański, międzynarodowa prasa rozpętuje burzę, Stany Zjednoczone zniesławione z racji pieniędzy irańskich i konszachców z contras.

Reagan jest w jak najgorszym nastroju. Jego popularność spadła: utracił dwadzieścia jeden punktów według ostatniej sondaży opinii publicznej. Od dziewięciu dni kręci się po Białym Domu, oblegany przez akredytowanych dziennikarzy. Jego lekarz nie oddała się zbyt długo od niego, gotów do działania przy najmniejszej dolegliwości. Reagan nie może spać, prawie nic

nie je, unika znalezienia się sam na sam z Nancy, która powtarza mu bez przerwy: „Pozbądź się Donalda”... Poświęcić Donalda Regana? Wyłączyć jednego z ostatnich wiernych walczących o zażegnanie afery? Prezydent sam nie wie, co ma robić. Dostali już Northa i Poindextera. Ci dwaj, odpowiedzialni bezpośrednio za plan „Recovery”, zostali zdymisjonowani... A jeśli rozstanie się z Donaldem, czego jeszcze będą się domagali? Jego upadek pociągnie za sobą upadek partii republikańskiej. Ma przeczucie, że następny prezydent Stanów Zjednoczonych będzie demokratą. Wiceprezydent demokratą George Bush i wszyscy kandydaci demokratyczni biorący udział w kampanii: Gary Hart, Mario Cuomo, Charles Robb, Bruce Babbitt, Bill Bradley, Joseph Biden, Richard Gephardt i inni dają mu to w pełni odczuć w swoich wystąpieniach. Zwłaszcza kiedy mówią, że chcą ocalić prezydenturę.

Przyjmuje George'a Schultza. Sekretarz stanu zarzuca mu prowadzenie polityki otwarcia wobec Iranu. Uderza pięścią w stół, czyta mu artykuł Boba Woodwarda, dziennikarza z „Washington Post”, który załatwił Nixona. A prezydent coś bąka, płacze się w usprawiedliwieniach, potem wyraża nadzieję wzmocnienia swego stanowiska, kiedy Frank Carlucci stanie na czele Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

„Manipulowano mną” - rozmyśla, oznajmiając głośno w telewizji, że afera zostanie całkowicie wyjaśniona, i żąda utworzenia specjalnej komisji. Komisja została powołana. Jej przewodniczącym jest John Tower, specjalista od zagadnień wojskowych, u jego boku znajdują się Edmund Muskie, były doradca Cartera, i Ben Scowcroft, były doradca Forda. Tworzą się jednak i inne komisje tak, jakby wszyscy członkowie Kongresu chcieli prowadzić śledztwo.

Prezydent się boi. Wykryją trzydzieści spółek utworzonych przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego, zajmującą się w ciągu dwu ostatnich lat tajnymi misjami za granicą, a zwłaszcza przekazywaniem funduszy na nie zawsze czyste cele. Bankierzy międzynarodowi, wciągnięci w aferę „Recovery”, zaczną mówić.

Tylko Casey może ich wydobyć z tej matni. CIA ma możliwość obrócenia wniwecz dochodzeń Komisji. Reagan wzywa szefa CIA.

Sonora, Teksas, 12 grudnia 1986

Tutaj mają w nosie „Recovery”. Waszyngton i spiski Białego Domu należą do innego świata. Elżbieta czuje na sobie piorunujące spojrzenie Renny'ego, właściciela lokalu, który nie potrafi ukryć złości. Zbiera skorupy szklanki. To już drugi raz w tym tygodniu Elżbieta potknęła się niosąc naczynia. Oczywiście staje się natychmiast obiektem zainteresowania konsumentów, pijackich żartów, dziewczyną, na której można wyładować swoje urazy. Klienci pękają ze śmiechu, uderzają się po udach i winszują Renny'emu.

- Ruszaj się! - rzuca Renny, zmęczony tym nagłym rozgwarem. Stoi za bufetem. Jego wielki kałdun, wzdęty od hamburgerów i majonezów, przygniata blachę, którą jest obity bufet. Małe, czerwone oczka śledzą ruchy Elżbiety.

- Już skończyłam - szepcze Elżbieta.

- No, niezbyt szybko. Nie bój się, potrącę całe to gówno z twoich zarobków.

Renny wraca na swoje stanowisko za bufetem, stoi ze skrzyżowanymi na brzuchu rękami niczym wieża kontroli ruchu, jego uszy przypominają liście kapuściane, a od jednego do drugiego ucha sięgają kosmyki włosów kryjące łysinę. Powtarza wciąż tak, aby go nie słyszano, te same słowa o tych sukinsynach Meksykanach, sukinsynach Żydach, sukinsynach Czarnych, słowa świadczące o łajdactwach jednych i drugich, opluwa miłość i uczucia. Elżbieta znów zapelnia tacę. Kufle z piwem i kieliszki z dżinem postukują o siebie, kiedy przechodzi niepewnym krokiem pomiędzy stołami obleżonymi przez krzykaczy, popijających i jedzących żarłocznie, słuchając jednym uchem Madonny, ZZ Top, muzyki country, albo co

popadnie. Nieważne co, aby tylko budziło echo i przypominało wszystkie kawałki słyszane po tysiąc razy w telewizji. To syn właściciela, Marty, zajmuje się aparaturą dźwiękową i niczym więcej, aby się zbytnio nie przemęczyć. Zadekowany w swojej budce wypełnionej płytami i kasetami rzuca od czasu do czasu ponure spojrzenie na wesołe towarzystwo, drżąc na myśl, że jego ojciec mógłby pewnego dnia zażądać, żeby obsługiwał w tym cyrku. Tawerna Re-nny'ego: „Renny's Quality Inn”, jak głoszą pompatycznie neony okalające sztyld ze wszystkich stron, to raj włóczęgów z całej okolicy. Teksmeksi\*, kierowcy ciężarówek, kowboje, chuligani, ladacznice i miejscowi, szukający guza, spotykają się tam w zapachu smażonej jajecznicy i serdelków z rusztu. Tam właśnie, między dziesiątą wieczorem a czwartą rano, wydają parę dolarów. Nie za dużo. Większość z nich nie ma swoich kont bankowych, a jeśli ktoś je ma, to nie w amerykańskim Bankshare, gdzie przy zdeponowaniu 5000 dolarów kasjer wypłaca natychmiast 400 dolarów jako prezent powitalny.

- Hej tam, śpisz czy co? - wydziera się jakiś cherlawy chamuś o rudych krzaczastych brwiach.

- Już jestem, proszę pana.

- Piwo, grzanka, jajka, kawa i whisky z wodą sodową.

- Tak jest, proszę pana.

Ręka chamusia prześlizguje się pod stołem i przyciska do uda Elżbiety. Spoglądając lubieżnie, maca ją jak kawałek mięsa na ladzie u rzeźnika.

- Jesteś niezłe zaokrąglona - paple dalej. - Jesteś lepsza niż inne. Gdybyś chciała...

- Nie ma mowy! - protestuje Elżbieta i szybko się oddala.

Podchodząc do sprawy realnie, udało się. Belman chciał się trzymać początkowego scenariusza: kelnerka w jakiejś norze na peryferiach Sonory. „Musimy zatrzeć ślady - powiedział. - Juana Angela Chavez musi odpowiadać swej tożsamości, rzeczywistości, życiorysowi, jaki dla niej wymyśliliśmy. Muszą w nią uwierzyć. A pani uda się wywieść ich w pole swymi przekonującymi opowiadaniem o ciężkich przejściach u tych łobuzów należących do WASP.”\*\* Belman ma rację. Mogłaby napisać o tym całą powieść. Ciężko haruje w tej

\* Teksmeks - skrót: Meksykanin z Teksasu, obywatel amerykański pochodzenia meksykańskiego. (Przyp. aut.) \*\* WASP - White Anglo-Saxon Protestants - kluby amerykańskie, których członkami mogą być tylko biali, wyznania protestanckiego, pochodzenia anglosaskiego. (Przyp. tłum.)

budzie. Za kilka dni to się skończy. Nastąpi dalszy ciąg scenariusza, zostanie zatrzymana za posiadanie narkotyków, a będzie to...

Woli o tym nie myśleć. Obsługuje innych klientów i na próżno szuka jakiejś znośnej twarzy. Chodzi bez przerwy tam i z powrotem, kręci się nieustannie w dymie papierosów. Renny bez przerwy kontroluje salę; wydaje się traktować jak rozrywkę swoich klientów, n-których alkohol wpływa jak najbanalniej i wywołuje sprośny śmiech, prostackie żarty i tanie zaloty; kiedy wszystko odbywa się, jak należy i nie ma awantur, Renny poddaje się pokrzepiającemu zapachowi potu i tanich perfum, zmiennym błyskom świateł, kręgowi tańczących i nudnym monologom pijaczków. Ale tego wieczoru nie pójdzie tak gładko, ma takie przecucie. Ani przez chwilę nie zamierza się poddać. Nadzoruje swoich pracowników i wymaga od nich jak najwięcej. Z tyłu za nim znajdują się kuchnie, zajęte przez trzech dziarskich teksmeksów, którzy nie potrafią usmażyć należycie befsztyka, ale trzyma ich, bo może im płacić poniżej stawki ustalonej przez związki. Po jego lewicy znajduje się Maureen, oficjalna przyjaciółka, która dzieli z nim jedną trzecią jego życia, jest przyklejona do kasy z automatyczną szufladą i pokazuje piersi godne umieszczenia na okładce pisma „Big Busty”. Na lewo i na prawo Zag, kelner niemiecki, rodem z Bawarii, i Donald, drugi kelner, niewiadomego pochodzenia, powtarzają po dziesięć tysięcy razy te same gesty z szybkością aktorów w niemych filmach z początków naszego wieku. Pośrodku Juana, która mu podpadła, gruba Gloria, miła Betty, porywcza Bette i świętoszkowata Joy robią, co mogą. Na uboczu przeznaczonym na muzykę,

Marty, syn właściciela, woli usadowić się wśród płyt i połykać bez przerwy ciastka, lody i wodę sodową. Renny nieco się odpręża, wszystko zdaje się przebiegać normalnie, przeczcucie go myliło.

W tej chwili, jak zwykle w piątkowe wieczory, po wypłacie, jaką otrzymali robotnicy, sprzedawcy, pracownicy zatrudnieni na farmach, tawerna Renny'ego jest przepelniona.

Wezwania gospodarza do porządku zagłusza harmider i rockowe melodie. Jest już co najmniej trzysta osób, a przez wahadłowe drzwi napływają wciąż nowi.

- Juana, jeśli się nie pospieszysz, to oberwiesz za swoje - rzuca Renny do przechodzącej obok Elżbiety.

- Robię co mogę, panie Renny.

- Zamknij się albo odeślę cię na granicę, do takiej samej hołoty jak ty.

Elżbieta pochyla głowę, przełykając tę groźbę: „Graj dobrze tę komedię - mówi do siebie, opanowując gniew. - Oficjalnie jesteś tylko »mierda«. Musisz się bać odesłania tam, do tej nędzy". Lekcje Belmana zaowocowały. „Robotnicy »na czarno« zarabiają trzy, pięć, dziesięć razy więcej niż w Meksyku - wyjaśnił jej. - Dręczy ich myśl o wydaleniu. Musi pani ukorzyć się za każdym razem, kiedy ta kupa gnoju, Renny, będzie obrzucać panią epitetami".

„Daję za wygraną, daję za wygraną" - powtarza sobie, myśląc

O wszystkich metodach walki, jakich mogłaby użyć wobec Renny'ego.

Ten grubas Renny przyjął ją do pracy na pośrednie zlecenie mera Sonory, z którym skontaktował się William Hobby, gubernator Teksasu. Ale gruby Renny daleki jest od tych machinacji. Zawsze są mu potrzebne kelnerki i sądzi, że jeżeli mer chciał, żeby Meksykanka pracowała w jego mieście, to mu zależy na jej tyłku.

Elżbieta jest spocona. Jej sportowa koszula jest mokra pod pachami. Zapach jej potu miesza się z zapachem przypalonego tłuszczu

i tytoniu. Ma wrażenie, że nasiąkła stęchlizną tłumy, że jest skażona...

- Juana! Bette! - wykrzykuje Maureen, potrząsając szopą włosów. - Potrzebna jest woda sodowa.

Obie dziewczyny trzepoczą rzęsami, patrzą na siebie i odpychają wysuszone słońcem, zaczerwienione gęby pijanych chłopaków z fermy. Trzeba tam iść. Skrzynie z wodą sodową są w magazynie. Aby do nich się dostać, muszą przejść koło toalety. Idą tam ze strachem i niesmakiem. Wchodzą na korytarz. Na ścianach łuszczy się żółta farba, zbutwiałe drewno okładzin, stoczone przez termyty, powoli zamienia się w próchno, kilka obrazków, pośpiesznie narysowanych długopisem, wychwała zalety największego penisa w okolicy, kanciaste słowa wzywają do buntu, a obok wypisane są numery telefonów; rysunki sporządzono pod wpływem silnych środków oszałamiających. Dziewczyny są niewrażliwe na wytwory wyobraźni maniaków. Elżbieta wstrzymuje oddech dochodząc do ustępów, z których rozchodzi się odór gówna, uryny, środków czyszczących i marihuany.

To moment budzący największe obawy. Często zdarza się, że jakiś rozpustnik czatuje tam na nie i głaszcze swój penis, kiedy przechodzą. W danej chwili to Pat McLinsay, konduktor autobusów na linii Sonora-Ozona-Sheffield. Ścisła swój członek. Jego drżąca ręka błyszczy tak, jakby już pomazana była spermą.

- Idź i pokaż swego kutasa Maureen - rzuca mu agresywnie Bette.

Nos jej marszczy się z odrazą, kiedy go karci; a potem pełna oburzenia zwraca się do swojej towarzyszki:

Mam już dość tych zwyrodnialców... A ty, czy ciebie nie wkurzają te sztuczki?

Elżbieta wzrusza ramionami.

- Muszę utrzymać się w tej pracy.

- Praca, praca za wszelką cenę, bez względu na warunki! Dla was, Meksykanów, tylko to się liczy.

- Tutaj mogę zaspokoić głód garstką dolarów. Tam zdycha się mając krocie pesos. A zresztą mężczyźni są wszędzie jednakowi.

Bette spogląda na nią smutno i kiwa głową.

- Masz rację.

Zdejmują kłódkę z drzwi, zapalają światło i wchodzi do magazynu. Jest to obszerna graciarnia, w której zgromadzone są beczki z piwem, skrzynki i kartony z napojami, dziurawe parasole, automaty do gier z ubiegłego stulecia, zepsute głośniki stereo pookręcane elektrycznymi przewodami, części samochodowe, szczątki przyrządów gospodarstwa domowego, stary ekspres do kawy i łóżko. Łóżko jak w bajce, z miedzianymi kolumnami, rzeźbionymi nogami, przykryte kapą z czarnego aksamitu z wyhaftowanymi herbowymi znakami jakiegoś operetkowego księcia.

Bette spluwa na ten koszmarny obiekt, na którym widać jeszcze wyraźny odcisk ogromnego cielska Renny'ego. Ten szmatławiec często przychodzi tutaj, żeby odpocząć albo spólkować. Na myśl o tym Bette przełyka łyżę wściekłości.

- To tutaj przyciągnął Głorię.

- Nie myśl już o tym - mówi Elżbieta.

- Przywiązał ją do kolumnienek łóżka, ten łajdak, i wiesz, co jej zrobił po przywołaniu Maureen i Donalda?

- Wiem. Na nic się nie zda wracać do złych wspomnień. O ile mi wiadomo, Gloria się nie uskarża.

- No to dlaczego opowiadała mi o tym z płaczem?

- Załamanie... Sama nie wiem. Lepiej pomóż mi zabrać skrzynkę, zanim Renny się zaniepokoi naszą nieobecnością.

- Dziwna z ciebie dziewczyna.

Elżbieta milknie. Hałas z sali dociera aż tutaj. Dochodzi falami dźwięków, które zdają się nie mieć końca. Chwilami te wrzaski przypominają okrzyki wydawane przez kibiców w transie podczas meczu piłki nożnej.

Skrzynka jest ciężka. Uchwyty wrzynają się w dłoń. Tak obciążone ruszają chwiejnym krokiem.

„Nie wystarczy pamiętać o wszystkim, żeby wykonać swoją rolę. Przede wszystkim trzeba się nią przejąć, trzeba ją wyczuwać, musi ona przeniknąć do duszy, zanim ogarnie umysł i ciało. Tworzymy nową rzeczywistość, jest pani Juana Angelą Chavez, Meksykanką, której jedynym celem jest przerwać długie lata życia w nędzy dzięki dolarom Wujy Sama. Niech się pani trudzi w milczeniu. Cierpi w milczeniu. Przełyka gorycz w milczeniu. Milczenie to cecha nielegalnych imigrantów, których borders patrols\* nie złapały na grani-cy”.

To są lekcje Belmana. Stanowią jedyne lekarstwo na jej porywczosć. Elżbieta daje mocnego kopniaka otwierając skrzydło drzwi dzielące korytarz od sali. Dostrzega Renny'ego, który oczyszcza sobie nozdrza końcem uchwyty małej łyżeczki. Rzuca im spojrzenie spode łba, kiedy stawiają skrzynkę pod kontuarem.

- Ale to wam zajęło czasu! Poszłyście sobie na świeże powietrze z butelkami sody?

Bette wpatruje się uporczywie w szeroką i płaską, zaczerwienioną twarz Renny'ego. Zaciska pięści. Elżbieta widzi to jasno, jak zatrzymany kadr w filmie wideo. Przytrzymuje Bette za ramię.

- Bette, proszę cię, daj spokój.

Chce ją uspokoić, żeby nie zadzierała z Rennym, ułagodzić jej gniew, który pcha Bette do rzucenia się na tego utuczonego wieprza rozpartego za kontuarem.

\* Patrole graniczne, których zadaniem jest zatrzymywanie imigrantów przechodzących nielegalnie na stronę amerykańską. (Przyp. aut.)

- Wynocha stąd! Do roboty! - sarka Renny.

Ktoś dotyka ramienia Elżbiety. To Maureen ze smutnym uśmiechem:

- Nie wprawiajcie go w złość. To mnie on tłucze, kiedy mu się sprzeciwiać.

- Zabraniam ci mówić takie głupoty - syczy Renny. - A wy, nieroby, daję wam trzy sekundy na powrót do waszych koleżanek i przyjmowanie zamówień od klientów.

Dziewczyny odchodzą do stolików. Na parkiecie tanecznym kilkadziesiąt par, przytulonych do siebie, z rękami na pośladkach i ustami na ustach obraca się wolno w rytmie slowfoxa. Jest to noc jak inne, koniec jesieni w Teksasie, kiedy na zewnątrz niebo nabiera zimowej przezroczystości i świecą miliony gwiazd, ale parki, które wychodzą, żeby uprawiać miłość na tylnych siedzeniach samochodów, kpią sobie z owego nieba. Zwłaszcza ci, którzy już nadjeżdżają od strony Ozony.

Mimo hałasu panującego wokół, Renny słyszy warkot motorów kilkakrotnie naciskanych przed wyłączeniem. „Motocykle! zastanawia się, zgrzytając zębami. - I to nie policyjne”. Po paru sekundach wtargnęli z okrzykami do jego lokalu. Dwudziestu Białych rodzaju męskiego, osiem Białych rodzaju żeńskiego i jeden Czarny. Najgorszego rodzaju. Na wpół punkowie, na wpół aniołowie piekiel. Ostatni raz przejeżdżali tędy przed z górą ośmiu miesiącami.

- Dobry wieczór panowie i panie - wydiera się potężny brodacz w dżinsach, z żelazną swastyką przypiętą do kurtki z czarnej skóry i diabłem wytłoczonym na plecach.

Bardzo młoda dziewczyna, cała obwieszona medalionami i tandetną biżuterią, idzie tuż za nim. Brodacz chwytą ją i wpycha swój język w jej usta. Przez kilka sekund oboje imitują uprawianie miłości, później wzdychają nasyceni i szukają kącika, żeby kontynuować swe figielki.

Ich pojawienie się wystarcza, żeby zmienić Renny'ego w miękką bryłę topniejącego tłuszczu. Kilku z tych „aniołów” podchodzi do niego.

- Ależ to pan Renny we własnej tłustej skórze! - wykrzykuje jeden z nich o ogolonej czaszce.

Przechyla się nad bufetem i poklepuje przyjaźnie błyszczący poli-

czek Renny'ego. „Ogolona Czaszka” przedstawia sobą masę wytatuowanych mięśni. Tak przynajmniej wyobraża to sobie Renny patrząc na byczy kark tego olbrzyma: widzi na nim wytatuowane łby węzów, których cielska pokrywają jego pierś.

Wszyscy zaczynają mówić o Rennym, jak o starym, dobrym znajomym, który fundował im lody przy wyjściu ze szkoły. Renny drży i mruży z cicha. Ostatni raz, kiedy się tu zjawili, skończyło się powszechną rozróbą. Kierowca ciężarówki powaśnił się z „Ogoloną Czaszką” z powodu dziewczyny, zaś Anioł rozpoczął drakę łamiąc mu krzesło na głowie.

- A cóż to, stary - odzywa się któryś - nie witasz już swoich ulubieńców?

Widząc ciebie w tak doskonałym zdrowiu ciągnie jakaś ciemnowłosa - nie myślę, żebyś złapał aids od czasu naszego ostatniego wypadu. Jak myślisz, King?

- Zostaw go i chodź ze mną, jego jaja nie zrobią się tak prędko niebieskie, nawet kojot nie połakomiłby się na to - kończy osobnik nazywany Kingiem i uprowadza ciemnowłosą na parkiet taneczny.

„Do jasnej cholery. Będą kłopoty” mówi w duchu Renny, zanim zacznie działać bez większego przekonania:

- Juana, Gloria, Betty! Zajmijcie się nimi!

„Należałoby przywołać policję. Powinni przetrząsnąć to łajdactwo. Na pewno są obładowani narkotykami. Do diaska, a ten Czarnuch... Teraz i jakiś Czarnuch jest w tej bandzie. Trzeba by wydłubać mu oczy, obciąć język i ogonek, temu Zulusowi... No, no - filozofuje Renny. - Przyłączyli do siebie Czarnucha, żeby prowokować uczciwych obywateli. No, no”.

Wielu z jego klientów nie lubi ocierać się o Murzynów. Odsunięci na drugi kraniec miasta Murzyni mają swe własne miejsca rozrywki i nigdy nie zjawiają się aż tutaj.

„No, no, oni szukają rozróby”.

Połowa bandy jest na parkiecie tanecznym. Czarnuch siłą pociągnął Juanę do tańca.

Aniołowie zdobywają miejsca dla siebie, odpychając stałych bywalców na brzegi kręgu, ale

nie wydaje się, aby ktokolwiek chciał się buntować przeciw tym intruzom, którzy wydzierając się przekrzykują nawet nagłośnienie sali.

„Ogolona Czaszka” zbliża się niedbale do kasy. Jego wzrok zagłębia się natychmiast w głęboki dekolt Maureen. Prześlizguje się po mlecznych półkulach pod napiętym czerwonym biustonoszem, z którego wylewa się z obu stron ciało wznosząc się i opadając przy oddychaniu.

- Piękności, palą mi się oczy - szepce do Maureen.

- Świnia - odpowiada ona, ale nie okazuje żadnego gniewu.

- W parę sekund wszystko się zmienia, chciałoby się powrócić do niemowlęstwa i ssać je do utraty tchu.

- Ale masz zachcianki - chichocze Maureen.

- No tak, laleczko, czasami to mi się śni i nabieram chęci. Była dziewczyna podobna do ciebie w książce z fotosami... ale nie pamiętam, w której.

- Ja też czytuję książki - podejmuje Maureen, żeby dodać sobie znaczenia. - Właśnie kończę *Le Sabie brillant d'Hawaii*\* Barbary Cartland, czy znasz to?

Ale „Ogolona Czaszka” zdaje się już jej nie słuchać. Ze wzrokiem zatopionym w tym nadmiarze ciała myśli na głos:

- Nic tak nie pobudza zainteresowania kobietami, jak para ładnych cyców.

Potem odwraca się do jednego ze swych towarzyszy, który ustawił swój taboret w pobliżu, żeby się z nim podzielić tą myślą, ale rezygnuje. Tuck to szkieletowy blondynek, który woli nadstawiać swój anus supersamcom. Lubi też proszki i prochy wszelkiego rodzaju.

Po twarzy przebiegają mu nerwowe tiki, wargi i obwódki oczu ma rozedrgane. Tuck przeszukuje swą kurtkę pozbawioną napisów i wyciąga z niej małą, plastikową torebkę, paczkę papierosów i metalowy pręt.

„Prochy” - jęczy do siebie Renny, widząc żółtawą zawartość plastikowej torebki.

- Chcę wybrać się w małą podróż - mruczy Tuck zaczynając przygotowania. - Nie chcesz wybrać się ze mną? Hej, ty! Grubasie! Do ciebie mówię! - woła do Renny'ego.

- A dokąd? - skrzeczy Renny.

- Złożyć wizytę Panu Bogu.

\* Gorący piasek Hawajów. (Przyp. tłum.)

- Nie rozumiem. O co chodzi?

- Zamknij się!

Renny milknie i przeżuwa swą rozpacz. Ten przeklęty pedał chce zażyć narkotyk w jego szanowanym zakładzie.

Tuck pali. Słyszy już sapanie lokomotyw i daleki pomruk pociągów przetaczanych na zwrotnicach zagubionej stacji Arrakis, planecie atreidów. Być może wyobraża sobie, że jest Diuną albo Królową Śnieżką przestrzeni. Nieważne. Liczy się tylko poczucie pełni istnienia. Renny czuje, że to się źle skończy. Szuka pomocy. Na nikim nie może się wesprzeć. Maureen wystawia się na pokaz. Marty zabarykadowany jest w swoim schowku. Barmani zajęci są swoją robotą. Dziewczeta nie mogą podołać nawałowi zamówień. Do tego ta szmata Juana tańczy z tym Czarnym. W dodatku slowfoxa! Renny jest beznadziejnie sam, twarzą w twarz z tym narkomanem, który zaczyna rozrabiać. Wystarczyłoby podnieść mikrotelefon i przywołać policję, ale nie może tego zrobić, opanowuje go strach.

- Mamy wspólnego przyjaciela - powiedział Czarny do Elżbiety, kiedy siłą pociągnął ją na krąg taneczny.

- Nie sądzę odparła. I nagle zmiękła, kiedy jej szepnął do ucha to nazwisko: Belman.

Teraz tańczą przytuleni do siebie. Od czasu do czasu spojrzenie Elżbiety przechwytuje piorunujący wzrok Renny'ego, który zdaje się mówić: „Radzę ci, zostaw tego Murzyna”. Czarny uśmiecha się, jakby odgadując myśli grubasa.

- Renny będzie miał ubaw - mówi.



- Dlaczego? - pyta zaintrygowana Elżbieta.

- Widzi pani tego blondyna wspartego na bufecie?

- Tak.

- Przed wejściem dałem mu specjalną dozę „proszku” przygotowaną przez nasze laboratoria. Niedługo się wyłączy. Muszę panią zostawić. Będę czekał u pani w mieszkaniu, jak pani skończy robotę.

Oddała się. Elżbieta odprowadza go wzrokiem. Wygląda bardzo wiarygodnie w stroju ze skóry i płótna, z pasem nabijanym gwoździemi, w butach sznurowanych rzemykami, jego długie fryzowane

włosy są splecione w warkocz. Wychodzi tuż przed rozpętnaniem się rozróby.

Elżbieta odwraca się w stronę bufetu, ale nie podchodzi do niego. Dostrzega błądność

Renny'ego. Tłścioch nie zwraca uwagi na nic poza blondasem, który dostał gwałtownego ataku. Widzi, jak pomiędzy okrytymi pianą, podwiniętymi wargami błyszczą mu zęby, są jeszcze bardziej zielone niż jego twarz. Tuck drży całym ciałem, jego palce stukają o bufet.

„Ogolona Czaszka”, który nigdy nie widział go w takim stanie, woli się oddalić i korzysta z tego, żeby obejść dokoła kasę i usadowić się przy Maureen.

- Tak nie można, chłopcze - bełkoce Renny, który już nie wie, co ma mówić czy robić.

- Mam cię gdzieś!

Przerażony okropnym grymasem twarzy Tucka, Renny się cofa. Jest nie w pełni świadomy tego, że Tuck wspina się na bufet i pochyla nad nim. Paznokcie blondasa wpijają się w jego tłuste ciało.

- Puść mnie! - skowyczy Renny.

Tuck zdaje się go słuchać. Jego usta poruszają się z trudem, a głos jest ledwo dosłyszalny. Ale już narasta prawdziwy kryzys i wybucha nagle. Ogarnięty szałem skacze i przewraca regały, rycząc jak opętany. Pod jego ciosami roztrzaskują się butelki. Kieliszki i łyżeczki wyskakują w powietrze.

W całym tym zamieszaniu Maureen, za radą „Ogolonej Czaszki”, opuszcza kasę. Słucha tego, co do niej mówi, on zaś opróżnia szufladę z dolarów i prowadzi ją w kierunku toalet.

- Chodź, malutka, pomarzymy sobie we dwoje. Nie zajmuj się Rennym ani moim kołosem. Nie minie dziesięć minut, a wszystko się zakończy i wypiją razem kielicha za przyjaźń.

Zanim Maureen zniknęła w korytarzu, dojrzała jeszcze, że Tuck chwycił Zaga za kołnierz i rozbija mu głowę o stalowy zlew.

Zebrani wokół klienci zamarli w pełnym niepokoju oczekiwaniu, wymieniając między sobą pytające spojrzenia. Naraz dały się słyszeć syreny wozów policyjnych.

- Gliny! Gliny!

- Zwiewamy - ryczy brodaty szef bandy Aniołów.

I wszyscy w sali idą automatycznie za jego przykładem. Zrywają

się od stolików, popychają, padają i podnoszą, opróżniają lokal, zagarniając ze sobą policjantów, którzy usiłują wejść.

Na widok mundurów Renny otrząsa się z osłupienia. Porusza wargami i mamrocze coś ku chwale sił policyjnych. Tuck prowadzi dalej swoją sarabandę. Uwieszony ekspresu do kawy toczy pianę z ust, pluje, rzyga, potem idzie zataczając się do kasy, wyciąga szufladę i nagle natrafia na własne odbicie w lustrze zawieszonym na ścianie na wprost kręgu tanecznego.

Doznaje ostrego szoku. Lustro pęka i zwała się z ogłuszającym hałasem. Tuck siania się na nogach. Trzy kolejne uderzenia pałką wykańczają go. Wtedy Renny-Odważ-ny przybywa z pomocą.

- Pozwólcie mi rozwalić mu gębę! - wrzeszczy odsuwając gliny. Ale już nie zdążył. Jakiś mężczyzna wymierza mu ostry policzek,

zanim wykona swą groźbę. Renny jest ogłuszony. Wprost roztopia się, znów staje się miękką szmatą, jaką był przed przybyciem Aniołów.

Inspektorze Morton - mówi mężczyzna, pokazując znak identyfikacyjny - proszę mi opowiedzieć, co zaszło.

- Maureen, gdzie jest Maureen? - piszczy Renny, który nie jest w pełni przytomny.

Zamknięta w srazach Maureen nie opiera się, nie dziwi, o nic nie pyta, przeżywa oczarowanie nową idyllą splótłszy nogi na biodrach „Ogolonej Czaszki”.

- Otwierać! - nakazuje czyjś głos. - Szefie, w środku ktoś jest.

„Ogolona Czaszka” odpycha Maureen, szybko poprawia garderobę i gwałtownie otwiera drzwi. Uderza z rozmachem w luk brwiowy gliny i rzuca się ku wyjściu. Zaskoczony patrol nie reaguje. „Ogolona Czaszka” ulatnia się w ciemnościach nocy.

21

Nowy Jork, ranek 12 grudnia 1986

Casey zdecydowany jest wyeliminować jak największą liczbę pośredników, biorących udział w operacji „Recovery”. To ostatnia szansa Białego Domu. Uratować prezydenta i jego doradcę, ratując

jednocześnie siebie. Aby Reagan i Regan mogli oświadczyć przed komisją, że są niewinni, zbędni są świadkowie..., a zwłaszcza świadkowie z zagranicy. Szef CIA sporządził listę.

Nazwisko, obok którego wypisane jest drugie fałszywe nazwisko (chyba że jest akurat odwrotnie), znajduje się na trzeciej pozycji: Fryderyk Detmer i Melchior Saschauer.

Melchior podnosi rękę do szyi i rozluźnia jedwabny szalik, jakby było za gorąco. Teraz jest zaniepokojony. Jego „kontakt” nie przyszedł na spotkanie. Co robić? Czy jeszcze czekać pod posągami świętego Patryka, jak było ustalone, czy też wyjść z katedry i pójść do hotelu?

Wybiera to pierwsze i pochyla głowę niczym wierny w bezpośrednim kontakcie z Bogiem, ale przeciwstawiający się moralności chrześcijańskiej. To nie ma znaczenia, czy trzyma oczy otwarte, czy zamknięte, pozostawia światło boże innym. Jeśli Bóg istnieje, przeciwstawia się Jemu całą mocą swej duszy, która stała się nieugięta.

„Wyschnięte szczątki, słuchajcie słowa Przedwiecznego!”\* - myśli z ironią. Ta myśl przywodzi inną, a raczej wspomnienie: jak Reagan i jego doradcy udawali się na mszę bożonarodzeniową w zeszłym roku.

Trwa tak przez chwilę, zanim całkowicie oprzytomnieje; później, kiedy cały ogrom tej katedry ukaże się jego oczom w jej rzeczywistych wymiarach: jako przejaw ludzkiej pychy - powraca do swych myśli.

Casey czyha na jego skórę, Belmanowi udało się ostrzec go w porę. Musi opuścić Nowy Jork. Melchior rzuca dyskretne spojrzenie na środkową nawę. Kilka starszych kobiet na klęczkach jedna się z Bogiem, inne stoją z tyłu za marmurowymi kolumnami. Postawa jednych i drugich zależy od stopnia ich wiary albo strachu, bezbożne trzymają się w głębi, w ekstazie przed świętym Antonim z Padwy i świętym Augustynem. Melchior ma już dość tego zatrzymania w czasie, potrzeba mu akcji. Nie może dłużej trwać wśród tych szepczących widm. Podnosi głowę w stronę innego szmeru, szelestu deszczu uderzającego w ogromną rozetę, robi znak krzyża i przechodzi przez chór. W tym momencie ukazuje się po lewej stronie jakiś mężczyzna, który wynurza się zza chóru. Poznaje go natychmiast po

\* Z Księgi Ezechiela. (Przyp. aut.)

regularnym owalu twarzy, różowej cerze, pełnych zaczerwienionych policzkach i błękitnych, szczyrych oczach: Belman.

Melchior zbliża się do niego. Ten drugi nieruchomieje w cieniu kaplicy świętej Elżbiety. Kiedy znajdują się twarzą w twarz, Belman kładzie palec na ustach, podaje mu jakąś zmiętą kartkę i odchodzi wolnym krokiem do wyjścia na Pięćdziesiątą Ulicę. Melchior chowa kartkę do kieszeni płaszcza, czeka dziesięć sekund i kieruje się do tego samego wyjścia. Czuje, że jest obserwowany. Przez chwilę ma ochotę odwrócić się gwałtownie, ale rozważa jest silniejsza niż ciekawość. Przekracza próg katedry. Ogarnia go zimno. Uderza weń lodowaty

deszcz. Ulewa zaciera twarde zarysy miasta. „Kontakt” Melchiora rozpląnął się w szarudze. Dokąd mógł się skierować? Nie miał czasu pomknąć naprzeciw do hallu hotelu „Dorset” albo do domu handlowego Saksa.

Melchior przecina ruchliwą arterię. Ani śladu Belmana. Czekał na niego samochód? Być może... To pewny środek lokomocji, żeby zniknąć w Nowym Jorku. Na skrzyżowaniu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Ulicy bez przerwy ukazują się nowe samochody. Zbliżają się, potężnieją, mają wypolerowane albo zabrudzone osłony chłodnic, karoserie gładkie albo powyginane. Dostrzega wolną żółtą taksówkę i podnosi rękę. Wymarzone taxi o zardzewiałych błotnikach, popękanych reflektorach i poczerńiałych tarczach kół. Prowadzi je Murzyn o szerokich barach, który się krzywi na widok tego niezwykłego klienta.

Melchior otwiera tylne drzwi i siada na poplamionym i zdeformowanym siedzeniu. Murzyn ma na głowie czerwoną czapkę z daszkiem, kolczyki w uszach i bliznę na szyi.

- Dokąd jedziemy? - pyta, nie odwracając się.

- Jeszcze nie wiem - odpowiada Melchior obserwując wejście do katedry.

- Rozumiem... To zabawne.

Dwie ładne dziewczyny, wysokie i szczupłe, jedna z nich szatynka, druga blondynka - ukazują się w kruchcie. Rozglądają się na prawo i na lewo, zanim wykryją go w taksówce.

Blondynka biegnie do Piątej Alei, szatynka rusza szybko w stronę Madison Square.

- No więc, synu, ruszamy czy zwalniasz?

- Proszę ruszać.

\_ Adres?

- To się później zobaczy. Na początek sto dolarów, to powinno wystarczyć do uruchomienia tej gabloty - mówi Melchior wsuwając banknot do ręki kierowcy.

Murzyn wydaje gwizdnięcie i szeleści banknotem między upierścienionymi palcami, zanim wsunie go z wielką wprawą do wewnętrznej kieszeni kurtki.

\_ Chi! Chi! - chichocze. Za tę cenę mogę ci zaoferować dodatkowo kurewkę nie nazbyt niechlujną i...

Spojrzenie Melchiora we wstecznym lusterku jest tak twarde, że Murzyn natychmiast się wycofuje:

\_ Bardzo przepraszam, synu... Zazartowałem. Swego rodzaju sprawdzian klientów. W dzisiejszych czasach tyle jest zgnilizny. Tak to jest. Wsiadają do twojej gabloty i tną ciebie na kawałki. Wszyscy mają to w nosie. Obyczaj, telewizja... Całe to gówno, którym bogaci każą nam się karmić. Nie mówię tego do ciebie, synu. Ty masz forszę, a'e nie pochodzisz stąd. Jesteś zbyt uczciwy, bo inaczej nie dałbyś stu dolarów takiemu murzyńskiemu kutasowi, który ma spluwę w przegródce na rękawiczki. Nie przejmuj się, masz szczęście, spluwa to na lajdaków, co chcą na mnie napaść... Może wolisz, żebym ją zabezpieczył?

\_ Tak.

- Okay! Ty jesteś szefem.

Melchior ma inne zmartwienie. Właśnie rozwinął zgniecioną kartkę przekazaną mu przez Belmana w katedrze:

„Umknij dziewczynom, godz. 22.00, metro »Stadion Yankee«”.

Metro „Stadion Yankee\*” w dzielnicy Bronx, kiedy zapada noc? Belman lubi dreszczyki.

Melchior patrzy na zegarek. Ma jeszcze cztery godziny czasu. Rzuca okiem przez tylne okienko: czarny cadillac przykleił się do nich. Jedzie za nimi od Madison Square.

\_ Jesteśmy ścigani - mówi do kierowcy.

\_ No, no.

\_ Pięćset dolarów za zgubienie cadillaca.

- Chyba śnię, synu, jesteś dobrym Bogiem, czy co? \_ No więc, tatusiu, zgoda?

\_ Okay, synu. Zamknij oczy i wyobraź sobie, że jesteś w Indianapolis.

Murzyn wciska pedał gazu do dechy. Taksówka wskakuje w Trzecią Aleję, jedzie zygzakami po tłustej nawierzchni, wpada w poślizg i znajduje się na Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy. Kierowca cadillaca nie dał się zaskoczyć. Zręcznie manewruje kierownicą i lawiruje wozem z jednego pasa na drugi, sunąc czerwonymi śladami taksówki.

- Możesz mnie pocałować, ty kutasie! - wykrzykuje Murzyn, przejeżdżając przez skrzyżowanie przy czerwonym świetle.

Cadillac nie hamuje. Unika zderzenia z jednym wozem, ociera się o ciężarówkę i jedzie dalej. Czy ten facet to pilot?

Jimmy się denerwuje. Jego rozwalająca się i dychawiczna taksówka wlecz się po długich, prostych jezdniach wypełnionych autami odzianych w krawaty mieszkańców podmiejskich dzielnic, którzy uciekają z Nowego Jorku po skończonej pracy.

- Hej rogaczu! Spływaj! - ryczy do jednego z tej zmęczonej kadry, który zdaje się zasypiać przy kierownicy swego forda.

Zostawia go za sobą mijając po zewnętrznym pasie przeciwnego kierunku. Cadillac robi to samo. Odzywają się klaksony. Cholera! - woła Jimmy spoglądając w lusterko.

Mimo wysiłków, żeby zgubić cadillaca na ostrych wirażach, nie udaje mu się zmniejszyć odległości. Co robić? Przypomina sobie wszystkie pościgi ze swoich ulubionych historyjek i wykrzykuje:

- Mam pomysł!

Melchior nie dowierza temu nagłemu olśnieniu. Taksówka przelatuje jak bomba przez Frawley Cercie i wpada w Park Avenue. Jest coraz ciemniej. Cadillac niedostrzegalnie zrównuje się z nimi. Jego światła się zapalają.

Jimmy milknie. Jego pasażer jest niewzruszony. Ma wygląd zwykłego turysty poszukującego rzeczy banalnych, neonów, które z sekundy na sekundę przemieniają miasto w gigantyczny, rozświetlony statek powietrzny. Jimmy mruży pod nosem jakieś sprośności i skupia się na prowadzeniu auta. Ponad białą i czerwono fosforyzującymi sygnałami ruchu, ciemna sylwetka wiaduktu kolejowego oddziela rudery Harlemu. Jimmy hamuje. Taksówka przecina aleję, wspina się na chodnik i przejeżdża pod wiaduktem. Pojemniki na śmieci, skrzynki, włóczędzy, psy, koty, metalowe słupki znikają jedno za drugim z błyskawiczną szybkością. Z jednej i drugiej strony tej

nędzy zarysowuje się Harlem z ostrymi cieniami i oślepiająco jasnymi prostokątami.

Melchior utkwiał wzrok w smudze światła rzucanej przez reflektory taksówki. Niezliczone przeszkody, resztki targowiska, które się tu odbywa, pojawiają się na chwilę i są natychmiast omijane. Murzyn dokonuje prawdziwych cudów zręczności, ale i szofer cadillaca robi to samo. Szwajcarowi wystarczy rzucić okiem przez ramię, żeby zobaczyć masywną osłonę chłodnicy wozu, który sunie czerwonym śladem taksówki.

- Masz za swoje, gnoju! - wrzeszczy Jimmy hamując gwałtownie. Cadillac uderza w tył taksówki. Jimmy znów przyśpiesza, wyrzuca

w powietrze całą górę pustych kartonów i ociera się błotnikiem o jeden słup wiaduktu.

Wydaje okrzyk triumfu, stwierdzając, że cadillaca zarzuciło w poprzek, kiedy chciał wyminąć słup.

- Wzięliśmy ich, synu.

Melchior się odwraca. Nie podziela optymizmu swego szofera: cadillac znów się puścił w pogoń.

- Spaliło na panewce - mówi Melchior. Jimmy nie ma czasu na przekleństwo. Nagle jakaś dziewczyna zarysowuje się w świetle. Jest owinięta kwiecistym płaszczem, długim i obszernym. Jej głowę obcisła czapeczka z czarnej wełny, pozwalająca spływać luźno bujnym włosom.

Twarz ma chudą, oczy szklane. W ciągu trzech sekund Jimmy rejestruje tysiąc szczegółów. Ta zdzira zdaje się nie widzieć niebezpieczeństwa. Pewno coś sobie wstrzyknęła. Jej ciało klasnęło o jezdnię jak trzaśnięcie z bicia, kiedy taksówka z nią się zderzyła.

„Nie ma czasu na zbieranie szczątków” - myśli Jimmy, widząc w lusterku, jak cadillac rozgniatą nieszczęsną. Mówi też sobie w duchu, że jego klient powinien dorzucić mu premię.

- Twei przyjaciele są uparci - ryczy Jimmy między dwoma odważnymi skrętami kierownicą. - Trudno będzie odczepić się od nich.

- Płaci się za rzeczy trudne - odpowiada Melchior.

- Synu, jesteś cwaniakiem pierwszej klasy. Jesteśmy stworzeni do współdziałania. Wyciągnę cię z tego.

Hamuje, skręcając gwałtownie. Taksówka robi pół obrotu wokół własnej osi. Cadillac jest o parę metrów i wpada prosto na nich. Jimmy wypręża się na siedzeniu i naciska pedał gazu.

Melchior

zamyka oczy. W ostatecznej chwili szofer cadillaca nie wytrzymuje i chce wyminąć taksówkę, co mu się udaje. W swym szalonym biegu cadillac rozbija budkę telefoniczną i wbija się pod podwozie wywrotki na śmieci.

Jimmy pozwala sobie na wybuch radości uderzając pięścią w tablicę rozdzielczą, zdjęcie E.T. zawieszony pod lusterkiem i w swoją własną głowę.

- Widziałeś synu? Widziałeś taką robotę? Możesz dziękować niebiosom, żeś trafił na wielkiego Jimmy'ego. Wystraszałeś najlepszego! Jaki program mamy teraz?

- Jedź, Jimmy. Mianuję cię od tej chwili moim etatowym szoferem.

- Zaczynamy, szefie. Chcę, żebyś zwiedził nasze getto. W chwilę potem pochłania ich Harlem.

22

Sonora, 12 grudnia 1986, wieczorem

Elżbieta umknęła wraz z innymi. Powinna unikać policji. Zwłaszcza inspektora Mortona, który mimo swego nieinteligentnego wyglądu również pracuje dla Belmana. Służy jako informator dla agenta CIA; to on wystukuje tygodniowe raporty. Przy okazji może pomóc Elżbiecie, ale tylko w wyjątkowych wypadkach. Powinna sama dawać sobie radę.

Sama więc idzie nocą, czujna na wszystko, bo miejsce nie jest bardzo bezpieczne. Bette podwiozła ją autem aż do granic dzielnicy, w której mieszka. Nędzne przedmieście straceńców, chicanos i włóczęgów. Wszędzie rozbite samochody o popękanych oponach, stopniowo popadające w kompletną ruinę, ich wraki sterczą na tle slumsów niedbale połączonych płytami ze sztucznego tworzywa, deskami i drutami.

Elżbieta przemierza pole ruin i nieczystości, w środku którego, w lecie, garstka niezniszczalnych starych ludzi posługuje się łopatą i motyką, sadząc paprykę i pomidory.

Motocykl Czarnego stoi tam, połyskując pod ostatnią i jedyną

latarnią, która się świeci w tej cholernej dziurze, obok zardzewiałego wraka jakiegoś forda z lat pięćdziesiątych. Dom, pomazany na różne kolory, w którym Elżbieta wynajmuje pokój z kuchnią na parterze, z widokiem na fabrykę i publiczne wysypisko śmieci, jest wciśnięty między opuszczony hangar i tory kolejowe. W oknie kuchni pali się światło.

Elżbieta wchodzi po trzech drewnianych stopniach i popycha stoczone przez robaki drzwi wejściowe. Rozchodzi się przyjemny zapach świeżej kawy. Jej „kontakt” jest zajęty oglądaniem pobożnych obrazów równiutko naklejonych na ramach okiennych i na drzwiach szafy. Krzywi się rzucając okiem pod pokrywkę rondelka z resztką puree z czarnej fasoli.

- Nie cierpię tego gówna - oznajmia.

- A ja bardzo to lubię - odpowiada Elżbieta, chociaż to nieprawda.

- Proszę mi wybaczyć. Nazywam się Bob. Pomyślałem, że trochę kawy zrobi pani przyjemność - mówi nalewając kawę do filiżanki ozdobionej czerwonymi i żółtymi kwiatami.

- Dziękuję.

- Proszę usiąść i wysłuchać mnie. Ale najpierw proszę to wziąć. Odpina kurtkę, wyjmując z niej dużą, szarą kopertę i kładzie ją na stole. Elżbieta bierze kopertę i maca jej zawartość przez papier.

- Ta koperta zawiera kilka porcji silnych narkotyków - ciągnie Bob. - Banda, którą pani widziała, handluje tym. Należy ona do dużej grupy, mającej powiązania z Los Angeles, która kontroluje i prowadzi odsprzedaż narkotyków na rzecz mafii. Ja zaś należę do FBI, w co może pani wątpić. Do mnie należy sporządzanie spisu kwitów dostawy, co nie jest łatwe dla Murzyna, tak że trzeba było zmontować skomplikowany scenariusz, żebym się wmieszał do tej bandy podczas zjazdu w mieście Phoenix.

- Czy nie było innego sposobu, żeby mi dostarczyć te narkotyki?

- Na pewno był. Ale moja obecność przynosi dodatkową korzyść, ona panią kompromituje. Renny wraz z innymi widział nas rozmawiających i tańczących, a ten gruby łajdak jeszcze nas zobaczy. Dzięki inspektorowi Mortonowi poznałem wszystkie jego zwyczaje. W niedzielę rano pójdziemy w stronę kościoła szlifować bruki. To zdumiewające, nigdy bym nie myślał, że takie łajno jak on może uczęszczać do budynku religijnego. Pani jest katoliczką?

- Tak - wyjąkała Elżbieta.

- Głupie pytanie, wy, latynosi, wszyscy jesteście katolikami... Ja już wszystkiego próbowałem. Byłem kolejno katolikiem, protestantem, muzułmaninem, buddystą, shintoistą aż do dnia, kiedy się stałem wyznawcą FBI. Ale wracając do Renny'ego, jesteśmy przekonani, że panią zadenukuje...

Bob przeczesuje ręką włosy. Od trzech lat, czyli od czasu, kiedy jest wtyczką u Aniołów, nigdy mu się nie zdarzyło stawiać czoła całej serii tak niebezpiecznych wydarzeń. Przecież nie zna ich przyczyny.

- Po raz pierwszy mam do czynienia z Meksykanką, która pracuje dla nas.

Elżbieta pojmuje, że Czarny nie jest wtajemniczony w żadne sprawy.

- Mój brat zmarł po zażyciu nadmiernej dawki - kłamie.

- Pani pracuje w wydziale środków odurzających? Tak.

- Ale dlaczego oni chcą wsadzić panią do więzienia? Kogo będzie pani łapać w sidła?

- Tego nie mogę wyjawić.

- Okay! Jak pani chce. Zostawiam panią. Muszę przyłączyć się do bandy. Mamy kryjówkę w opuszczonej farmie, dwadzieścia mil od Eldorado. Wrócę po panią w niedzielę o godzinie ósmej rano.

- Zgoda.

Bob parodiuje na pożegnanie ukłon wojskowy, otwiera okno, wyskakuje i biegnie do motocykla.

Elżbieta opuszcza głowę. Hałas motoru ucichł w oddali, a na jego miejsce flet zagrał melodię tak czystą, że przeniknął ją dreszcz. Elżbieta usuwa się na drugi plan, Juana płacze...

Nowy Jork, 12 grudnia 1986, wieczorem

Dzielnica Bronx. Melchior chodzi po tym dziwnym terytorium, nawiedzonym przez wszystko, co się włóczy, narkotyzuje, kradnie i zabija. Nędza - zaczyna ją dostrzegać, kiedy się zagłębia między odrapane fasady domów, nadgryzione zębem czasu. Z góry budynków, wygładzonych przez deszcz i tak czarnych, jak popsute zęby, wypływa utajona energia. Energia tysięcy osaczonych istot. Melchior czuje ten przepływ na własnych ramionach. Kiedy się nie ma wspomnień ani korzeni, nie ma się pieniędzy, jest się od urodzenia przygotowanym na nędzę, wcześniej albo później ląduje się tutaj, pod koniec nocy.

Hałas silnika. Poznaje taksówkę Jimmy'ego. Murzyn opuszcza prawą szybę, wychyla się i mówi:

- Wolę ci towarzyszyć. Nie mogłem wytrzymać czekając.

- Nie! Czekaj na mnie tutaj!

- Uważaj, synu! Są tam sukinsyny, którzy potrafią posługiwać się zyletkami. Naprawdę nie chcesz mojej ochrony?

- Bez dyskusji. Zostań tutaj. To rozkaz.

- Dobrze, szefie - szepcze Jimmy i z zalem patrzy za odchodzącym.

Melchior idzie prosto przed siebie, jego postawa i wyraz twarzy wskazują na odprężenie, brawurę, a z pewnością na nieświadomość...

„Powodzenia, synu” - mruczy Jimmy wyciągając spluwę z przegródki na rękawiczki.

Odbezpiecza kurek. To miejsce przygotowawo

0 dreszcze. Ani policja, ani milicja nie mogą nic poradzić przeciw łupieżcom, będącym pod wpływem heroiny, którzy się afiszują z bronią w rękę w centrum Bronxu. Badając wzrokiem mroczną ulicę, rozjaśnioną tu i ówdzie nikłym światłem latarni, Melchior nigdzie nie wykrywa napastników. Jest bezradny. Mrowienie skóry, jakie odczuwa, wskazuje na niebezpieczeństwo. Tymczasem jego klient

I nowy szef znika przy końcu tej mordowni bez przygód, nikt za nim nie podąża...

Dopóki będzie w Nowym Jorku, ryzykuje życiem. Casey nie jest człowiekiem, który poniecha swej zdobyczy. Melchior jest tego świadomy. North i Poindexter znaleźli się poza nawiasem, pozostaje mu tylko jedno oparcie: Belman. Ten jeszcze go potrzebuje... „Recove-ry” stanowi broń przy wyborach prezydenckich 1988 roku. Ale potem?

Nie dostaną go tak łatwo. Teraz będzie mógł poświęcić się zasadniczo wielkiemu zadaniu, którym kieruje w sekrecie od dziesięciu lat. Wyda wojnę systemowi. Cały czas mając się na baczności, zastanawia się, przypomina sobie czyny i zachowanie swoich współpracowników, swoje plany, organizację komórek, swoje działania i ostatnie zmiany miejsca pobytu. Tyle szczegółów przychodzi mu na myśl pod zdradliwym naciskiem strachu, że już sam nie wie, jakie ma z nich wyciągnąć wnioski. Trudno jest dokonać pierwszego natarcia, kiedy się jest w samym środku mnóstwa paradoksów i sprzecznych oznak, kiedy się gra przeciw narodom mając na gigantycznej szachownicy miliony elementów.

Metro. Odpędzając myśli Melchior zmusza się do skoncentrowania uwagi na wylocie z tunelu, schodach, górnej zabudowie, opustoszałych korytarzach, zakrętach, kątach i na dwóch grubych facetach, brodaczach w futrzanych kurtkach i kapeluszach wciśniętych aż po oczy, posępne i ostrożne. W miarę, jak się do nich zbliża, ich poczciwość przeradza się w agresywność.

Melchior czuje, że miejsce jest niebezpieczne i kieruje się zdecydowanie w drugi koniec peronu. Jest pięćdziesiąt osiem minut po dwudziestej pierwszej. Błyszczące tory są przeraźliwie puste. Na próżno wypatruje pociągu wynurzającego się w głębi tunelu. Jego „kontakt” na pewno nie spóźni się, a to jest ważne, gdyż tych dwóch grubasów rusza w jego kierunku, przypatrując się mu uważnie. Wyglądają jak dwaj straszni bliźniacy o cerze i oczach zaczerwienionych i krótkich nogach w spodniach z tergalu w kratę. Chód mają kołyszący się, przywodzący na myśl wańki-wstańki, które zawsze wracają do pozycji pionowej, tak nisko znajduje się ich środek ciężkości. Odległość między nimi a Melchiorem szybko maleje. Jeden z nich uśmiecha się do niego, złośliwie wsuwając ciężką łapę do kieszeni kurtki.

Godzina dwudziesta druga. Zjawia się Belman i oczywiście kieruje się do tych dwóch z automatem w rękę. Zły uśmieszek tego, który znajduje się na przedzie, zamiera, a potem przeradza się w naiwną minę.

- Spływajcie, gnoje! - rozkazuje Belman.

Obaj natychmiast odwracają się plecami i ukazują kosmyki swych przetłuszczonych włosów, które zwisają jak martwe piskorze nad wybrudzonymi kołnierzami. Wobec groźby odchodzą potulnie w inny kąt, bardziej obiecujący i mniej eksponowany.

- Dziękuję - mówi Melchior, podchodząc do Belmana.

- Mam sprawę. Byłem kiedyś gliną. Ten kąt obfituje w rzezimie-

szków, podryznających gardła lekkomyślnym pasażerom, ale nawiewających przy najmniejszym niebezpieczeństwie. Pan nie jest uzbrojony?

- Nie.

- Myślałem, że ludzie Northa dostarczyli panu rewolwer.

Tak jest. ale wolałem odłożyć go do kasy. Nie jestem człowiekiem brutalnym.

- Pańska wolna wola. jeśli chce pan zejść z tego świata. To z tej racji wyznaczył mi pan tutaj spotkanie?

- Niech pan nie będzie niemądry. Chciał pan spotkać się ze mną w hotelu, podczas gdy od rana siedzą mi na karku? Jedna z ich brygady przebywa w hotelu „Waldorf-Astoria”, bo myślą, że pan w nim się zatrzymał, druga stoi na posterunku przed moim mieszkaniem. Bronx to ostatnie miejsce, gdzie przyjdą myszkować.

- Skąd wiedzą, że pan dla mnie pracuje?

- Casey podejrzewa mnie od samego początku. On przypuszcza również, że ode mnie pochodzą przecieki odnośnie do „Recovery”.

- Skąd się dowiedzieli, że jestem Saschauerem?

- Gorliwość. Co to znaczy?

- Na skutek dochodzeń jeden z naszych agentów pracujący dla BND\* wykrył, że jednym z dawnych pańskich wspólników był nie kto inny, jak Richard Mueller. Zdaje sobie pan sprawę z tego, jak bardzo zależy Reaganowi na skórze tego zdrajcy; prezydent zapisał nazwisko Muellera w swojej osobistej agendzie, aby go nigdy nie zapomnieć. Zdjęcie was obu w Kapsztadzie wylądowało na biurku Casey przed jakimiś dziesięciu dniami. Reszty łatwo się domyślić.

Melchior z wdzięcznością myśli o swym starym przyjacielu Richardzie Muellerze\*\*.

genialnym rabusiu technologii zachodniej na rzecz krajów Europy Wschodniej, człowieku o tysiącu nazwisk, który skazał na bezsenne noce kierownictwo NATO, Kaspara Weinbergera, prezydenta Ronalda Reagana. Wyobraża sobie minę Casey, kiedy go rozpoznał: „Melchior Saschauer? Ależ to Fryderyk Detmer!”

- A zatem?

\* Bundesnachrichtendienst zachodniemiecka służba wywiadowcza. (Przyp. aut.) \*\*

Poszukiwanym przez wszystkie służby wywiadowcze od października 1983 r. (Przyp. aut.)

- Akta zostały przekazane specjalistom z Ministerstwa Przemysłu, powiązanych z urzędem celnym i podatkowym, dla uzupełnienia dochodzenia. Ci specjaliści nie wykryli jednak nic interesującego oprócz udziałów jednej z osób podstawionych przez pana w spółce MRI w Kapsztadzie, będącej parawanem dla spółki szwajcarskiej Mueller Semitronic AG, przez którą przechodziły materiały informacyjne najwyższej wagi przeznaczone dla Sowieców. Pan dał Casey-owi pretekst dla zastosowania ostrych środków. Doprawdy, nie rozumiem, czego pan chce dowieść? Po co taka dwulicowość?

- To dawna historia i nie brałem w niej udziału nawet z daleka. Mój figurant z Kapsztadu, który nadal znajduje się tam na posterunku, nie ma żadnych innych funkcji poza pośrednictwem pomiędzy kierownictwem południowoafrykańskich kopalni złota a moimi agentami giełdowymi w Londynie i na Wall Street. Jego uboczna działalność mnie nie obchodzi.

- To trzeba będzie opowiedzieć w pańskich pamiętnikach, jeżeli ma pan dość czasu, by je pisać. Przyniosłem pana paszport na fałszywe nazwisko. Proszę znaleźć jakiś pewny środek lokomocji, żeby się wydostać z Nowego Jorku i wsiąść na statek towarowy, który powinien odpłynąć jutro wieczorem o godzinie osiemnastej z Newport News.

Tak.

- Nazywa się „Korona”.

- Muszę najpierw ukryć pewne papiery... Więc trzeba to zrobić szybko.



Huk przerywa ich rozmowę. Skład wagonów metra wjeżdża na stację, skrzypiąc wszystkimi złączami. Nieruchomieje, wydając jęk. Drzwi wagonów otwierają się ukazując resztki jedzenia, gazety i szkło, wychodzi przez nie zgraja młodych Portorykańczyków, grających w futbol puszką po coca-coli. Jeden z nich salutuje im: Stare pierdoły!

Scenka z życia powszedniego. Belman wzrusza ramionami. Po co się oburzać, trzeba poczekać ze stoicyzmem, aż ich fantazja przeminie, tak jak góra pozwala, żeby przeszła burza.

- Do widzenia panu - mówi wchodząc do wagonu.

Skład wagonów pobazgranych napisami odjeżdża. Zgraja Portorykańczyków rozprasza się po Bronxie. Stacja odzyskuje swój grobowy wygląd i niepokojącą ciszę, Melchior jest sam. Jakiś człowiek idzie w jego kierunku ze zdecydowaną miną. Jest jeszcze dość daleko.

Melchior robi pół obrotu i zmierza szybko do wyjścia. „Boisz się” - ta myśl wywołuje w nim wściekłość, rosnący, przerażający gniew. Zaczyna biec.

- Stać! - słyszy czyjś głos.

Zbiega po schodach. Jeszcze dobiega go wołanie. Ten, kto woła, również zaczyna biec.

Melchior rzuca się w ulicę. Nawierzchnia tłuczniowa jest podmyta, woda w kałużach tryska pod naciskiem jego stóp, śliskie chodniki, trotuary usiane papierami i brudami, nic nie powstrzymuje jego biegu. Zdejmuje i rzuca swój płaszcz. Klnie. Nigdy nie znajdował się w sytuacji ściganego. To doznanie, którego nigdy sobie nie życzył, zwłaszcza w tej dzielnicy. Wie, że nie odbiegnie daleko. Brak mu treningu. W miarę, jak traci siły, zaczyna uważać wyeliminowanie swojej osoby za zło konieczne. Kula wystrzelona przez ścigającego dźwięczy na metalowych schodach wyjścia zapasowego. Przerażony Melchior chce skoczyć, aby się ukryć za zaparkowanym autem, ale ślizga się na płycie odpływowej i pada na brzuch na chodniku. Cała ulica, samochody, budynki kołyszają się wokół niego. Wysiłek, jakiego dokonał, był zbyt gwałtowny. Wzrok mu się mąci. Niczym ktoś poruszający się na mostku statku w czasie burzy, podchodzi do niego jakiś Murzyn. Trzyma broń. Rozstawia nogi, ugina kolana, mierzy i strzela... To Jimmy.

- Wszystko w porządku, synu? - pyta po chwili, podnosząc go z chodnika.

- Ujdzie.

Melchior powoli odzyskuje równowagę.

- Idziemy - mówi Jimmy, biorąc go pod ramię. Melchior ma akurat dość czasu, aby zobaczyć męczyznę czołgającego się po ziemi o jakieś dwadzieścia metrów od nich.

- Dostał za swoje - ciągnie Jimmy. - Sądzę, że trafiłem go w nogę. Wyjdzie z tego.

- Miejmy nadzieję - odpowiada Melchior myśląc o reakcji agentów FBI, gdy któryś z ich ludzi zostaje zabity.

- Zwiewajmy szybko! - woła Jimmy.

- Muszę zatelefonować...

- Nic trudnego, jeżeli nie boisz się pedałów. Znam bar o dwa kroki stąd.

- To nie ma znaczenia, byle tylko był telefon.

- Okay! Ruszajmy tam, synu.

Jest to korytarz pomalowany na czarno i czerwono, brudny, z wielkim kontuarem po lewej stronie, ławeczkami po prawej, kilku taboretami i starą maszyną grającą, z której wydobywa się jakaś melodia rockowa. Na ścianach plakaty z Elvisem, Boy George'm i Conanem Barbarzyńcą. Światło jest przyziemione. Muskularni kolosi poruszają powoli pośladkami, rękami i ustami w niedwuznacznych pozach.

- Uprzedzałem ciebie - mówi Jimmy otwierając drzwi.

Kiedy Melchior i Jimmy posuwają się przez tę uperfumowaną spelunkę, towarzyszą im pożądlive spojrzenia. Ostrzyżony przy samej skórze blondyn zaczepia ich otwarcie, ściągając zwiotczalą ręką w dół błyskawiczny zamek swych skórzanych spodni.

- Nie fatyguj się - mówi do niego Jimmy. - Przyszliśmy nie po to. Dwie whisky i telefon -  
rzuca do barmana, który ma na głowie zabawny tyrolski kapelusik.  
- Z lodem czy bez, te whisky? - pyta barman przenikliwym głosem.  
- Bez.

Telefon jest tam w głębi, obok toalet.

- Idę - mówi Melchior.

Kiedy przechodzi, dwóch homoseksualistów zionie na niego oddechem, naśladując wbijanie  
w jego ciało wymaginowanych ban-derilles. Toalety są otwarte. Dwaj chłopcy o nagich  
torsach, jeden Biały a drugi Żółty, zwałili się na muszlę niczym dwaj wyczerpani pływacy  
uczeplieni skały. Wymieniają długi pocałunek i wykonują nieokreślony gest pod jego adresem.  
On nie zwraca na nich uwagi i wykręca numer na tarczy. Po czwartym sygnale ktoś się  
odzywa.

- Słucham.

- Tu Detmer.

- Pan?

- Mam bardzo mało czasu\*»\_

~ Jestem na pańskie rozk\*\*^;

aicul 1 , | crdzie, całą księgowość „Recovery na-

- Proszę ukryć, pan wie g ą V6

szych nowoJ^r^^ wychodzi z kabiny. Para chłopców

o paru m toalecie, Żółty na kolanach przed Bia-

wciąż jeszcze znaJ Uje . r krzywi się z niesmakiem i wraca do tym na czworakach. Melchio\*

baru i mał Jeszcze nadzieję nakłonić go i patrzą błagalnie.

u. inni m j<\* j .....,^ly nawiązał rozmowę z barmanem. Te-Sledzac orzv kontuarze Jimi1'^

\* •• u ^1

^ t'^ , . . . ^naki zodiaku i ich przodkowie, matem jest astrologia, „ch ^ od R^ \_ \_

- Ja jestem Rak i Poc\*\*^ §1

Prawdziwą kwoką według tolJ y barman

- A ia Dochodzę od zvv,6rza, który kasa - gdacze barman.

- Czy wszystko idzie po ^ mysh, synu? - przerywa Jimmy widząc wracającego Melchi'^ \_ &

- W porządku - odpowie Czy masz paszport?

- Nip ••

- nu Natychmiast si? tym zajmujemy. Dobrze. J „„,krzykuie Jimmy. Dokąd chcesz  
mnie

- Hej! Chwileczkę! - wy\*' J J J

zabrać? .. ^ początek. Sądziłem, że przyjąłeś moją- pro-

Uo szw j ••• moim etatowym szoferem. Czyżbyś

pozycję. Zostałeś mianować |>

zapomniał?

- Jeszcze jedno: dostaniesz cztery tysiące dolarów miesięcznie.

Jedziemy, Jimmy?

- Tak, szefie. Dokąd? do

- Najpierw po twoj paszport

W nocy- ;e(izujemy do siedziby banku.

- To nie ma znaczenia. 1 J J

~ A potem. Newport News.

- Zmienimy samochód '

Sonora, Teksas, niedziela 14 grudnia 1986

Z głową przepełnioną mobilizującym skryciem kazaniem księdza, Renny rozgląda się wokół i  
widzi same twarze, na których maluje się wiara. Lekarz Thomson wraz z żoną, panna Pice,

bankier Humme i wszyscy inni - zebrało się tu tyle osób, których nie zna. Odnosi wrażenie, że w tej chwili wszyscy widzą spełnienie dzieła Boga. Czy odgrywają komedię, czy istotnie obdarzeni zostali łaską? Renny nie czuje nic, albo niewiele... Drży pod naciskiem skierowanego nań spojrzenia inspektora Mortona. Ten sukinsyn gliniarz obraża go swą wzgardą i odbiera mu dobre samopoczucie, ten maleńki ułamek uczucia wiary, który miał wreszcie odkryć w sobie. Czego on chce? Przepytywać go znów w sprawie Tucka? Nabożeństwo się kończy. Renny usuwa się szybko na bok i oddala, poruszając ramionami, jakby oczy inspektora były strzałami w jego plecy.

„Straciłem wiele forsy przez tę historię - rozmyśla. - Nie chcę dać się zrobić przez tego śmierdziela z policji”.

Zaczyna odczuwać kłopoty żołądkowe. Ustawicznie zgłodniały, zaczyna przetykać ślinę. Kurczak, którego Maureen każe dla niego piec każdej niedzieli, przesłania sobą chwilę obecna. Widzi oczyma wyobraźni ładne udko, soczyste i chrupiące. Z niezdecydowanym wzrokiem wiernego, będącego jeszcze pod wrażeniem objawienia, podchodzi do swego chryslera, do którego obsiusiona szykuje się jakiś pies.

- Przeklęty kundel! - woła Renny kopiąc psa nogą.

I właśnie wtedy zdumienie rozszerza mu oczy. Stoi z otwartą gębą: Juana i Czarny stoją o parę metrów od niego.

Nie, to nie sen: trzymając się za ręce, wpatrzeni w siebie, Biała i Murzyn stoją przy motocyklu. Renny cofa się, jakby stanął przed kupą śmierdzącego łajna.

„Morton... do kaplicy... Muszę tam wrócić”.

Ta myśl go uspokaja. Robi szybki półobrót. Morton znajduje się na dziedzińcu kościelnym zajęty rozmową z dwiema bardzo eleganckimi paniami. Renny zmusza się do spokoju, nic nie może poradzić. Musi być uprzejmy. To niełatwe.

- Przepraszam panie. Inspektorze, czy mogę pomówić z panem przez chwilę sam na sam? - wyrzuca z siebie jednym tchem.

- Oczywiście.

Obie kobiety, ubrane na szaro, biało i niebiesko, odwracają się z urażonymi minami i odchodzą w stronę księdza.

- Można by powiedzieć, że pan odstrasza kobiety - ironizuje Morton.

- Gwiżdżę na te zdziury, nie przyszedłem tutaj, żeby je podrywać! Proszę iść ze mną.

- Dokąd?

- Tam. Niech pan spojrzy: Juana i Murzyn. Co pan chce, żebyśmy zrobili?

- Jak to? Ależ to ten czarnuch, który należy do bandy Aniołów, co się zjawili w piątek wieczorem. To jest zapisane w raporcie z mego zeznania. To on, mówię panu!

- Czy jest pan tego pewny?

- Równie pewny jak tego, że pana tu widzę, inspektorze - oznajmia Renny spluwając na ziemię.

- Chodźmy.

Renny nie posiada się z radości. Już w drodze przytrzymuje inspektora za ramię i odzywa się z sadystycznym uśmiechem:

- Uważam, inspektorze, że należy zrobić pewną poprawkę. Wezmę korbę z bagażnika.

Wygarbuję się skórę czarnuchowi; wystarczy, żeby pan wymógł na tym łajnie respekt swoją spluwą.

Morton podnosi na niego oczy zaokrąglone zdziwieniem, oszołomiony tym, co usłyszał. Odnosi naraz wrażenie, że Renny dokonuje wielkiego wysiłku, żeby się opanować; cały poczerwieniał, jego ciało za chwilę eksploduje pod wpływem ciśnienia krwi.

- To pan uważa, iż przychodzę do kaplicy z rewolwerem. Uwaga, Renny, jeszcze jedno słowo, a każę pana zamknąć w tej samej celi, co Tucka.

Zawiedziony Renny idzie za inspektorem zaciskając wargi.

- Okay. Ryba złapała się na haczyk - szepcze Bob do ucha Elżbiety. - Damy im podejść bliżej, całus na pożegnanie i spływam, zostawiając ciebie w ich rękach, ponieważ muszę do końca odegrać swoją rolę łobuza... Więc, jak z tym całusem?

- Sądzę, że pan wykorzystuje sytuację, jeśli chodzi o tego całusa - mówi Elżbieta.

- Tak to zrobię, żeby nie sprawiło to pani przykrości.

- W takim razie zgoda, proszę mnie pocałować - odpowiada Elżbieta z uśmiechem.

Morton i Renny są nie dalej niż o dziesięć metrów od nich. Brzuchacz jest rozradowany, a potem się krzywi: ten pocałunek poruszył w nim flaki. Inspektor się niepokoi. Ten cholerny Bob za dużo sobie pozwala, na co on czeka, zamiast odjechać na motorze? Hej! Wy tam! krzyczy inspektor.

Bob i Elżbieta rozłączają się i udają zdziwienie na widok Renny'ego w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

- Policja! Zatrzymać się!

- Mam cię gdzieś! - odpowiada Bob wsiadając na motor.

- Stać!

Motor rusza z miejsca jak rakieta. Morton dla pozorów biegnie za nim i przystaje po pięćdziesięciu metrach. W tym czasie Renny próbuje pochwycić Elżbietę.

- Ty ździro meksykańska, nie umkniesz mi.

- Od dawna czekałam na tę chwilę - odpowiada Elżbieta, przyjmując pozycję bojową.

Cha! cha! Chcesz mnie nastraszyć i jeszcze pyskujesz. Robi krok do przodu. Elżbieta uderza krawędzią prawej ręki w szyję tłuszciocha. Lewa pięść trafia w splot słoneczny. Renny dusi się, ale Elżbieta nie ma zamiaru na tym poprzestać. Cofa się, a potem nabiera tchu i z całej siły zadaje mu cios nogą w kałdun. Renny pada na kolana. Czerwona mgła przesłania mu wzrok. Jeszcze czuje pięść Elżbiety na ustach. Dwa z jego nowych zębów znalazły się na języku. Wypluwa je razem z krwią i zwała się na chodnik.

- Dość! - ryczy Morton uśmierzając Elżbietę.

- Skurczybyk! Wykończę go!

Inspektor przytrzymuje ją i opiera o maskę jakiegoś auta. Kiedy Elżbieta próbuje się uwolnić, Morton mówi cicho, lecz dobitnie:

Pani oszalała. Pani nas wszystkich zgnoi. Jeszcze nie widziano, żeby meksykańska kelnerka była mistrzynią karate. Teraz są świadkowie. Niech pani gra swoją rolę, muszę panią zatrzymać.

Elżbieta uspokaja się świadoma, że popełniła błąd, ale nie żałuje tego.

- W porządku, niech mnie pan zabiera ze sobą - szepcze do Mortona.

Ten pozwala jej się wyprostować i przytrzymuje jej ramię na plecach. Grupa ludzi zebrała się wokół Renny'ego, który ciężko dyszy na ziemi.

- Rozejść się - rozkazuje Morton - już dosyć widzieliście. Ona go uderzyła kluczem nastawnym. Nie ma z czego robić tragedii. Niech ktoś zadzwoni do komisariatu i zażąda wozu dla inspektora Mortona.

- Zajmę się tym - mówi jakiś człowiek.

Co się tyczy ciebie - mówi twardo do Elżbiety - masz sporo na swoim koncie: ciosy i obrażenia, współdziałanie z Aniołami. Podsumowanie wypadnie obciążające

Kiedy nadjeżdża samochód, powierza ją policjantowi, idzie sprawdzić, w jakim stanie jest Renny który czuje się już lepiej - i wraca drapiąc się w kark.

- Jazda, zaaresztujcie tę kobietę - mówi do policjanta. - Najpierw pojedziemy do jej mieszkania. Jestem pewien, że wykryjemy tam coś ciekawego.

„Już nie żywię żadnych uczuć, straciłam swoją osobowość, stałam się mechanizmem, jakimś monstrum. Jak mogę być jeszcze posłuszna? Czy tak wygląda agent doskonały?”

Elżbieta lęka się tego, czym się stała. Po stokroć stwierdzała z przerażeniem, że jest abstrakcją w świecie pragmatycznym i okrutnym. To jej własna postawa pełna niemądrej ufności sprawiła, że pułapka się zatrzasnęła. Teraz musi iść do przodu za wszelką cenę, odnieść sukces bez względu na wyrzeczenia, pogodzić się z sądem, więzieniem, walką. Opuszcza gabinet dyrektora. Blok A, Blok B, Blok C. Wchodząc do budynku ze stali i betonu, w którym znajduje się jej przyszła cela, ma wrażenie, że jej ciało się kurczy, maleje jak pod naciskiem prasy. Kraty, sztaby, niezawodne klatki, jak w lunatycznym śnie, przemierzane przez umundurowane strażniczki. Więźniarki o woskowych twarzach. Tutaj źródło radości jest na wieki wyschnięte. Elżbieta czuje w ustach smak popiołu. Jest przekazywana z miejsca na miejsce, jak zwykły worek.

- Oto nowa. Zabierzcie ją.

- Otworzę ci drzwi.

- Możecie przejść.

- Cześć! Przyprawiam ci nową.

- Jeszcze jedna Meksykanka! A to burdel! Mam ich powyżej uszu!

- Cela dwieście trzydzieści pięć.

- Z tą stukniętą Anną?

- To rozkaz dyrektora.

- No dalej, ruszaj się. I uważaj, żebyś mnie nie wkurzyła. Lubię porządek na moim oddziale. Zrozumiano?

- Zrozumiano - odpowiada Elżbieta, nie spojrzawszy na kobietę, która do niej mówi i prowadzi ją.

Siedząc w celi dzień po dniu i noc za nocą, nie mając do kogo otworzyć ust, Anna prowadzi wyimaginowane rozmowy ze swymi dawnymi towarzyszkami walki. Toteż kiedy zgrzytają zasuwki opancerzonych drzwi, a nie jest to pora spaceru, bo godzina jest niezwykła, Anna doznaje wszelkich możliwych uczuć gniewu i niepokoju, gotowa przyjąć kogokolwiek. To już trzydzieści osiem dni od czasu, jak jej dawna kompanka z celi opuściła ją, zwolniona z racji zmniejszenia kary. A ją zostawiono samą w tej norze, bo odmawiała podjęcia pracy i brania udziału w życiu więziennym. Ją, Annę Bun-towniczkę.

Drzwi się otwierają. Zjawia się Roberta, strażniczka, chuda i żółta stara panna z nogami i ramionami podobnymi do patyków, z podejrzanymi przyszczami na nosie, stale rozczłuszczona.

- Anno, oto nowa lokatorka. Myślę, że ci się spodoba. To taka

„nic dobrego”, pochodzi z twego kraju. No, ruszaj się, wchodź i miej się na baczności: twoja kumpelka lubi rozrabiać.

Elżbieta wchodzi do celi. Anna leży wyciągnięta na łóżku; jest to wąska prycza przytwierdzona do muru. Z ręką założoną pod głowę i oczami zwróconymi ku wejściu przygląda się jej niezyczliwie.

Elżbieta odczuwa żywe wzruszenie. Anna przypomina jej zwierzaka. Ma szeroką twarz, oczy wąskie i pochmurne, niskie czoło, orli nos nieco spłaszczony i wydatne usta. Jej długie włosy, ciemne i rzadkie, są przetykane srebrnymi nitkami. Pod niedopiętą bluzką nerwowe, dość pełne ciało zdaje się drzeć, jakby pod wpływem gwałtownego pożądania.

Roberta zamyka drzwi. Elżbieta kieruje się do wolnego łóżka i ciska na nie swój zasługujący na kpiny tłumoczek, rzucając okiem na fotosy z tygodników przyklejone do ściany przez jej poprzedniczkę. Robert Redford w kostiumie kąpielowym, Sylwester Stallone na ringu i jakiś nie znany jej osobnik w białym garniturze, klęczący na piaszczystej wydmie.

- Jak się nazywasz? - pyta Anna po hiszpańsku. Nie może już utrzymać języka na wodzy.

- Juana.

- Ja jestem Anna.

- Więc dzień dobry, Anno - mówi Elżbieta, wyciągając do niej rękę.  
- Witaj w zamku - odpowiada gorąco Anna. - Ty tutaj na długo?  
- Pięć lat. Przedtem byłam w Sonorze, a ty?  
- Wolę o tym nawet nie myśleć: jeszcze dwanaście lat muszę to znosić. Mów mi, co na świecie. Czy dawno opuściłaś Meksyk? Co słyhać w kraju? Z jakich jesteś okolic? Marzę, aby tam wrócić. Nie zdajesz sobie sprawy, jak ciężko jest być zamkniętą tutaj.  
- Mieszkałam w samym Meksyku i Cmeretaro... Czy znasz Quere-taro?  
- Nie.  
- To tam spędziłam najlepsze chwile mego życia, zanim wszystko utraciłam. Nie możesz sobie wyobrazić, jak łagodne jest tam powietrze. Wieczorem spacerowało się po deptaku i... Marzenia, które są tylko jej własnością, marzenia w ich pełni, które pozwalają jej zweryfikować całą wiedzę wbijać jej do głowy. Elżbieta opowiada o świętach, o odprawieniu pierwszej nowenny, o żłobkach i drodze krzyżowej, o całym swym dzieciństwie spędzonym przy spódnicy matczynej i w dymie kościelnych kadzideł. Przypomina sobie barwne targowiska, a na nich cynamon, czosnek, cebula, papryka, pomidory, fasola i tysiąc innych drobiazgów zwieńczonych girlandami kwiatów. W jej umyśle powstają realne obrazy, przenikają ją doznane niegdyś wrażenia: garbaty sprzedawca ziół ze swymi wiklinowymi koszami, którego jej ojciec nazywał Molecho; ostry zapach papryki, którą sąsiadka smażyła na ruszcie w każdy wtorek i czwartek; twarze wieśniaków o jednako smutnych, przenikliwych spojrzeniach, twarze porwane zmarszczkami przez słońce  
I stwardniałe od straszego norte\*.  
- Szczekałam zębami mimo wielu okryć i myślałam o mieszkańcach górskich szczytów, których przenika zimno w ich ruderach, wystawionych na wszystkie wiatry.  
- Oni żyją w ruderach, ale nie przyjmują tego do świadomości.  
- Być może - mówi Elżbieta z wahaniem, jakby nie czuła się w pełni przekonana słowami Anny.  
„Muszę pobudzić jej bojowość” - myśli Elżbieta i ciągnie:  
- Sądzę, że nie są zdolni do buntu. Tyle jest pomieszania pojęć u tych prostych ludzi, których podtrzymuje meskalina i marihuana.  
- Oni walczą! - wykrzykuje Anna.  
Elżbieta udaje zdziwienie. Anna kładzie sobie rękę na sercu, w jej małych oczach zapala się płomień buntu; jest poruszona do głębi.  
- Oni walczą, tak jak i ja walczyłam - ciągnie w uniesieniu. - Oczywiście, ty nie możesz tego zrozumieć. Ach, to pieskie życie. Tak bardzo bym chciała, żeby sprawy były proste i czyste. Jeżeli tu się znalazłam, to z racji zakłamania polityków. Ci wszyscy, którzy panują nad Meksykiem, bardziej kochają chaos i władzę niż ludzi. Naród to robactwo, którym gardzą ci, co rządzą, gardzą Jankesi i kapitaliści.  
- Wiem...  
Nic nie wiesz! Czy miałaś już w ręku broń? Czy stawiałaś czoła  
\* Prąd zimnego powietrza z północy, które napływa od listopada do lutego. (Przyp. aut.)  
policji na placu Trzech Kultur? Czy widziałaś, jak umierał mężczyzna, którego kochałaś?  
- Nie.  
- Dość rozmowy - ucina Anna.  
Wydaje się wyczerpana, z wyrazem przygnębienia opada na łóżko. Niech będzie przeklęty ślepy los, który ją rzucił do Teksasu. Usta wykrzywia jej niesmak i uraza, czuje w żyłach gniewne wzburzenie.  
„Lazarosie, gdzie jesteś? Dlaczego ciebie zabili? Czy twoje poświęcenie pomogło sprawie Meksyku? Kto o nas dzisiaj myśli, o tobie, pogrzebanym w ziemi, i o mnie w więzieniu? Gdzie są nasi towarzysze?”

Z trudem, dzięki sile woli, przezwyciężyła długotrwały zawrót głowy, w jaki wprawia ją jedno z tych ponurych wspomnień. Juana też ją przygnębia, to dziewczyna omamiona błyskotkami cywilizacji gringos. Jednakże kocha Meksyk, mówi o nim serdecznie. Ale to osoba słaba. „Muszę ją przekonać, żeby podzielała moje zapatrywania” - postanawia Anna przygryzając dolną wargę. Światło żarówki umieszczonej pod sufitem podkreśla bruzdy na twarzy Anny. Elżbieta obserwuje ją zadowolona z tej pierwszej konfrontacji. Anna uważa ją za naiwną i głupiotką. Z czasem będzie próbowała podporządkować ją sobie i wtajemniczyć w sprawy rewolucji. Czeka, mając rozbudzone wszystkie zmysły. Jej nozdrza i usta napędniają się odorem celi. Mdlącym, który wydobywa się z kubła z ocynkowanej blachy stojącego w kącie. I tym, jaki wydaje stęchły materac. I ostrą wonią środków dezynfekcyjnych. Tutaj każda godzina liczy się podwójnie. Elżbieta traci poczucie czasu bardziej, niż to było w więzieniu w Sonorze. Dochodząc wreszcie do sedna swej misji, nie wzywa już Boga na pomoc. Nie jest już mechanizmem ani potworem. Jest istotą wyjątkową, której doznania są niepowtarzalne.

Żarówka gaśnie. Noc przypomina gorzką miksturę zażywaną w ciszy albo otwierającą się bramę snu; jest jednym albo drugim. Tylko więźniarki to wiedzą.

- Roberta przydzieliła cię do robienia pudełek? - pyta Anna podnosząc się, kiedy Elżbieta wraca ze swej nowej pracy.

- Tak, to trudne.

- Mogłaś odmówić. Nie mają prawa zmusić cię do roboty.

Elżbieta przygląda się swoim poobcieranym palcom, pęcherzom na dłoniach. Świńska robota. Wolą być kelnerką. Pracownia pudełek jest widownią gwałtownych sprzeczek i absurdalnych konfliktów, umiejętnie podsycanych przez strażniczki i podżegaczki. Te ostatnie to prawdziwe przywódczyni gangu więziennego. Jedną z nich, Kate, przejęła handel narkotykami i zgarnia znaczne dochody przy współudziale niektórych strażniczek. Zepsucie panuje wszędzie.

Elżbieta opiera skroń o szybę zakratowanego okna. Za wysokim murem można zobaczyć wierzchołek wieży Transco okryty smogiem.

- Zmęczysz się jej widokiem - mówi Anna. Ta wieża to uluda.

- Jest piękna.

- Złudzenie. Houston to złudzenie. Miasto, które zdycha w swym wyścigu o zdobycie potęgi. Powietrze w nim jest zgniłe. Liczba zgonów spowodowanych przez raka płuc jest tu dwa razy wyższa niż w innych przemysłowych miastach. Sprawia mi przyjemność świadomość, że istnieje sprawiedliwość na tym podłym świecie, kara śmierci słuszna dla tych mieszkańców tak samo podłych, tak samo skorumpowanych. Cha! cha! Słodycz stolicy: ludzie doprawdy wielbią łajno!

- Nawet biedacy?

- Nawet oni. Czy możesz mi powiedzieć, co ich tutaj zatrzymuje? Oni wolą odpoczywać w Daer Park i oddychać wyziewami arsenu wydalanymi przez fabryki. Czepiają się rakowatych guzów stolicy w nadziei, że wcześniej czy później staną się bogaci, bardzo bogaci, niez-mier-nie bo-ga-ci. Wszystko jedno jakimi środkami. Ale ty znasz ich motywy, ty też chciałaś zdobyć jak najwięcej forsy handlując narkotykami.

- Bardzo tego żałuję.

- Pieniądze powinny służyć dobrej sprawie - mówi Anna zbliżając się do swej towarzyszki, która usiadła na krawędzi pryczy.

„Doszliśmy do sedna” - myśli Elżbieta. Propaganda zrobiła swoje. Udało się wciągnąć buntowniczkę na jej ulubiony teren. Przytakuje skinieniem głowy ostatnim słowom Anny, a jej mina wyraża żal. Od tej pory trzeba dawać jej do zrozumienia, że jest całkowicie takiego samego zdania jak ona, jak gdyby musiała to robić od dawna, a właściwie od młodych lat.

- To ty masz rację - mówi nieśmiało. Gdybym miała zacząć od nowa, wybrałabym walkę o wolność.

Anna czuje się wzruszona i zamyka oczy. Czuje bicie serca. Kiedy znowu otwiera oczy, czas zda się . |™, c^ua; c a u i r,.. J ? stac w miejscu. W więzieniu panuje spokój. Siada obok Elżb ety i bie. \ a ;

miAj | , , • y l uierze ią za rękę. Odnajduje w twarzy

młodej kobiety wyraz akieś siłv . - - |•

~\_ .. , .. / , J J\*"y a zarazem zaczepności, coś takiego,

co widywała kiedyś u Lazarosa r • ł i ^ • V

ramienia i }| d jej ręka sunie powoli wzdłuż przed-

zi ramię muska p0jczek j rozluźnia pukiel włosów.

- Zadaniem ducha jest ożvw; - -a i a

i j • . j ^jwic serce - mówi Anna łagodnym

i dziwnym głosem. - Przed toha Jt j \* • •

Hio a/i^\ r i • u , ^ długa droga, zanim się poświęcisz

dla Meksyku. I żeby do teo dr»;< • - i \* u i i |

będzie za dużo piCC U meg° Wca nie

Wygląda to na deklarację El>u- | u • xrl

„i,j » , . .tJ\*- Ł1<bieta marszczy brwi. Nie chce wyglądać na uległą. Nie w tym sens-

c • |• • | . v • i r,^,,,^ i „7 „ ' 5C»Sie. Sprawy nie rozwijają się tak, jak

przewidywała. Wpółotwarte ust., a /| u | • • r . di-u- t c , c U5>14 Anny

dotykają jej policzka. Elżbieta cofa się gwałtownie Pob, a • a V | • • • c jatywę

D1Jdza swój rozsądek, przejmuje mi-

- WybacZ6 mT- W tój ^

| , , , szePce Anną zakrywając twarz dłońmi. - Nie

chciałam. To było si nieisze r>H . \_ ,J . . , .

a i T niniejsze ode mme To JUZ tyk dawno...

Anna płacze. Ta kobieta któ^ ci u- \* • i | i, i • \* cJ.. , ' Kl°fą Elżbieta uważała za tak silną, jest

słaba mczym mała dziewczynie Elżbieta waha się z wzrokiem utkwionym w drżący kark

Anny. Trudno jej podzielać te udreke. A jednak - trzeba. „Wszystko '

w tej chwili powinnam zostać nigdy".

popsuję - rozmyśla. - To właśnie jej przyjaciółką, albo nie będę nią

śladach łez. szepcze z czułością. - Pożądanie jest

I zaczyna głaskać włosy Ann> i

stopniowo jej rezerwa znL™ skr\*Pow\*nem' P°tem

chylą się i składa pocałunek ^bejmUje przyClska d° ^ P°"

- Nie trzeba mnie pragnąć

czymś tak dalece pogrzebanym STw " ~"-7"< „;0i,,^ • | : | . y w głębi mego ciała, że prawie

zapomniałam o jego istnieniu. Wole • - |» u a- | | ? i ' | ^ c o mm nie mowie, nie budzie uczuć z

przeszłości. Czy to rozumiesz^?

- Tak, rozumiem - Anna n

ki;™; xt- • . ^X)ciąga nosem, przysuwając się nieco

bhzej. - Nie pogniewałaś się n- | o A u -

ciółką? mnie, co? Chcesz być moją przyja-

- Tak.

- Czuję się dobrze. Chciałaby • u • | • u -

ła o ojczyźnie auxo^/m, zebys ty... zebys mi jeszcze mowi-

Teraz Anna zachowuje się jak ofiara. Ta zmiana nie uchodzi uwagi Elżbiety.

- Nigdy nie opuszczę kogoś, kto cierpi, kobiety mojej krwi, Mek-sykanki. Twój ból jest moim bólem, to ból naszego narodu.



I wtedy Elżbieta dokonuje ostatniego manewru, tak długo przygotowywanego w DGSE i CIA: cytuje ukochany poemat zbuntowanych studentów meksykańskich.

Przejrzystość

(może warto zadać sobie trud  
i zapisać to na bieli  
tego arkusza)

Nie jest przejrzysta:

To szaleństwo

(żółtawe i czarne,  
nadmiar żółci, po hiszpańsku)

Wylane na arkusz.

Dlaczego?

Anna podnosi głowę. Uśmiech rozpromienia jej twarz, oczy rozbłysły radością.

- Znasz ten poemat? Znasz Octavia Paza?

- Kto nie zna największego obrońcy wolności?

- Pozwól, że dokończę - mówi Anna z egzaltacją.

Wstyd to gniew

skierowany przeciwko sobie:

Jeśli cały naród poniży się we wstydzie

Staje się lwem, który

czai się do skoku...

- Mów dalej, Juano, mów, proszę cię - mówi Anna tuląc w dłoniach twarz Elżbiety.

(Robotnicy

magistracy zmywają krew na Placu Ofiar). Spójrz teraz, Zhańbiona

Zanim powiedziała coś, Co zasługuje na karę, Ta przejrzystość.

Anna przypomina sobie. Anna biegnie na plac Trzech Kultur.

Anna słyszy detonacje. Twarze zwrócone ku czystemu niebu Meksyku wyrażają oszołomienie. To koniec marzeń... ale teraz jest Juana, towarzyszka zesłana, jak na skutek czarów, do tego jankeskiego więzienia. Wszystko jest możliwe. Wszystko może się rozpocząć od nowa.

25

Santiago, Chile, 20 lutego 1987

Krzyki rozlegają się w całym mieście. Syreny wyją. Gdzieś na ulicach brudnych, ale pięknych rozpaczliwym gwałtem, protestujący stawiają opór wojsku, trwa odwieczna, nie kończąca się walka. Melchior przysłuchuje się krzykom. Przypominają mu one odległą przeszłość spędzoną w nędzy, ale i przyszłość nie będzie wcale lepsza, gdyż, aby ją uczynić taką, trzeba jeszcze znaleźć w niej miejsce dla pragnień ludzkich.

Służący prowadzi go do salonu i wskazuje fotel.

- Proszę spocząć - mówi pochylając głowę.

Melchior zawsze widział go takim, zrezygnowanym, z opuszczonymi ramionami. Nic nie zachował z dumy swych indiańskich przodków.

- Zostaw nas - mówi jakiś głos do służącego.

Radimiro Mendoza stoi na progu drugich drzwi; wyciąga rękę do Melchiora.

- Dzień dobry, drogi przyjacielu, proszę wejść i rozgościć się.

Melchior wchodzi, kierując się do ciężkiego, artystycznie wykonanego biurka Chilijczyka. Zna dokładnie obrazy pokrywające ściany, z Chrystusem, apostołami, Najświętszą Panną. Oto aniołowie otaczający Jezusa, Dziewica między świętym Pawłem i świętym Piotrem, Matka Boska Wniebowzięta, Dziewica wśród dziewic, święty Jan... Radimiro zawsze pragnął zostać świętym, największym świętym, ale zgromadzenie tych obrazów ukazuje granice jego wiary.

Chce być podobny do tych obrazów w złotych ramach, zawieszonych na wybitych adamaszkim ścianach, być równie wspaniale ubranym, latać na złożonych skrzydłach, uczestniczyć w luksusie owego Boga malowanego przez niegdysiejszych artystów.

- Oto kontrakty - mówi bez ogródek Melchior podając plik papierów Radimirowi. - Czytanie ich jest zbędne, są takie same jak tamte, które już dałem panu do podpisu.

- Ależ ja panu wierzę - pośpiesznie mówi Radimiro.

Ręką ociężałą i niewprawną Radimiro podpisuje kontrakty. Przez tę transakcję nabywa potajemnie, na konto Szwajcara, dwa brytyjskie towarzystwa elektroniczne i trzy spółki panamskie, działające na rynkach złotem i służące za parawan.

Twarz ma bladą, woskową i tłustą. Można by go wziąć za trupa, gdyby nie oczy błyszczące chciwością. Już przewiduje, jakie zain-kasuje prowizje, i myśli o pozłoceniu sobie skrzydeł. Już nie czuje zmęczenia. Tu spoczywa nagroda, rekompensuje mu okres intensywnej działalności. W ciągu czterech lat był zajęty dzień i noc tworzeniem ośrodków rewolucyjnych, finansowaniem spisków przeciwko armii Pinocheta, kontrolowaniem syndykatów i partii lewicowych, wspieraniem Kościoła w jego roszczeniach. Ciężka praca wykonywana w tajemnicy. Kiedyś, być może, po odniesieniu zwycięstwa, wejdzie w skład nowego, socjalistycznego rządu, a wtedy będzie musiał respektować zobowiązania zaciągnięte wobec Saschauera. Składa ostatni podpis: „Mendoza”, duże „M”, a za nim „oza” przekreślone trzema kreskami, i wręcza umowy Melchiorowi.

Doskonale - mówi ten ostatni. - Jest pan jednym z najbardziej zainteresowanych ludzi z kartelu.

- Nienawidzę Amerykanów. „Recovery”, oto co potrafią najlepiej zdziałać. Ameryka Łacińska zrozumiała lekcję.

Umieć pokierować swą nienawiścią - oto prawdziwa sztuka. Wymaga to czasu, pośpiech szkodzi inspiracji.

- Jestem już stary. Czy będę miał szczęście zobaczyć, jak pańskie wysiłki się konkretyzują?

- Tak. Rozgrywka dobiega powoli końca. Meksyk i Filipiny pograżają się. Argentyna i Korea idą tuż za nami. Indonezja, Brazylia i pański kraj stoją na skraju rewolty.

- Pinochet nie wytrzyma długo. Wkrótce siły ludowe obejmą władzę.

- Wasze zwycięstwo będzie podzwonnym dyktatury. Świat, nawet nie wiedząc o tym, świętując powrót do demokracji, będzie w rzeczywistości świętował koniec pewnego cyklu.

Melchior wyobraża sobie tę chwilę, kiedy bankierzy znajdą się bez grosza, splukani do ostatniego centyma. Ten dzień jest bliski. Załamanie się będzie szybkie, ponieważ wszystkie banki są w sytuacji niepewnej, zaś gospodarka świata zachodniego i Wschodu znalazły się w stanie recesji. Już mamy pierwsze tego zwiastuny: trudności ze zbytem na rynkach samochodowym, mieszkaniowym i informacyjnym. Melchior ma swój ogólny pogląd na rozkład, który ogarnia Stany Zjednoczone, Europę i Japonię. Już widzi tam ograniczenia walutowe wobec spekulacji giełdowych. Mit o równowadze finansowej wkrótce zostanie zburzony, kiedy on o tym zadecyduje, kiedy nakaże dwóm, trzem albo siedmiu krajom-członkom kartelu przestać spłacać długi. W tej panice, jaka wyniknie, ogólne wycofywanie wkładów obejmie wszystkie kraje z szybkością przekazów satelitarnych i pograży cały międzynarodowy system bankowy w stanie niewypłacalności. Już od tak dawna Melchior pragnie zniszczyć ten system dla odbudowy lepszego świata.

- To się nam uda - kończy.

- Jak będziemy teraz działali? - niepokoi się Radimiro, wpatrując się w Melchiora z podwójnym respektem.

- Proszę nadal utrzymywać wasze grupy pod naciskiem. Broń, której wam potrzeba, zostanie wyładowana w Valparaiso, Coquimbo i Antofagasta. Będę z panem w bezpośrednim

kontakcie za pośrednictwem Carlosa Cisco-Dieza, gdyż poczynając od dzisiaj muszę z bliska śledzić wydarzenia w Meksyku. Od tej pory właśnie tam będziemy się spotykali co trzy tygodnie. Zakładam moją kwaterę główną w Meksyku. Amerykanie już ledwo dyszą. Szukają mnie w Europie.

Melchior wstaje z fotela i kieruje się do okna. Hałasy i syreny ucichły. Ze wspaniałego mieszkania Radimira roztacza się wspaniały widok na dolinę Santa Lucia, łuk triumfalny, na pasmo Andów, na nierówną linię callampas\*, gdzie gnieźdzą się godni pożałowania przybysze ze wsi, mający nadzieję na znalezienie pracy w mieście.

\* Callampa w Ameryce Łacińskiej oznacza grzyb. Tutaj - callampas zwane są dzielnice slumsów, zajmujące obszerne przestrzenie na peryferiach Santiago. (Przyp. aut.)

Nawiedzeni i ubodzy duchem. Załączek rewolty. Oni się boją, odczuwają chłód i głód, drżą, modlą się i czekają na śmierć Pinocheta, marzą o wolności: cień Allende jeszcze unosi się nad pałacem Mone-da.

„Głupie bydlaki - myśli Melchior. - To Allende zrobił z nich to, czym są: najbiedniejszych spośród biednych”.

Po kilku dniach

- Wszyscy jesteście bardzo wysoko postawionymi osobami, odpowiedzialnymi za finanse w swoich krajach, żądam od was, abyście wzięli pod uwagę, iż wkrótce przestaniecie spłacać te długi - mówi Melchior do siedmiu odpowiedzialnych osobistości kartelu krajów najbardziej zadłużonych na świecie.

- To szaleństwo!

- Zbiorowe samobójstwo!

- Nie macie wyboru - ripostuje Melchior. Nie wy jedni jesteście zamieszani w tę sprawę. Będziecie mieli oparcie w waszych dyplomatach, w żywotnych siłach narodu, i moje poparcie. Nie protestujcie, już od dawna marzycie o tym, żeby rzucić na kolana kraje, które udzielają pożyczek: Stany Zjednoczone, Francję, Kanadę, Japonię, Wielką Brytanię... To przekroczy nawet wasze nadzieje: ich upadek pociągnie za sobą upadek Związku Radzieckiego. Wyobraźcie sobie reakcję łańcuchową, która wstrząśnie systemem finansowym i politycznym naszej planety. Wyobraźcie sobie tę burzę, która zmiecie dolara, i ten gigantyczny krach, który po niej nastąpi. Wyobraźcie sobie zwyżkę cen złota, nowej ostoji wartości, w które będziecie obficie zaopatrzni, już poleciłem przekazać kilkadziesiąt sztabek do każdego z waszych sejfów w Genewie.

- Ależ to nie takie proste! - wykrzykuje Lung, odpowiedzialny za Koreę.

- Na pewno, zgadzam się z tym, ale mamy jeszcze sporo czasu przed sobą. Żądam od was, byście zastanowili się, jakimi metodami wprowadzić w czyn politykę odmowy. Zaczniście działać gruntownie, posługujcie się środkami masowego przekazu, połączcie się ze stronnictwami opozycji.

- A jeśli się nam nie uda? - rzuca pytanie Joachim Alvez.

- Na pewno się wam powiedzie - stwierdza Melchior.

- Jak pan może być tak pewny swego? - rzuca pytanie Joachim Alvez.

- Mam taki dar, drogi Alvezie, prosty dar, którego pan nie posiada.

- Niech pan nie dowierza temu darowi, Saschauer. Mimo swej dymisji Casey\* jest wciąż na pańskim tropie.

- Dzięki za radę. Oczekując spełnienia naszych marzeń, wypijmy za współpracę - mówi Melchior, podchodząc do tacy postawionej przez służącego. - Za kartel!

- Za kartel! - woła natychmiast Mendoza, a za nim jego koledzy.

- Mendoza wręczy każdemu z was teczkę. Znajdziecie w niej protokół posiedzenia, wstępny projekt i spis agentów nadających się do pomocy w prowadzonej przez was propagandzie. Spotkamy się za sześć miesięcy w mieście Meksyk. Wkrótce otrzymacie dyrektywy dotyczące tego spotkania. Do zobaczenia, panowie.

Po tych słowach Melchior opuszcza salę zebrań. Na zewnątrz oczekuje Jimmy, który nie dostrzegł nic podejrzanego. Zabójcy nasłani przez Caseya wciąż szukają Detmera po drugiej stronie Atlantyku.

26

Meksyk, 21 marca 1987

Ogłuszony wrzawą mężczyzna o jasnych oczach opuszcza bar i wychodzi na aleję Los Insurgentes. Tkwi tam przez kilka chwil samotnie.

Słońce zamiera, tak jak zamiera Meksyk i cały świat. Śmierć jest wszędzie. Śmierć jest w nim samym. Mężczyzna o jasnych oczach nie obawia się jej. Ze wszystkich rzeczy ostatecznych, jakie sobie wyobraża, jej obawia się najmniej. Posuwa się krokiem mechanicznym, jest pewny siebie. W tym mieście, do którego przybywał wielokrot-

\* Casey, z powodu nekającego go guza mózgu, musiał podać się do dymisji na początku 1987 r. Zmarł kilka miesięcy później. (Przyp. aut.)

nie i gdzie już wykonywał niebezpieczne zadania, stosuje swoją logikę zawodową do danych, jakimi rozporządza. Zna zwyczaje swej przyszłej ofiary i jej skłonności, wie, jak spędza czas.

Może niepostrzeżenie iść jej śladem. Nawet cudzoziemcowi łatwo jest zniknąć na przeludnionych ulicach Meksyku, zwłaszcza jeśli podaje się za Amerykanina z San Diego.

Uśmiecha się i zmienia trasę po przecięciu szerokiej alei Los Insurgentes, zapchanej autami.

Urodził się na myśliwego. Jego ojciec polował na niedźwiedzie. On poluje na ludzi.

Przyjemność, ale nakładająca wielkie ograniczenia: nigdy nie pić, nie nawiązywać przyjaźni,

nie kochać, nie mieć dziecka, ćwiczyć się całymi latami, jak zabijać na wszelkie możliwe

sposoby, poczynając od gołych rąk do najbardziej wymyślnej broni, nie kwestionować

rozkazów, należeć ciałem i duszą do CIA, znać piętnaście języków, zawsze stosować szyfr w

rozmowach telefonicznych z ambasadą, być człowiekiem zaufanym, innymi słowy potrafić

popęlnić samobójstwo w razie uwięzienia przez wroga. Wciąż się uśmiecha. Zdaje się iść

ulicami na chybił trafił, jak dziki zwierz, zaznaczający swe terytorium. Pozwala, aby

przenikały go ciężkie wyziewy restauracji, stęch-lizna zaułków, woń starych zmurszałych

domów kolonialnych, opary benzyny, zapachy wody kolońskiej, którą zlane są ciała

dziewczyn zatrudnionych w biurach, próbujących zaokrąglić swoje skromne zarobki podczas

jednego albo dwu wypadów do dzielnicy rozpusty. Przechadza się bez pośpiechu, zamyślony,

między przekupniami, dziewczynami, brzuchatymi kobietami, żebrakami o zmierzwionych

brodach i młodocianymi złodziejaskami. Jest zadowolony, że się tutaj znajduje. Radość jego

wzmaga nie tylko upojenie, jakie noc meksykańska przynosi cudzoziemcom, ale poczucie

niezmiernej wyższości i niezwykłości.

- No, no, szefie, jaka piękna dzielnica. To wygląda jak Harlem, ja się znam na tym - cieszy się Jimmy, mrugając w stronę Melchiora.

- Bez tego dna miasto nie miałoby duszy. Kiedyś myślałem inaczej, ale się myliłem. Dno to jest życie.

- Racja, szefie. Ty, kretynie! - ryczy, hamując. - Wszyscy oni jeżdżą jak ślepi w tej dziurze! Ale co to właściwie znaczy dno?

- Dno to między innymi i to - odpowiada Melchior, wskazując palcem wejście oświetlone zielonymi i czerwonymi żarówkami.

Jimmy natychmiast zwalnia. Wśród ogólnej obojętności, otoczona kurewkami wszelkiego pokroju (trzy pokolenia kobiet wypacykowanymi na jaskrawoczerwono i lśniącoczarno, z zaznaczonym jasnym błękitem) - dwunasto- lub trzynastoletnia dziewczynina obrabia z zapalem ustami długi, miękki penis starszego czcigodnego pana. Gdyby nie sprośne śmiechy kobiet, wybuchające od czasu do czasu, to miejsce wydawałoby się niemal spokojne. Mało ruchu, powolna zmiana gestów i poz; jakiś malarz mógłby utrwalić tę scenę na płótnie: kobiety, skurcz na zaczerwienionej twarzy starszego, czcigodnego pana, wydęte wargi smarkuli...

\_ Zrozumiałem - chichocze Jimmy. - Dno to deprawacja nieletnich.

Melchior nie ma chęci zagłębiać się w nieskończonych objaśnieniach, woli pozwolić Jimmy'emu przebudowywać świat na swój sposób.

Auto sunie ulicami, wzdłuż których, po obu stronach, ciągną się wielobarwne szyldy, zapelnionymi włóczęgami i turystami. Dziewczyny roją się setkami, a ich nogi, gołe albo opięte nylonem, ulegle ustawiają się w szereg wzdłuż chodników. To rozpasanie cielesne musi przyciągać oczy Jimmy'ego, które poruszają się bez przerwy. Od czasu ich pośpiesznego wyjazdu ze Stanów szef zawsze każe się zawozić do miejsc najbardziej odrażających na całym globie ziemskim. Za każdym razem, kiedy wynajmuje samochód, włóczy się po zakazanych dziurach. Spotyka tam dziwnych mężczyzn i tajemnicze kobiety. Czasami bierze inny samochód, a jemu każe czekać; czasami być w pogotowiu, zbadać otoczenie, zapewnić mu ochronę.

Jimmy uwielbia takie życie. W niedługim czasie zwiedził Santiago, Rio de Janeiro, Manilę, Buenos Aires, Damaszek, a teraz Meksyk.

- Będziemy przez pewien czas mieszkali niedaleko stąd - mówi Melchior. - Niedługo przyłączy się do nas Karl i zamieszkamy w dużym domu, który mam w Cuernavaca.

- Czuję, że będzie mi się tam podobało - nawiązuje rozmowę Jimmy, chociaż obecność Karla, którego spotkał tylko jeden raz w Rio, bynajmniej go nie zachwyca.

- Skręć w lewo i jeszcze raz w lewo. Jedź prosto.

Jimmy wykonuje polecenie. Wkrótce ukazuje się ogromny plac Zócalo, otoczony katedrą, Pałacem Narodowym i ratuszem. Melchior prostuje się na siedzeniu, jakby szukał kogoś w pstrokatym tłumie metysów rozstępującym się przed latarniami samochodów.

- Zatrzymaj się - mówi nagle, uderzając Jimmy'ego po ramieniu. Z tego miejsca, gdzie się zatrzymali, widzi Belmana w środku

grupy starców, którzy schylają się powoli, upokarzając się w najwyższy sposób szukaniem niedopałków.

- Czekaj na mnie tutaj.

- Mam czekać i być gotowym do interwencji czy też czekać i próbować szczęścia u tej tam brunetki z szerokim tyłkiem.

- Próbuj szczęścia.

- Kapuję, szefie. Do zobaczenia.

Melchior zostawia go i kieruje się w stronę Belmana. Amerykanin uśmiecha się szeroko na jego widok.

- Pan Saschauer. Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś pana zobaczę.

- Widzę, że jak zawsze jest pan optymistą.

- Proszę popatrzeć na tych starców, ich życie to tylko krótki koszmar, który przerywa śmierć. A śmierć jest tutaj wszędzie. Ściga nawet pana poczynając od Waszyngtonu.

Melchior przełyka ślinę i odwraca głowę, żeby przyglądać się dalej powolnemu posuwaniu się starców po betonie. Poza Nowym Jorkiem i Rio żadna inna metropolia świata nie stwarza tym nocnym włóczęgom tylu okazji do stania się ofiarami napadów na każdym rogu ulicy.

Piętnaście milionów mieszkańców tłoczy się w tej niecce, gdzie każdego dnia, wraz ze spadkiem wartości peso w stosunku do dolara, wyrastają trudne do wyobrażenia wysepki nędzy i przemocy. Jeśli Melchiora ściga zabójca, nie ma żadnej szansy umknienia mu.

- To ktoś specjalny. Powierzono mu zlikwidowanie pana.

- Specjalny? dziwi się Melchior.

- Przed swym odejściem pański przyjaciel Casey zostawił wskazówki swemu następcy. Partia republikańska przegrywa z każdym dniem. Komisje i dochodzenia stoją w miejscu, a opinia publiczna się niepokoi. Reagan ma trudny koniec swej kadencji. A jednak stawia temu czoło pewny poparcia ze strony Ameryki. Potrzebuję pańskiej pomocy.

- Pan czy partia demokratyczna?

- Moi przyjaciele byliby panu wdzięczni za zwrot pewnych papierów, które znikły.
  - Co ofiarowują w zamian?
  - Ocalenie życia i pięćdziesiąt milionów dolarów.
  - Kto mnie zapewni, że dotrzymają słowa?
  - Albo się pan godzi, albo nie. Proszę się zastanowić... Będzie pan mógł zupełnie bezkarnie nadal knuć swoje drobne spiski z pewnymi dygnitarzami politycznymi i finansowymi Ameryki Łacińskiej.
  - Jest pan dobrze poinformowany.
  - To moja praca. Pan chce robić pieniądze na krajach przeżywających kryzys, to nie jest eleganckie, ale to nie moja sprawa. Chętnie pozostawimy panu ten handel, bo może pewnego dnia poprosimy pana o wyświadczenie nam paru drobnych przysług.
  - Rozumiem - dochodzi do wniosku Melchior. - Nowe „Recove-ry”.
  - Dlaczegoż by nie?
- Melchior ma wielką chęć roześmiać się: robić pieniądze na krajach przeżywających kryzys. Belman jest bardzo źle poinformowany, sądzi, iż Melchior jest podobny do innych bankierów. Ale on już od dawna nie należy do ich rodziny, a wraz z nim wielu innych. Belman nie patrzy dalej niż poza wybory prezydenckie w 1988; chce, żeby Ameryka utrzymała się na pierwszym miejscu, bez względu na cenę. Mało go obchodzi, że pojawiłoby się pięćset milionów dodatkowych biedaków na kuli ziemskiej. Łajdak... I właśnie przeciw takim łajdakom Melchior prowadzi wojnę.
- Otrzymacie papiery w ciągu tygodnia - mówi wreszcie. - Dla mnie one nie mają już żadnego znaczenia.
  - Doskonale! - wykrzykuje Belman. - Oto mądra decyzja; nie trafi pan na niewdzięczników.
  - Nie wątpię - odpowiada Melchior myśląc z goryczą o wdzięczności prezydenta Reagana i jego ekipy.
  - Gdzie może pan spędzić tę noc?
  - U mego przyjaciela Carlosa Cisco-Dieza.
  - Znam go. Proszę udać się tam natychmiast i nie wychodzić, aż zatelefonuję, że wszystko jest okay. Zajmuję się pańską ochroną.

W martwocie nocy kobiety, siedzące na kanapach, szepczą ploteczki o prezydencie Miguelu z Madrytu. Ich klejnoty mieniają się tysiącem ogni i konkurują z blaskiem kryształowych żyrandoli ogromnego, marmurowego salonu wychodzącego, na ogrody. Niektóre z nich, o umysłach zmaconych szampanem, podlegają do nowych pokus. Zawieść i aspiracje rosną w nierównym stopniu w poważnych grupach zebranych panów, ale stają się coraz większe u wszystkich, w miarę upływu czasu i wypitego alkoholu.

Melchior, będący obiektem pożądania, zmusza się do paru uśmiechów, jakie staramy się rozdawać na przyjęciach, które są nam obojętne. Wiele z tych kobiet mogłoby być zabójcą, o którym mówił mu Belman. Również owa Francuzka puszczona w pościg za nim. Zastanawia się nad nią. Jakie mogą być motywy, popychające ją do wypełnienia tak niebezpiecznej misji? Czy Francuzi wiedzą o czymś, o czym nie wiedzą Amerykanie? Może dowie się o tym pewnego dnia, jeżeli ta kobieta dotrze do niego? Zapomina o niej...

Nie powinien był tu przychodzić. Carlos Cisco-Diez wydaje przyjęcie. Finansista kończy swoje przemówienie i wznosi toast na cześć Republiki. Potem wśród gorących oklasków przyłącza się do dyrektorów banków obecnych na jego przyjęciu: świetnych rzeczników surowości obyczajów i odnowy ekonomicznej. Melchior zna niektórych. Cisco robi dobrą robotę. Bank Atlantycki, Narodowy Bank Meksyku i Banco Mexicano są obecnie w ich obozie.

- Pan był doskonały - wtrąca Melchior, kiedy niewysoki Meksykanin o posrebrzonych siwizną włosach zbliża się do niego z szeroko otwartymi ramionami, rzucając tym wszystkim, którzy mu winszują: „dziękuję, drogi przyjacielu!”

- Optymistyczne podejście, tylko to chcą usłyszeć.

- Ochłoną z tego. Rzucający się w oczy upadek gospodarki w Stanach Zjednoczonych w ciągu następnych dziesięciu miesięcy pogorszy wasz bilans płatniczy i powiększy zadłużenie na zewnątrz.

- Wszyscy o tym wiedzą, ale wolą udawać ślepych. Czemu mam zaszczyt zawdzięczać pańską wizytę? - pyta nagle zaniepokojony Cisco, odciągając gościa na bok. - Sądziłem, że byliśmy umówieni na pojutrze.

- Tak, rzeczywiście, ale postanowiłem przyspieszyć nasze spotkanie z nagłących względów bezpieczeństwa. W ostatnich czasach świat się burzy, waluty się burzą, rynki się burzą w sposób anormalny. Poczynając od przyszłego tygodnia wszyscy odpowiedzialni za naszą organizację powinni połączyć się w celu ostatecznego przygotowania naszego pierwszego uderzenia. Od dziś do końca roku, w stosownej chwili wycofamy w sposób bezwzględny wszystkie nasze aktywa z banku Sanwa i banku Tokai i odsprzedamy wszystkie nasze walory japońskie. Moim celem jest stworzenie lekkiego braku równowagi w planowaniu japońskim, spadku wartości jena i wywołanie niepewności we wszystkich placówkach finansowych, a nawet strachu u tych, którzy już nie mają środków dla pokrycia ogromnych i niepewnych wierzytelności krajów rozwijających się, które zwróciły się, pełne nadziei, w stronę Japonii. Recesja na rynku międzynarodowym smagnie jak biczem małe banki amerykańskie, które utrzymują się przy życiu dzięki nieprzemysłanym zaangażowaniom w nieruchomości i interesy rolne. Nasze wycofanie powinno spowodować całą masę bankructw w ciągu osiemdziesiątego ósmego roku. My będziemy podtrzymywali napięcie. Chcę, żeby idea nowego planu Marshalla, proponowana przez Henry'ego Kissingera, zakorzeniła się w umysłach.

Melchior mówi, rozwija temat bez zastanawiania się. Jedyne sposoby, żeby zapomnieć o czającym się niebezpieczeństwie. Atakuje swoją bronią - pieniędzmi, a montowany przez niego plan napelnia go pewnego rodzaju dzikim podnieceniem.

- Wielu z tych, których powinniśmy przekonać, albo już to uczyniliśmy, znajduje się tutaj dzisiejszego wieczoru - mówi Cisco.

- A więc proszę im w dalszym ciągu schlebiać, nie opuszczać ich, dostarczyć im wszystkiego, czego pragną; my zobaczymy się później. Muszę pozostać sam, żeby pracować i telefonować.

- Proszę skorzystać z mego gabinetu - spieszy dorzucić Cisco. - Ramon pana tam zaprowadzi. Ramonie!

Ciemnolicy służący, przesadnie wystrojony w złocisty brokat, w białej peruce na głowie, mija grono gości, kłania się Melchiorowi, słucha poleceń Cisco i bez słowa znika z salonu.

Melchior podąża za nim krok w krok i - opuściwszy przyjęcie, w nagłej ciszy - myślami wraca do swych nieprzyjaciół; tropią go: specjalny agent, nieco zbyt interesowny Belman i ten Casey, dogorywający niczym banki, które go wspierają, i jakaś nieznana Francuzka...

Przebrany służący kłania się raz jeszcze i otwiera skrzydło rzeźbionych drzwi.

- Dziękuję - mówi Melchior. - Na parkingu jest mój szofer, Murzyn. Znajdź go i przyprowadź. Powiedz mu, że pan Saschauer go potrzebuje.

- Tak, prędszę pana.

Trzy minuty później zjawia się Jimmy. - W porządku, elegancie, spływaj - mówi do służącego.

- Nie zauważyłeś nic podejrzanego? - pyta Melchior, gdy tylko za służącym zamknęły się drzwi.

- Nie, szefie. Tylko jakaś parka całuje się koło basenu i jakiś grubas pilnuje gości.

- To Miguel, obstawa Cisco.

- Obstawaj czy nie, mam flintę na wypadek, gdyby pojawił się tu ten gnój z CIA. Jimmy podchodzi do okna i między szparami żaluzji patrzy na ciemne skupiska drzew. Nagle wszystkie cienie nabrały groźnego wyrazu.

Człowiek o jasnych oczach, którego Belman nazywa „specjalnym”, tkwi nieruchomo przed muzykami mariachi, którzy zabawiają kawiarnianych gości. Jakaś podstarzała nimfa natychmiast zaczyna przypatrywać mu się dyskretnie spod sztucznych rzęs, zaokrąglając usta w obiecujący dzióbek. „Specjalny” pozostaje niewzruszony. W jego mózgu w błyskawicznym tempie przewijają się kolejno wydarzenia ostatnich godzin. Gdzieś tu powinien znaleźć Saschauera i jego czarnucha. Ta muzyka działa mu na nerwy, ale musi jeszcze trochę poczekać w tym przeklętym miejscu.

Znowu zaczepia go blondyna, a tym razem jest to atak na całego. Rozchyła uda i wystawia na jego spojrzenia swą ogoloną płeć. Szpara o sflaczałych i fioletowych wargach nasuwa mu myśl o kre-matoryjnym piecu, o obrzydliwym otworze studni, w którym pogrążają się miliony członków z syfilisem, rzeżączką, łuszczycą, grzybicą.

„Gdzie jest Detmer? Gdzie on się ukrywa?”

Powinien być gdzieś tutaj, na tarasie tej kawiarni. Powiedziano mu, że spotka tu informatora. Ta informacja była pewna w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Jest wprost nie do pomyślenia, aby mogła okazać się fałszywa, mimo że czas upływał.

Blondyna tkwi przed nim w pozie, która wyzwala w nim mordercze instynkty.

- Czy chciałby pan uzyskać odpust - słyszy nagle po angielsku. Zdanie-hasło. „Specjalny” odpręża się. To właśnie informator ambasady, posępny, szary mężczyzna, ubrany jak biedak.

- Żaden człowiek nie może liczyć na odpust - odpowiada.

- Znam jednego takiego.

- Gdzie on jest?

- U niejakiego Dieza, proszę za mną.

Agent specjalny i ponury mężczyzna rzucają sobie spojrzenie bez wyrazu. To dawne przyzwyczajenie agentów, których nic nie wzrusza. W zabójcy zaczyna szybciej krążyć krew. Świadomość, że za chwilę przystąpi do akcji, zwiększa wrażliwość jego zmysłów. Za parę minut zobaczy swą przyszlą ofiarę. W ten sposób go ukształtowano, według metody telepatycznego przekazu, odpowiadającej pletyzmograficznemu\* systemowi, opracowanemu przez badaczy bio-łączności.

Ponury mężczyzna wsiada na motor. „Specjalny” usadawia się za nim. Po piętnastu minutach jazdy opuszczają różową strefę, mijają zamek Chapultepec i kierują się ku zachodowi.

Tysiące ludzkich sylwetek przyciąganych przez bogate centrum stolicy opuszcza robotnicze, peryferyjne dzielnice. Lecz nie należą one do świata „Specjalnego”. Widzi je wyraźnie na chodnikach, przed ponurymi blokami, w pobliżu nie zabudowanych okolic, lecz są to tylko cienie. Usuwa je ze swojej świadomości. Liczy się tylko Detmer.

- To tu - mówi ponury mężczyzna, wyłączając motor.

Znajdują się poza miastem, na wzniesieniu, za miasteczkiem uniwersyteckim. „Specjalny” pozostawia swego przewodnika, oddala się sprężystym krokiem i podąża wzdłuż muru zwieńczonego ozdobną kratą z kutego żelaza. Dochodzi do okazałej bramy, strzeżonej przez dwa kamienne lwy, z grzywami opadającymi długimi pasmami po-

\* Pletyzmograf - aparat pozwalający rejestrować zmiany natężenia zachodzącego w układzie naczyniowym na skutek zmian w przepływie krwi. (Przyp. aut.)

między łapami, i trzech cywilów. Mężczyźni rozmawiają nie zwracając uwagi na niego.

Mógłby ich łatwo zabić, ale byłby to błąd.

Z niewzruszoną twarzą „Specjalny” kontynuuje swe oględziny, przeskakuje od drzewa do drzewa i bada mur, a następnie kratę z zaostrzonymi u góry końcami. To żadna przeszkoda.

„Specjalny” bierze rozpęd, podbiega, skacze i chwytą się żelaznych spirali zdobiących i



wzmacniających kratę. Bez wysiłku podciąga się na przegubach rąk, zręcznie przerzuca nogi bokiem, wreszcie wyprostowuje się i przelatuje ponad zaostrzonymi końcami. Bez szmeru zeskakuje do ogrodu. Dookoła cisza. Przebiega kilkadziesiąt metrów. Wreszcie, "pomiędzy gałęziami poruszonymi przez wiatr, przeblyskują światła domu. „Specjalny" bezszelestnie prześlizguje się aż pod oszklony wykusz okna, za którym przesuwają się sztywni i napuszeni mężczyźni i kobiety. Przyczają się, nie myśląc o niczym, ogarniając każdą z twarzy swym lodowatym spojrzeniem. Detmera nie ma.

Okraża dom, który jest znacznie większy, niż sądził. Ani jednego światła, cała tylna część pogrążona jest w mroku. Pusty basen sięga zaokrąglonym końcem aż po ukwiecone arkady. Nigdzie ani żywej duszy. Mija róg domu i w tym momencie słyszy jakby trzask suchej gałęzi. Odwraca się gwałtownie. Mężczyzna o ciemnej cerze i posturze boksera wagi ciężkiej chwytą go za kołnierz kurtki i przyciąga do siebie.

- Co tu robisz? - pyta, stropiony niesłychanie wyrazistym i ostrym spojrzeniem obcego. Ten nie odpowiada.

- Kim jesteś? - pyta zniecierpliwiony Meksykanin. „Specjalny" wymierza mu cios w skroń, chwytą za rękę i wykręca

do tyłu. Meksykanin wydaje okrzyk i wierzga, próbując się uwolnić. Na próżno. Przeciwnik chwytą go za długie włosy, tłucze głową o ścianę, wreszcie dusi go nylonową żyłką.

- Wydaje mi się, że słyszałem krzyk - mówi Jimmy patrząc z niepokojem w kierunku ogrodu. Błyskawicznie wyciąga z kieszeni pistolet, jednym skokiem jest przy oknie. W tym czasie Melchior gasi światło i podchodzi do Jimmy'ego.

- Zobaczą, co się tam dzieje - szepce Jimmy.

- Tylko ostrożnie - odpowiada Melchior.

- Szefie, z tym niczym nie ryzykuję - śmieje się Jimmy, pokazując broń. - W Harlemie szybciej uczymy się posługiwać nożem i flintą, niż czytać i pisać.

Pewny swego odciąga zasuwę okna i czeka jeszcze chwilę.

„Specjalny" wietrzy zwierzynę. Wyczuwa rzeczy, o których zwykli ludzie nie mają pojęcia. Umie dostrzec to, co niewidoczne, fale płynące od istot i kamieni. A przede wszystkim strach, który się wydziela od tych dwóch mężczyzn, zamkniętych w pomieszczeniu o pięć metrów od niego. Przyczają się obok stopni niewielkich schodów, prowadzących na murowany taras, okalający cały parter tej części domu. Następnie rozpina koszulę i odsłania tors. Niewielki woreczek przyklejony plastrem tworzy nieduże wybrzuszenie na wysokości pępka.

„Specjalny" jednym szarpnięciem odrywa woreczek, otwiera go zębami i posypuje ręce drobnym, białym proszkiem w nim zawartym. Teraz jest gotów, zadał sobie wiele trudu, aby dotrzeć aż tutaj. W mieście, podczas niespodziewanego spotkania, wszystko byłoby proste:

„Dzień dobry panu. Ach! Przepraszam, wziąłem pana za kogoś innego!" Nie ma innego wyboru. Musi ryzykować, by jak najszybciej wypełnić swą misję. Czas działa na jego niekorzyść. Każda następna godzina pogarsza jego sytuację. Patrzy na swe ręce, nie lubi używać tego proszku. Przenika go dreszcz. Uśmiecha się jednak: ci dwaj mężczyźni robią dokładnie to, czego sobie życzył: otwierają okno. Nie ma wątpliwości. We framudze ukazują się Murzyn. Za nim Detmer.

- Nie zdawało mi się - mówi Jimmy, kręcąc młynka pistoletem. - Jestem pewien, że słyszałem krzyk.

Szczerki Melchiora zaciskają się, gdy posuwa się tarasem w ślad za Jimmym.

- Jak nic, gdzieś tu w kącie kryje się jakiś przycupnięty śmieć... Cholera! - wykrzykuje Jimmy.

Po jego lewej stronie raptownie pojawia się cień. Czuje gwałtowne uderzenie w ramię. Czyjaś stopa wybija mu z ręki broń. Ta sama stopa rozgniata mu nos. Pada ogłuszony.

Melchior staje w pozycji gotowej do walki, z rękami wyciągniętymi do przodu, by stawić czoło temu straszliwemu przeciwnikowi, który w trzy sekundy pozbył się Jimmy'ego. Cofa się, chcąc zyskać na czasie, nie spuszczając mężczyzny z oka.

- To na nic - mówi tamten. - Nie ma pan żadnych szans. Zęby „Specjalnego” błyszczą między rozchylonymi wargami. Pochyla się, rozluźnia i nim Melchior zdążył się uchylić - dotyka obu rękami jego twarzy.

Melchior nieruchomieje. Bezsilny, powtarza w myśli: „Zabije mnie, on mnie zabije”. Tymczasem nic się nie dzieje. Niczym akrobata „Specjalny” jednym skokiem jest w ogrodzie, rzuca się ku drzewom. Precyzyjny w ruchach, sprężystymi skokami przesadza jeden żywopłot, potem drugi, niemal frunie w kierunku muru. Jimmy, który właśnie się podniósł, chwyta za swą broń, lecz nie strzela: „Specjalny” nagle się zachwiał, coś zatrzymało go w biegu. Pada nieruchomo na ziemię.

Jimmy i Melchior rzucają się ku niemu i nieruchomieją: w piersi, na wysokości serca tkwi nóż.

- Ciii! - Ktoś nagle wyłania się z krzaków.

- Jasna cholera! A ten skąd się wziął?

- Zamknij się - mówi mężczyzna wyjmując nóż z ciała zabitego.

- Wszystko w porządku, panie Saschauer?

- Belman?

- Tak. Czy wszystko w porządku?

- W jak najlepszym... Tylko nie rozumiem nic z tego, co się stało. Dotknął mnie tylko i uciekł.

- Mówi pan, że tylko pana dotknął - powtarza Belman z przestachem. - Gdzie... gdzie pana dotknął?

- Twarz.

- Cholera.

- Dlaczego? Co to znaczy?

- Byłoby dobrze dla pana, żeby on miał przy sobie to, co trzeba

- mruczając pod nosem Belman kuca, by przeszukać zwłoki. Wywraca kieszenie kurtki i wyjmując to, czego szukał: flakonik

wypełniony płynem podobnym do wody. Odkręca kurek i podaje buteleczkę Melchiorowi.

- Część proszę wypić, resztą obmyć twarz.

Mam to wypić?

- Proszę pić, bo inaczej będzie pan martwy w ciągu paru dni. To antidotum, które on powinien był zażyć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin po roztrąciu na rękach trucizny: wyprodukowane w naszych laboratoriach. Jest to oryginalna i skuteczna metoda, którą wykradliśmy Rosjanom\*. Spotyka pan kogoś, mówi mu dzień dobry, ściskając dłoń, i wkrótce ten ktoś umiera. Teraz pan wie, co panu groziło. Musi pan ukryć się gdzie indziej. Gdy tylko odzyska pan przychylność Białego Domu, powiadomię pana. Jeśli chodzi o trupy, każę je uprzątnąć moim ludziom.

- Każę je pan uprzątnąć? Jak to, jest jeszcze ktoś inny? - pyta Jimmy, który od początku tej rozmowy nie wierzy własnym uszom: proszek, Biały Dom. Nie zdziwiłby się, gdyby z basenu wyskoczył sam Rambo na grzbiecie krokodyla.

- Tak, taki grubas, uduszony tam dalej... I proszę nie zapomnieć, panie Saschauer, za tydzień dokumenty.

Melchior patrzy na Belmana, tego dzielnego Belmana, obrońcę sprawiedliwości. Wiernego mu Belmana, który go chroni. Czy to nie on sam zainscenizował całą tę sytuację, by zdobyć sobie jego zaufanie? I ten proszek, dziwne... O ile łatwiej byłoby sprzątnąć go klasyczną bronią.

- Zjawia się pan zawsze we właściwym momencie rzuca mu od niechcenia.

- Zawsze zjawię się we właściwym momencie odpowiada Belman z zagadkowym uśmiechem.

27

Houston, Teksas, 28 marca 1987

Anna obejmuje Elżbietę ramieniem. Obie siedzą bez słowa na wejściowym dziedzińcu więzienia. Dołączają do nich inne więźniarki i obie kobiety nabierają świadomości swej przynależności do grupy. Same Meksykanki. Brązowe, wychudłe twarze. Więzienna administ-

\* Wyprodukowana przez Rosjan w 1983 r. (Przyp. aut.)

racja postanowiła umieścić wszystkie przestępczynię, pochodzące z Meksyku, w więzieniu San Antonio. Kiedy ostatnia z nich wychodzi z bloku i siada w kurzu pośród nich, mogą się policzyć, rzucając sobie niespokojne spojrzenia. Jest ich dwadzieścia osiem, wszystkie takie same, ponure, w swych szarych, wypłowiałych ubiorach.

- Zamknijcie się - wrzeszczy strażniczka.

- No właśnie, stulcie wasze brudne pyski! - krzyczy inna. - Bo inaczej wyekspedują was tam z niezłym raporcikiem.

- I wtedy zawrzecie natychmiast znajomość z karaluchami z karcerów waszej nowej rezydencji.

Strażniczki wybuchają głośnym śmiechem i przechodzą między więźniarkami, darząc je kilkoma kopniakami.

Elżbieta nie będzie żałowała tego miejsca. Wreszcie wyjazd: FBI trzyma się ściśle programu.

Od dawna czekała na zaaranżowanie tego przeniesienia, które pozwoli jej uciec z Anną.

Żadnej improwizacji. Przebieg każdej fazy jest tak dokładny i przemyślany, jak to przewidział

Belman. Dyrektor więzienia wzywał je kolejno, by oznajmić im decyzję władz

penitencjarnych i z wielką dozą cynizmu - życzył im powodzenia. Kiedy do biura

wprowadzono Elżbietę, jego ton zmienił się. Zrozumiała natychmiast, że bierze udział w grze.

- To będzie dwudziestego ósmego - powiedział - pani wie, co ma robić?

Przytaknęła.

- Ludzie, eskortujący was, będą strzelać nad waszymi głowami, dla pozorów - uznał za stosowne dorzucić. Potem uściskał jej dłoń, mruczając: Niech Bóg panią prowadzi.

Teraz Elżbieta ledwie odważa się spojrzeć na Annę; tak bardzo boi się zdradzić swój sekret

wyrazem twarzy. Zaciska pięści. Jakąż niechęć budzi w niej ta niemożność odegrania

całkowicie swojej roli... Między więźniarkami zrobił się ruch.

- Wstawać! - wrzeszczą strażniczki. Cisza!

Roberta, wciąż tak samo chuda i żółta, ze swą wiecznie podejrzliwą miną, wyciąga notes i

odczytuje nazwiska. Każdemu odpowiada numer ciężarówki. Trzy oliwkowe ciężarówki, które przyje-

chały o świcie, czekają na swój ładunek. Nazwiska Anny i Elżbiety, ostatnie na liście, są przypisane do ciężarówki numer 3.

Idą w jej kierunku odprowadzane ostrym spojrzeniem Roberty. Dwaj obojętni strażnicy

pomagają im wsiąść i wreszcie zajmują miejsce obok siedmiu innych więźniarek.

- W porządku - mówi dowódca konwoju do Roberty. - Możemy ruszać.

- Zawieźcie je do diabła! - odpowiada strażniczka.

- Ścierwo! - krzyczy do niej jakaś kobieta.

przez chwilę wszystkie myślały, że Roberta zechce się zemścić, ale straszliwa główna

strażniczka wzrusza ramionami. Te kobiety nie należą już do jej więzienia. Patrzają, jak

wszystkie strażniczki zawracają do głównego bloku, i słyszą wyraźnie szcęk otwieranych,

ciężkich drzwi wejściowych. Słysząć warkot zapuszczanych silników. Ściśnięte jedna obok

drugiej na ławkach kobiety nie czekają długo. Konwój rusza, opuszcza więzienie, a tuż za nim wóz policyjny.

Elżbieta marszczy brwi. Ten samochód poważnie skomplikuje jej zadanie. Dwie gliny w środku. Przesuwa ręką po czole, by zetrzeć spływający pot. Za nieco więcej niż dwie godziny, biorąc pod uwagę powolność konwoju, tuż przed przybyciem do Flatonii musi opuścić z Anną tę ciężarówkę. Już teraz wyobraża sobie ich ucieczkę.

- San Antonio, to jedno wielkie gówno - szepcze Anna. - Znałam taką jedną, co tam siedziała. Podobno jedzą tam pluskwy, karaluchy i wszy. I często są epidemie.

- Nie martw się - ucina Elżbieta. - Jakoś znajdziemy sposób, żeby polepszyć posiłki i żeby...

- Milczeć! - ryczy strażnik, siedzący koło Anny, a naprzeciwko Elżbiety.

Jego pucołowata, o twardym wyrazie twarz zwrócona jest ku Elżbiecie. Przez chwilę ta ma wrażenie, że on nie zna planu Belmana. Wsadzono je do niewłaściwej ciężarówki. Grube palce mężczyzny przebiegają po lufie karabinu, który trzyma między nogami. Ma wygląd bydlaka, najgorszego łajdaka, bliskiego kuzyna zgniłka Renny'ego. Tymczasem on mruga okiem. Dwa razy. Elżbieta rozumie, że się pomyliła; on jest wtajemniczony.

Czas upływał. Powoli ubywało mil. Czas koncentracji mijał wyparty przez ostatni, niebezpieczny, tak wyczekiwany kwadrans. Elżbieta jest lodowato spokojna. Każda minuta ma swą specjalną chronologię, umiejętność ustalenia następujących po sobie etapów i godzin. Elżbieta odtwarza sobie trasę, jaką powinny przebyć. Wszystkie znaki orientacyjne, wszystkie punkty, całą geografie, drogi, góry, miasta, wsie, rzeki ma wryte w pamięci.

Jej ciśnienie wzrasta.

Anna i inne kobiety zdrzemnęły się. Elżbieta także pograżyłaby się w otępieniu, droga jest płaska, ciężarówki jadą wciąż w tym samym tempie, a podróż zdaje się nie mieć końca.

Jednak tkwiące w niej mechanizmy odnajdują swe właściwe miejsce. Mięśnie, nerwy, krew i umysł przygotowują się do akcji. Mimo braku treningu - choć w więzieniu uprawiała trochę sportu wie, że ciało nie odmówi jej posłuszeństwa. Jest niemal u szczytu swych możliwości. Gotowa!

Ciężarówka robi nagły skręt. Koła się blokują. Uderza w jakąś przeszkodę. Wyrzuca kobiety i strażników do przodu. Elżbieta podnosi się i zaciska mocno zęby, potem bierze głęboki oddech. Spogląda na zewnątrz. Dwaj gliniarze wychodzą, wrzeszcząc, z wozu eskorty.

Biegną do czoła konwoju.

- Co się dzieje? - ryczy jeden z nich.

- Potrzebna pomoc - odpowiada jakiś głos. - Są ranni w pierwszej ciężarówce.

Elżbieta słyszy odgłos kroków biegnących gliniarzy.

- Idę - mówi strażnik siedzący obok. - Pilnuj ich - mówi do drugiego.

Wyskakuje z ciężarówki i znika. Pozostaje drugi strażnik. Ten, który mrugał okiem. Elżbieta pyta go wzrokiem. Niedostrzegalnie kiwa głową, potem podnosi się i wychyla na zewnątrz tak, że całą piersią jest poza ciężarówką. Udaje, że próbuje zobaczyć, co się dzieje w przodzie, stając tyłem do więźniarek.

Elżbieta kopie Annę i pokazuje jej strażnika. Anna pojmuje. Jednym pchnięciem Elżbieta wypycha go na drogę.

- Wiejemy! - krzyczy Anna.

Obie kobiety, a za nimi siedem pozostałych, opuszczają samochód. Strażnik zgubił karabin i krzywiąc się obmacuje sobie nogę. Rzuca Elżbiecie porozumiewawcze spojrzenie, gdy ta ciska jego broń pod ciężarówkę.

- Tędy! - krzyczy Elżbieta do Anny, która ucieka z innymi na południe. Chwyta ją i ciągnie do tyłu, wskazując na północ. Nad nimi rozlegają się strzały.

- Trzeba oddzielić się od reszty, tam na polu mamy więcej szans, żeby zgubić strażników.

Nim zagłębiły się w wysokiej trawie, Elżbieta dostrzega jeszcze naczepę, która zjechała z drogi uderzając w pierwszą ciężarówkę, potem mężczyźni zajętych ściganiem innych

uciekinierek. Nadal słysząc strzały. Biegną obie prosto przed siebie. Elżbieta wie, że za tym polem jest droga na skrót, która dochodzi do szerszej drogi, a ta prowadzi do miasteczka Lockhart i że za tym miasteczkiem stoi na uboczu dom, gdzie będą mogły się pożywić i znaleźć ubranie, pieniądze i samochód.

28

Niedaleko Lockhart, Teksas, 29 marca 1987

Elżbieta budzi się pierwsza i cicho wychodzi z opuszczonej szopy, w której znalazły schronienie. Świt jest spokojny i blady. Dziewczyna czuje po radosnym szczebiocie ptaków, że dzień będzie ładny. Ogarnia ją błogosławione zapomnienie, tak jakby rodzący się dzień i łagodny pejzaż przenosiły ją daleko od skomplikowanego mikro-kosmosu służb specjalnych. Wreszcie opanowuje się.

„To jest właśnie wiara w system, staruszko. Trzeba umieć odwrócić wzrok, by nie przegrać.” Słyszysz westchnienia Anny, która otwiera oczy i woła:

- Juana.

- Jestem tutaj - mówi Elżbieta patrząc, jak tamta przeciąga się na płóciennych workach, położonych w szopie usłużną ręką.

Anna uśmiecha się i podchodzi do niej.

- Jesteśmy wolne, wolne... Zdajesz sobie sprawę? Nasza pierwsza noc poza więzieniem!

- Na jak długo? pyta Elżbieta. - Oni przeczeszą całą okolicę, puszcza za nami psy, użyją helikopterów.

Musi wydać się słaba. Tak trzeba. Obserwuje Annę i spodziewa się jakiegoś słowa pociechy ze strony Meksykanki, która nagle patrzy na nią z niepokojem i nie znajdując innego sposobu, by złagodzić strach swej nowej przyjaciółki, głaszcze ją po twarzy.

- Spróbujemy zgubić te psy - odpowiada wreszcie Anna. - Czy masz jakieś pojęcie o miejscu, w którym się znajdujemy? - jej głos staje się mocniejszy, jakby chciała nadać sobie ton przywódcy.

- Niedaleko płaskowyżu Edwardsa... to znaczy, tak przypuszczam; znam trochę tę okolicę. Może należałoby pójść wyżej na północ. Oni będą nas szukali raczej w drodze na południe, ku granicy.

- Masz rację. Tak właśnie musiały zrobić te, z którymi byliśmy. Idźmy na północ... Nie przejmuj się, bywałam w gorszych sytuacjach.

Właśnie takich słów oczekiwała Elżbieta. Dziękuje Annie wzrokiem. Meksykanka puchnie z dumy. Chwilowy pesymizm ustępuje uczuciu zaufania do siebie, powoli odzyskuje swój rewolucyjny zapał.

Elżbieta uspokaja się: jej towarzysze wydaje się, że przejęła inicjatywę. Jakikolwiek byłby dalszy bieg wydarzeń, tak właśnie powinno być.

- Patrz! Mamy szczęście wykrzykuje Elżbieta wskazując dom. Niczym dar opatrności o kilka kilometrów za Lockhart góruje

nad doliną biały budynek z czerwonymi okiennicami. Elżbieta przypatruje mu się z zachwytem. Wywołuje to w niej obrazy, serię zdjęć oglądanych w Fort Irwin. Odnajduje pięć dębów, grab z tabliczką „Własność prywatna”, pomalowany na żółto kurnik, wielki, zardzewiały zbiornik oleju z niezgrabnie wymalowanym ogromnym napisem „Love”, ciemny kadłub wraku barki i furgonetkę ford 4X4.

- Przydałby się nam taki samochód jak ten zaczyna ostrożnie, ujmując Annę za szyję, aby jej pokazać wóz palcem.

Dziwne. Znajduje w sobie wystarczająco dużo czułości, by zdobyć się na ten serdeczny gest. Na skutek ciągłego symulowania przyjaźni udaje się jej doznać prawdziwego uczucia przywiązania.

- Podejźmy bliżej domu - mówi Anna.

Przechodzą przez na wpół rozwalony płot, idą wzdłuż rurociągu doprowadzającego wodę i docierają do zbiornika z olejem. Wokół cisza. Dom zdaje się być pusty. Anna pokazuje otwarte okno, potem pole, trzysta metrów od miejsca, w którym się znajdują. Na polu ludzkie sylwetki krzątają się wokół traktora: dwóch mężczyzn i kobieta czy też trzech mężczyzn?

- Według mnie to ich własność - mówi Anna. - Rzucę okiem do środka tego domku. Ty idź do furgonetki i zobacz, czy są klucze do tablicy rozdzielczej.

- Nie, wolę iść z tobą - mówi Elżbieta patrząc na nią z wyraźnym przestrawieniem.

- Boisz się? - pyta Anna bez zdziwienia, za to ze współczuciem, jakie ma doświadczony szef dla młodego rekruta mającego przejść bojowy chrzest.

- Tak.

- Ze mną nic ci nie grozi. Chodź.

Szybko przebywają odległość, która dzieli je od okna. To kuchnia. Wślizgują się do środka. Elżbieta z góry wie, co tu znajdzie. Jej wspomnienia zgadzają się z rzeczywistością. W drugiej szufladzie po lewej stronie. W tym meblu z formiki\* są pieniądze, dokładnie sześćdziesiąt dwa dolary. Podczas gdy Anna, całkiem logicznie, kieruje się do lodówki, ona otwiera szufladę. Banknoty leżą pod paczką papierosów.

- Znalazłam pieniądze - mówi do Anny, która opróżnia przegródki lodówki z pieczonego kurczaka i kiełbasek.

- Bierz! - Anna wbija zęby w udko. - Znajdź jakąś torbę. Plastikowe torby powinny być pod zlewem. Elżbieta schyla się:

znajdują się w przewidzianym miejscu. Rzuca dwie Anny, która natychmiast zaczyna napełniać je prowiantem. Teraz Elżbieta musi pójść na korytarz, gdzie znajduje się szafa z ubraniami na ich rozmiar.

- Zobaczą, co można zwinąć w sąsiednich pomieszczeniach - mówi do Anny.

Wychodzi z kuchni i idzie wprost na korytarz, nie zatrzymując się

\* Rodzaj sztucznego tworzywa. (Przyp. red.)

w living-roomie, pełnym pustych butelek po piwie i niedopałków. W korytarzu jest wszystko: szafa wytapetowana nalepkami, mierna reprodukcja malowidła przedstawiającego prezydenta Kennedy'ego, klucz i równoległociąg: czarno-białe zdjęcie z filmu „Na wschód od Edenu”, na którym Julie Harris ujmuje oburącz ramię Jamesa Deana.

Elżbieta otwiera szafę, zdejmując bez wahania odzież z wieszaków: dwie kurtki, dwie pary dżinsów. Schyla się po swetry i położone na widocznym miejscu tenisówki, tuż obok manierki, którą także zabiera. Gdy wraca do kuchni, Anna skończyła właśnie ładować torby.

- Idziemy - mówi Meksykanka, przekładając nogę przez okno. Elżbieta idzie za nią aż do furgonetki.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzykuje Anna; przeszukując samochód znalazła klucze w kieszeni drzwiczek.

Anna z pewnością siebie siada za kierownicą. Gdy tylko stawia stopy na pedałach, usiłuje pogodzić swe całkiem uzasadnione obawy z euforią, której żaden inny wzgląd nie potrafi zmniejszyć czy osłabić.

- W drogę do Meksyku - mówi kładąc rękę na kluczykach. Odurzenie kradzieżą: odnajduje w sobie to przejmujące uczucie

sprzed wielu miesięcy. Motor zapala od razu. Anna obraca kierownicą. Jej ruchy są nieskoordynowane i niezręczne. Trzykrotnie próbuje wyprowadzić samochód z tego miniparkingu, wciśniętego między zbiornik a kurnik. Elżbieta obserwuje ją z niepokojem, potem kieruje wzrok na pole, gdzie traktor kopci czarnym dymem.

- No jak? - pyta. - Czy chcesz, żebym ja wzięła kierownicę? Umiem prowadzić auto..

- Dobrze - odpowiada Anna.

Strategia Elżbiety, polegająca na przekonaniu Anny, że zna niektóre skuteczne sposoby w pewnych sytuacjach, sprawdza się pod każdym względem. Zamieniają się miejscami.

- Co teraz, jedziemy dalej na północ czy prosto na południe? - rzuca pytanie, wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

- Na południe!

San Marcos, San Antonio, Hondo, Sabinas, Uvalde, Brackettville... Mijają wszystkie te miasta bez przeszkód.

- Brackettville, jesteśmy prawie w domu - wykrzykuje Anna, studiując mapę znaną w przegródce na rękawiczki.

- A następne miasto? - pyta Elżbieta.

- Del Rio.

- Del Rio? Nigdy nie przejedziemy przez to graniczne miasto samochodem. Znasz skuteczność działania jankesów. Wszystkie patrole kontrolują tę okolicę. To miejsce przerzutu. Strażnicy polują tu na tych, co potajemnie przybywają z Ciudad Acuna i wjeżdżają nielegalnie do Teksasu. Trzeba ominąć to miasto i przekroczyć Rio Grandę niżej. Masz jakiś pomysł?

Elżbieta wie, że jest tylko jedno wyjście: przepłynąć rzekę w pław między Del Rio i Eagle Pass. Wie również, że to zmusi je do przejechania przez niewielkie miasteczko Spafford i drogami zaznaczonymi na mapie.

- Można spróbować ominąć Del Rio, skręcając na Spafford - mówi Anna. - Co o tym myślisz? - pyta patrząc na mapę.

- Dobry pomysł - odpowiada Elżbieta uważnie przyglądając się mapie, którą podsuwa jej towarzysza.

- Moim zdaniem to jedyna możliwość - utwierdza się w przekonaniu Anna. - To na co czekasz, skręcaj! Dojechaliśmy właśnie do drogi na Spafford!

- Wybacz, nie reaguję dość szybko.

Już ponad godzinę jadą tą nierówno ubitą drogą. Dawno minęły i zapomniały o Spafford. To spore miasto nie pozostawiło im po sobie niezatartych wspomnień. W oddali, poniżej czerwonych chmur, poszarpany pejzaż Burro rysuje się nad Rio Bravo, której jeszcze nie dostrzegły.

Anna wstrzymuje oddech: Meksyk. Jest zahipnotyzowana pustynnymi pagórkami, ukazującymi z wolna swe zbolale zarysy. Już słyszy dźwięki gitar i fletów. Nie boi się już niczego i nikogo. Niebo ojczyzno kraj przepelnia jej duszę nieskończonością: wolnością.

- Juano, jesteśmy wolne! - mówi śmiejąc się.

- Jeszcze nie - sucho odpowiada Elżbieta. - Trzeba jeszcze przekroczyć granicę.

Trzy minuty później, gdy już widać leniwie płynącą rzekę, Elżbieta gwałtownie odwraca głowę, niczym dzikie zwierzę, które wyczuwa w lesie myśliwego, z tą różnicą, że to nie myśliwego dostrzega nagle, a wóz patrolowy.

- Cholera!

Teraz i Anna go dostrzega. Blednie. Tak bliskie i przyjazne wzgórza zdają się nagle oddalać. Koniec nadziei. Wszystko się gmatwa. Słyszy tylko mocne bicie swego serca. Mimo wszelkich prób odsunięcia tego obrazu, więzienie pojawia się znowu w jej świadomości.

- Nie chcę wrócić do więzienia - wyrzuca z siebie. Ani ja!

Elżbieta ciśnie gaz do deski. Przynajmniej będą grać do końca. To spotkanie nie było przewidziane. Wspomniano o takiej możliwości podczas jednej z narad FBI, lecz jej nie przewidywano. Cały sektor miał być czysty. Elżbieta czuje, że nie należy się tym zanadto niepokoić. Ta ostatnia próba na amerykańskiej ziemi, to prawdopodobnie pomysł Belmana. Ona uratuje Annę.

Wóz patrolowy, znacznie szybszy, zbliża się, znika na chwilę za pofałdowaniem terenu, wyskakuje nagle z wyjąca syreną jeszcze bliżej forda.

- Złapią nas! - krzyczy Anna.

Elżbieta gwałtownie skręca. Koła z chrzęstem wbijają się w żwir. Furgonetka porzuca drogę i zjeżdża po nierównym stoku. Z napiętymi i obolałymi mięśniami, Elżbieta trzyma kurczowo kierownicę. Rzeka rośnie jej w oczach, pokrywając dolinę zieloną, niebieską czy też szarą powłoką. Nagle tylna szyba rozpryskuje się. Strzelają do nich... nie nad nimi.

Elżbieta czuje, że ogarnia ją strach: tamci ludzie nie znają scenariusza. Czuje ucisk w żołądku. Rzuca okiem na Annę, skuloną na siedzeniu z rękami zaciśniętymi na kolanach. Meksykanka zamyka oczy. Przerazenie rysuje się na jej twarzy o zapadniętych policzkach, ściągniętych wargach i zmarszczonym czole.

Od Rio Bravo dzieli je sto metrów. Elżbieta nie zdejmuje nogi z gazu. Pogruchopany samochód odbija się od jednego pagórka do drugiego, odpada zderzak, reflektor, błotnik. Drzewa, cypel, rzeka... Furgonetka odrywa się od ziemi. Chwilę później tafla wody pęka, otwiera się i pochłania fordę w trzech czwartych.

- Nie.

201

- Wychodź stamtąd! - krzyczy Elżbieta, potrząsając Anną. - Musimy p/nać.

Meksykanka, ogłupiała, pozwala się wyciągnąć z kabiny, wreszcie zaczyna płynąć w ślady Elżbiety, mechanicznymi ruchami motylka. Po pięciu minutach są po drugiej stronie Rio Bravo. Patrol, który zszedł na brzeg, przestał strzelać. Uciekinierki nie są już na terytorium Stanów Zjednoczonych. Pełzną, skrywają się za pokrytą krzakami skarpa. Ich ręce pogrążają się w ukochanym meksykańskim błocie. Ich głowy wypełnia pustka.

Kiwają się i wreszcie opadają, pijane zmęczeniem i szczęściem.

- Udało się - bełkoce Elżbieta.

- Dzięki tobie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

29

Torrebn, Meksyk, 8 kwietnia 1987

Od dzieciństwa karmiony taco, chile i kukurydzą Luis Caso jest jedną wielką kulą na grubych i krótkich nogach. Szwy ubrań nigdy długo nie wytrzymują jego dwustu sześćdziesięciu funtów. Krzesła, łóżka i fotele w domu mają krótki żywot, gdyż ten osobnik ciężkiej wagi ma gwałtowne ruchy. Kiedy się śmieje, jego tłusta twarz faluje. A Luis śmieje się często. O każdej porze dnia. Śmieje się ze swojej nawiedzanej żony (która modli się do Marii Panny noc i dzień), ze swych córek źle wydanych za mąż, ze swojej zdzieciniałej matki zażarcie tępiącej insekty, z ociężałego bezruchu swych urzędników śledzących go wzrokiem i poblądłych, gdy przeprowadza inspekcję swego banku, z niepowodzeń swych kolegów, z kar wymierzanych chłopom uprawiającym marihuanę na swych ziemiach i nie przestrzegających tempa produkcji narzuconego im przez miejscową mafię, z AIDS, z głodu panującego na świecie, z praw człowieka. Natomiast, być może dla oczyszczenia swego sumienia, wspomaga wszystkich opozycjonistów reżimu i subwencjonuje skrajną lewicę meksykańską. To on pierwszy zajął się Anną, pierwszy zaczął organizować rewolucyjne komórki w łonie ruchów studenckich, pierw-

szy rzucił pomysł odmowy spłaty długów. Jest też pierwszym, kogo Anna chce widzieć.

Luis zanurza palec w słoiku z miodem, po czym ssie go z wyraźną przyjemnością. Siedząc naprzeciw niego Anna i Elżbieta jedzą śniadanie. Przebywają u niego już osiem dni, z dala od ludzkich spojrzeń. Zależało mu na tym, by je zatrzymać do czasu przeprowadzenia wywiadu i załatwienia im fałszywych papierów.

Wczoraj zaproponował im przyjrzenie się przemytowi marihuany. Odmówiły. Jak każdego ranka zjawiał się punktualnie w salonie, usiadł w końcu stołu, zgromił służącą i dokonał rytuału napełniania żołądka: cukier + cukier + cukier podlany dwiema ogromnymi filiżankami czekolady, zawieszistej i musującej, z dodatkiem wanilii i cynamonu. Wreszcie podjął rozmowę z poprzedniego dnia w punkcie, w którym się urwała.



- Ach, wspomnienia, mam ich tyle, że nie wiem, od czego zacząć. Kiedy jeszcze żył mój ojciec, to były wspaniałe czasy, generał Cardenas robił dla kraju wiele dobrego. Wszyscy go kochali. Wierzono, że z nim Meksyk stanie się wielkim mocarstwem. On pierwszy wywłaszczył zagraniczne towarzystwa. Precz z gringos! Znacjonalizować złoża naftowe! Ziemia dla chłopów, rozdzielono siedemnaście milionów hektarów, zdajecie sobie sprawę? Wszyscy obywatele mogli bezpłatnie korzystać z telegrafu, by wnieść skargę do case presiden-cial. Nie można wyobrazić sobie lepszego życia, bo było ono pełne nadziei. A dziś nie ma już nadziei. Wszystko umiera, nim zacznie istnieć. Musimy się bić. Moja wojna to marihuana. Niedługo będę sprzedawać kokainę. To nie dla pieniędzy zajmuję się jej uprawą, tylko żeby zniszczyć amerykańską młodzież. Powinnyście mi pomóc w zakładaniu nowych siatek. Macie doświadczenie i bojowość niezbędne do takiego przedsięwzięcia.

- Nie, narkotyki nie, zbyt duże ryzyko, nie mamy ochoty znowu wpaść przez takie gówno - odpowiedziała Anna.

To „nie” dźwięczy mu jeszcze w uszach. Obserwuje dziewczyny z dobrotliwym uśmiechem, gładząc swój czarny, krótki wąsik.

- Mam do was zaufanie - mówi. - Tej nocy dostarczono mi informacje dotyczące ciebie, Juana. Sprawdzone całą twoją przeszłość, to było konieczne. Zbyt wielu szpiegów kręci się między nami. Teraz wiem, że zasługujesz na to, by należeć do naszej organizacji. Mam też dla was inną propozycję. O narkotykach nie będziemy więcej mówili, jest inny sposób służenia Meksykowi.

- Jaki? - spieszenie pyta Anna.

- Przygotowanie zmiany władzy, nowego oblicza świata. Atak na MFW. Wciągnąć do organizacji syndykaty, wyszkolić ekstremistów i rozpętać wojnę wśród finansistów, którzy wyrastają jak grzyby na naszej ziemi dlatego, że peso nie jest już nic warte. Dzisiaj prawie pięćdziesiąt pięć milionów Meksykanów nie najada się do syta, ale wszyscy piją coca-cola subwencionowaną przez rząd. Jutro sto milionów niedożywionych będzie. Siusiać tym, co amerykańskie. Te właśnie masy ludzkie trzeba zorganizować. Do was należałoby sformowanie kadr. Zgódźcie się, a natychmiast przydzielę wam sektor Tor-reón i Gómez Palacio, który rozciąga się na wschód aż do laguny Mayran i do Viesca, na południe do Guadalupe-Victoria, na zachód do Rio Nazas i na północ do laguny Palomas. Wy wychowacie dysydentów PRI (Partii Rewolucyjnej Instytucjonalnej): związkowców zbliżonych do partii komunistycznej i chłopów, którzy wciąż marzą, aby stać się kolejnym Zapata czy Pancho Villą. Co wy na to?

- Zgadzam się.

- Ja też.

- Bardzo się cieszę. Z kilkoma patriotami rozwinęliśmy i ulepszyliśmy znany już tobie, Anno, system, ale brakuje nam przywódców w terenie, szczególnie w przeludnionych sektorach: Meksyku, Chihuahua, Hermosillo, Monterrey, Guadalajarze, Villa Hermosie i Meridzie. Po wyborach prezydenckich w osiemdziesiątym ósmym roku, to co teraz jest ogólnym niezadowoleniem, powinno przerodzić się w bunt.

- Chce pan, byśmy stały się zarzewiem buntu w Torreon?

- Tak, ty i Juana. Stanowicie dobraną ekipę. Dowiedźcie tego, a kierownictwo powierzy wam Meksyk.

- Jakie kierownictwo? - pyta Anna, uprzedzając pragnienie Elżbiety.

Nie zadawajcie pytań tego rodzaju. Przestrzegajcie stopni funkcyjnych. Ja jestem waszym bezpośrednim przełożonym, wy też będziecie miały podwładnych, dla których będziecie bezpośrednimi przełożonymi. Tyle o kontaktach. Zawsze myślcie o waszym bezpieczeństwie. Wasza tożsamość powinna być znana niewielu ludziom. Jutro przedstawię was czterem innym osobom odpowiedzialnym za sektor Torreon. Podobnie jak wy, zajmują się rekrutacją, kształceniem i propagandą. Pracują dla organizacji

od trzech lat. Jednak nie potrafiłbym powiedzieć, czy traktują rzecz poważnie, czy nie, bo rezultaty są raczej mizerne. Tak, niekiedy, gdy ich spotykam, wątpię w skuteczność ich działania.

Luis wstaje i robi kilka kroków. Stary parkiet skrzypi pod jego ciężarem. O tej porze, gdy słońce wznosi się dokładnie nad dzwonnica kościoła, lubi obserwować ulicę. Oczywiście skłonny jest sądzić, że jest jednym z panów tego miasta, tych nowych szerokich alei, tych białych gmachów i tych ludzi chodzących po trotuarach.

Śmieje się na widok przechodzącego kaleki bez nogi, zawieszono go na swych kulach. Wciąż ten sam ohydny śmiech na widok nieszczęścia. Elżbieta obserwuje go i ukrywa wstręt. Luis należy do rasy Renny'ego, jest jednak bardziej wyrafinowany i niebezpieczny, godny sługus Saschauera.

Trzeba mu wybaczyć - mruczy Anna, gdy Luis wychodzi. - Mimo wszystko pragnie dobra Meksyku. A my potrzebujemy jego pomocy.

Ze strony Anny nie było to pozorowane usprawiedliwienie, a raczej wyrażenie zgody na swój los. Nie chciała się cofnąć: Luis jest przegniłą deską, a ona musi się nią posłużyć, bo nie może inaczej. Elżbieta ją rozumie.

A ja potrzebuję ciebie - kończy, okazując wzruszenie.

Prawdziwe wzruszenie. Nie zapomniała wezwania płynącego z serca Anny. Ta kobieta, to jakby trochę ona sama, tylko słabsza. Prawie siostra. Istota, której nie chce zawieść. Sądziła, że odwoływanie się do uczuć już nie istnieje, tak jakby jej misja była częścią normalnego toku wydarzeń, niczym następstwo pór roku. Myliła się. Serce pracowało na swój sposób dążąc do rozluźnienia trybików, ustawionych przez DGSE, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy. Chce znowu stać się sobą.

Wiesz, nie będziemy już widywały się często - mówi Anna.

- Ale będziemy razem pracować.

- Wątpię odpowiada Anna podrażnionym tonem. - Lepiej nie. Nie wyobrażasz sobie, ile wyrzeczeń i poświęceń wymagać będzie od nas to zadanie.

- A ty, ty wolisz poświęcić naszą przyjaźń? Dla Meksyku, tak.

Elżbieta czuje ucisk w gardle. Nie może znieść takiej niewdzięczności i obojętności. Anna jest taka sama jak inni.

..Mam nadzieję, że przyszły Meksyk nie będzie zaludniony takimi jak ty" - myśli Elżbieta opanowując się. Jest znowu agentem, tym czym powinna być zawsze.

Canajos, Meksyk, 3 lutego 1988

Koniec roku był burzliwy. Giełda się załamała, dolar spadł, przez całe tygodnie czarne dni następowały po sobie w niepohamowanym tempie. Potem, zgodnie z wolą krajów bogatych, które wystąpiły z gotowym programem interwencyjnym, powrócił spokój i rynki się ustabilizowały. Kryzys okazał się jednak ostry i niezliczone miliardy dolarów ulotniły się, pogrążając świat w recesji. Teraz rabusie Sas-chauera przygotowują następny kryzys, ostateczną nawałnicę, która rozniesie wszystkie struktury ekonomiczne i polityczne całej planety. Kto się przejmuje kryzysem w Canajos? Prawdopodobnie nikt. Tutaj od wieków myśli się najpierw i przede wszystkim o tym, jak wyżywić rodzinę, naprawić dach i pomodlić się do Matki Boskiej.

Elżbieta wchodzi do nędznego domostwa księdza i wymienia uściski dłoni. Prowadzą ją do kuchni pełnej zapachu tytoniu, smażeniny i pułki\*. Podają jej krzesło i z szacunkiem proponują kieliszek mes-calu. Zawsze traktują ją należycie, gdyż jej wyspecjalizowanie, nieustanne kontakty ze wszystkimi agitatorami w regionie, jej znajomość ludzi, poparcie, jakie posiada, siła charakteru i miłość do Meksyku, uczyniły z niej w krótkim czasie niekwestionowaną przywódczynię, do której ludzie odpowiadający za ten region mają ślepe zaufanie.

Jednym haustem opróżnia kieliszek. Mescal piecze w gardle. Nawet się nie skrzywiła. Chce, aby myśleli, że je, pije i chrapie jak mężczyzna. Często, podczas tych potajemnych spotkań czuje na sobie pożądliwy wzrok, ale nie odczuwa ani niesmaku, ani zażenowania.

Dzisiejszego rana jest ich pięciu. Bada wzrokiem ich twarze, wszystkie te zdeterminowane oczy skierowane na nią. Ksiądz, o twarzy

\* Pulka spożywany przez ludzi ubogich wyciąg z agawy o odpychającym zapachu. (Przyp. aut.)

wycieńczonej postami i umartwieniami, posepny syndykalista, który utracił w przędzalni trzy palce, sierżant regularnej armii, zastygły w pozie jakiejś niezwyklej dyskrecji, i dwaj górnicy z twarzami posiekanymi ostrym pyłem żelaza czekają, aż zacznie mówić.

- Nie jestem z was zadowolona.

Robimy, co możemy - odpowiada spokojnie ksiądz.

- Widziałam się z ludźmi z San Salvador i z Rodeo - ciągnie Elżbieta z wyrzutem. - Mają coraz lepsze rezultaty. Ich szeregi codziennie powiększają się o kolejnych niezadowolonych. Codziennie przyłączają się tam do naszego kontestującego ruchu oszukani robotnicy i chłopi. Coraz więcej ludzi stawia opór władzy, zajmuje fabryki, odcina drogi i tory kolejowe. A tutaj, co się dzieje? Dlaczego po naszej stronie jest tak mało górników? Odpowiedz Aurelio - dodaje, wskazując palcem jednego z górników.

- Mamy dwunastu. Nieprzejednanych, twardych. Można na nich polegać - odpowiada Aurelio, spuszczając oczy.

- Dwunastu nie pociągnie za sobą tysięcy w czasie strajku. Potrzeba nam przynajmniej stu - replikuje Elżbieta. A jak według was robią to w Chile? Pinochet z pewnością nie upadnie przez przypadek, lud chilijski też nie przejmie władzy przez przypadek, wszyscy połączyli się, aby zwyciężyć dyktatora. Ameryka Łacińska podnosi się i zmienia. Świat się wyzwala, a wy, wy nie robicie nic, aby wkroczyć na drogę ku wolności. Wiem, powiecie mi, że jankesi stoją u wrót Meksyku; ale jankesi to nie sowievi, miasta Meksyk nigdy nie spotka los Budapesztu.

- Potrzebujemy pieniędzy - mówi sierżant. - Z czego będą żyć górnicy, gdy otwarcie zbuntują się przeciw rządowi?

Dostaniecie pieniądze, żywność i - jeśli będzie trzeba - broń. Czy to wszystko, co macie mi do powiedzenia?

Cała piątka milczy. Odpowiadają za ten górniczy region, który czerpie swoje bogactwo z żelaza. Mając pieniądze i żywność - o bronii nie ośmielają się nawet myśleć łatwo będzie im pociągnąć za sobą górników, którzy ciężko płacą za kryzys spowodowany krachem na giełdach, spekulacją, stawkami, których nie są w stanie nawet sobie wyobrazić.

- Dziękujemy pani - mówi ksiądz. - Tym razem będziemy mogli wyciągnąć ludzi z apatii i zniechęcenia.

Mężczyźni przytakują. Elżbieta ścisną im dłonie i wychodzi. W autobusie, którym wraca do Torreón, nagle czuje się zmęczona, tak jak po treningu z Falpem na polu ćwiczeń w Canjuers; potem patrzy przez brudną szybę, jakby gdzieś na sierra miała znaleźć odpowiedź na jedyne pytanie: „Kiedy spotkam Saschauera?” Wie, że on jest w Meksyku, że urządził się we wspaniałej posiadłości w Cuernavaca. To tam jeździ Luis na zebrania, którym przewodniczy Carlos Cisco-Diez. Elżbieta wie wszystko o rozkładzie czasu Melchiora. Informuje ją Seyne. Zachowała ten kontakt, a właściwie to pułkownik nawiązał go ponownie przed dziesięciu miesiącami za pośrednictwem pewnego nauczyciela z Rodeo, pracującego dla DGSE. Ten nauczyciel, którego widuje raz na tydzień, to jej skrzynka kontaktowa, łącznik, ucho i oko Seyne'a, jedyny dowód, że jej misja trwa. Ostatnia wiadomość od szefa powinna dodać jej odwagi. „S... prawdopodobnie przybędzie w najbliższych dniach do Torreón.” Lecz dni upływały, a S. nie przyjechał. Przestała wierzyć, że przyjedzie. Ogarnia ją przygnębienie. Co

robić? Myśli już o nie kończącej się nocy w wynajętym pokoju w Torreón, spędzonej na oglądaniu nudnego programu w telewizji i pisaniu zaszyfrowanego raportu dla szefa DGSE. Autobus wlecze się niemiłosiernie ze swym ładunkiem ludzi i drobiu. Pęka w szwach od biedoty. Siedzące naprzeciw Elżbiety trzy metyski w żałobie, ledwie widoczne zza swych wielkich pakunków, odmawiają nie kończąca się litanię do Wszystkich Świętych, a ich głosy dobiegają do niej niczym jednostajne brzęczenie. Zamyka oczy i zasypia, pogrążając się w sennym marzeniu o Prowansji, którą opuściła przed wiekami.

Budzi ją dźwięk klaksonu. Torreón. Miasto bez tajemnic, bez zapachu, bez intymności, bez centrum z prawdziwego zdarzenia, bez historii, które ożywia jedynie stacja rozrządowa, fabryki, osiem kin i dwie wielkie restauracje: „Apolo Palacio” i „Valdes Carillo”.

Przemysłowe miasto przesiąknięte nudą. Miejsce, które Elżbieta ma ochotę opuścić natychmiast. Oto przystanek, smutna ulica, handlarz sprzedający plastikowe zabawki, nędzny zakład fryzjerski, chory pies, dwa wygłodniałe koty, kubły na śmieci, przeszukane sto razy przez nędzarzy, podrzędny hotel, a w nim, na trzecim piętrze, jej pokój umeblowany bez gustu.

Wspina się bez pośpiechu i wchodzi do swych dwunastu metrów kwadratowych. Pod drzwiami leży wsunięta koperta. Zaintrygowana podnosi ją, otwiera i czyta:

„Droga Juano, czekam na panią u mnie o dwudziestej drugiej. Luis.”

Elżbieta zgniata papier, zwija w kulę i pali w zlewie, który spełnia również rolę umywalni. O dwudziestej drugiej? Zazwyczaj chodzi do Luisa dwa razy w tygodniu o siódmej, pod pozorem uczenia jego żony francuskiego, wracając w ten sposób do zawodu wykonywanego nigdy w Cmeretaro. Czego może chcieć od niej? Nagłe spotkanie grupy? Może będzie tam i Anna, której od dawna nie widziała. Meksykanka mieszka w Gómcz Palacio i odpowiada za sektor północny. Mimo kolejnych rozczarowań podczas każdego z ich spotkań Elżbieta wciąż odczuwa potrzebę widywania jej. Zobaczyć ją taką, jaką była w Houston, ale tej radości już nigdy nie zazna.

Anna rzeczywiście tu jest, uroczą w swej białej sukience w drobne, różnokolorowe kwiatki. Wiosenna sukienka włożona w środku zimy. To do niej pasuje. Jest najzupełniej zgodne z jej duchem przekory. Są również dwaj bracia, Blanco i Rafael. Z Francisco grupa byłaby w komplecie, on jednak pojechał w misji do Ensenado, w Północnej Kalifornii.

- Juana! - woła Anna i podchodzi, by ją ucałować. Pozostała trójka wita ją wymieniając spojrzenia pełne braterskiej solidarności.

- Czego chce Luis? - pyta Elżbieta Annę.

- Nie mam pojęcia. Nie wrócił jeszcze z banku. Ramon, jego sekretarz, nie chciał nam nic powiedzieć. Pozostawił nas w rękach służby i pojechał tam z powrotem. Czego się napijesz? Szampana, tequili? Wszystko jest do naszej dyspozycji.

Szampana.

Nie czekali długo. Dobiegają ich czyjeś głosy. Rozpoznają głośny śmiech Luisa i jego ciężki krok. Drzwi salonu otwierają się. Luisowi towarzyszy dwóch mężczyzn. Elżbietę przesywa dreszcz, wstrzymuje

oddech: jeden z nich to bankier z Monterrey, ten drugi nazywa się Saschauer.

Jak zachować zimną krew? Nie chce patrzeć na niego zbyt uporczywie, lecz jakaś podstępna siła pcha ją do tego. Więc to jest ten potwór, wytworny mężczyzna o srebrzystych włosach, którego zmysłowa męska twarz jest jakby wyciosana przez Donatella. Podchodzi do niego. Czy domyśli się czegoś, gdy ich spojrzenia się skrzyżują? Trzy lata czekała na ten moment. Teraz drży. Jej ostatnia myśl biegnie ku Seyne'owi. Luis przedstawia ich sobie.

- Nasz świetny pracownik, panna Chavez. Pan Saschauer. Melchior bardzo spokojnie ściska dłoń dziewczyny. Lecz serce wali mu w piersiach.

„Więc to ona” - myśli, po szybkim wybąkaniu banalnego: - Miło mi panią poznać. Luis mówił mi...

Luis zaprasza, żeby zajęli miejsca i zaczyna luźno wyjaśniać rolę, jaką odgrywają Saschauer i Vijero, człowiek z Monterrey, w łonie organizacji. Melchior ledwie go słyszy. Wpatruje się w Elżbietę. Nie ma najmniejszej ochoty z nią rozmawiać, wystarczy mu sama jej obecność.

Znaczenie tej chwili wydaje mu się zbyt doniosłe, żeby je dzielić z kimkolwiek. Ta Francuzka dobrze gra swoją rolę; Belman nie kłamał: ta agentka nie ma sobie równych. Jest odważna.

- Kiedy zamierza pan wysłać broń do Ensenady? - pyta jeden z braci Blanco.

- Broń... jaką broń? Ach tak, proszę wybaczyć. W ciągu kwietnia; lecz to są działania leżące w kompetencjach pana Vijero. Wolę, żeby to on mówił o szczegółach - odpowiada, oddając głos bankierowi z Monterrey.

„Głupcze - myśli. - To tylko mały szpieg, równie dobrze mogłaby być wysłana przez CIA, lepiej na nią nie patrzeć”. s Odwrócić uwagę. Myśleć o czymkolwiek. Wrócić do głównego przedmiotu swych działań. Do Meksyku. Do próby ustabilizowania peso, która spowoduje nowy i gwałtowny wzrost bezrobocia, mimo że produkcja utrzyma się na tym samym poziomie, a aktywność gospodarcza stale się polepsza. Daremny trud.

„Muszę porozmawiać z tą Juana”.

Dokonuje wysiłku. Jeszcze nie może pozbierać myśli. „W Meksyku miejsca pracy, będące efektem obecnej inflacji, to znaczy w sektorach bankowych i handlowych (Juano, spójrz na mnie) będą automatycznie zlikwidowane”.

Nie czuje się pan dobrze? - pyta Luis.

- Podróż mnie zmęczyła odpowiada Melchior. - Potrzebuję trochę odpoczynku. Proszę mi wybaczyć, panie, panowie. Muszę was opuścić. Zobaczymy się później.

Przed wyjściem z salonu jeszcze raz przygląda się Elżbiecie. Wydaje się taka krucha. Trudno mu wyobrazić sobie, że mogła poświęcić tyle lat życia, aby do niego dotrzeć.

„I w jakim celu?... Dla kilku informacji, których Francuzi nie będą mogli nawet wykorzystać. Nie powinna tu zostać i ryzykować życie”.

Ktoś puka do drzwi jej pokoju. Elżbieta zrywa się z łóżka, gdzie nie zmrużyła oka przez całą noc. Prześladowała ją myśl o Sas-chauerze.

Otwiera. Na progu drepcze wielki Luis. Wydaje się być bardzo podenerwowany.

- Luis? Co pan tu robi? To szaleństwo.

- Juano, mam dla pani ważną wiadomość.

- Jaką?

- Pani wyjeżdża dziś z panem Saschauerem.

- Przepraszam, nie rozumiem?

- On panią wybrał. Potrzebował nowego pomocnika. To dla pani wielki zaszczyt. Chodźmy.

Tak! Proszę się ubrać! Proszę zostawić swoje rzeczy. Zajmiemy się tym później. On czeka.

To wszystko nie odbywa się dokładnie tak, jak przewidział Seyne. Zbita z tropu, nie ma nawet czasu uprzedzić nauczyciela z Rodeo.

- Oto ona - mówi Luis wchodząc do biura, gdzie oczekuje ich Melchior. Ten wstaje, by powitać Elżbietę. Podsuwa jej fotel, potem, zamiast usiąść ponownie za biurkiem, stoi przed nią, przyglądając się jej okiem znawcy, z prawdziwym podziwem.

- Proszę nas zostawić, Luis.

- Ale...

- Niech pan nas zostawi, proszę.

Luis obrażony wychodzi. Elżbieta milczy. Zostawia Melchiorowi inicjatywę, lecz mija chwila, a on nic nie mówi. Jakby chciał zasugerować swym wyraźnym zachowaniem, że powinna znać przyczynę tej długiej obserwacji.

- Jest pan zadowolony z egzaminu? - pyta wreszcie Elżbieta.

- Jest pani doskonała.

To już słyszała w DGSE, w CIA i w FBI. Melchior wydaje się być pewny siebie. Ale w rzeczywistości czuje coś w rodzaju zażenowania - co mu się nigdy nie przydarzyło - które usiłuje pokryć długim milczeniem i zachowaniem a la meksykański macho, wreszcie mówi:

- Pani nie nazywa się Chavez, lecz Cortes, i pracuje dla Francuzów. Od dawna chciałem panią spotkać.

Zdanie to zabrzmiało jak wyzwanie. Elżbieta ma wrażenie, że ziemia osuwa się jej spod nóg: on wie! Jest zgubiona.

- I co zamierza pan ze mną zrobić? - przetyka ślinę.

- Jeszcze nie wiem. Zastanawiam się, dlaczego pani podjęła się tego zadania. Zrobiono ze mnie potwora?

- Tak...

- Oczywiście... Zabieram panią ze sobą, będzie pani miała czas to osądzić.

- Nie wiem, czy pan naprawdę sobie tego życzy, ale jestem gotowa jechać z panem.

Melchior wzywa ponownie Caso i rozmowa toczy się, jakby nigdy nic.

- W Torreón dała pani dowód skutecznego działania. Caso może sobie jedynie pogratulować, że miał panią u swego boku. W niecały rok wciągnęła pani do organizacji i ukształtowała więcej ludzi niż pani koledzy w ciągu trzech lat. Sądźmy, że nadszedł czas, by powierzyć pani zadania bardziej odpowiedzialne. Potrzeba mi rozważnych współpracowników, którym mógłbym ślepo zaufać, którzy będą organizować siatki w całym kraju i koordynować działania destabilizacyjne. Będzie pani również odpowiedzialna za miasto Meksyk.

- Meksyk? - Elżbieta udaje przed Caso zdziwienie.

- Tak, Meksyk. Losy kraju zawsze się ważą w jego stolicy.

- Ale...

- Co chciała pani powiedzieć? Słucham!

- Pan jest gringo, a ja...

- Pani zastanawia się, jaki mam w tym interes?

- Tak.

- Mógłbym pani odpowiedzieć, że w tym kraju mam dużo przyjaciół, że nienawidzę jankesów, że zarobię na tym dużo pieniędzy, że jestem idealistą. Każda z odpowiedzi, jakiej mógłbym pani udzielić, byłaby niepełna. Tylko przyjaciele? Tylko nienawiść? Tylko pieniądze? Tylko ideały? Czy wszystko to razem? Dając na to odpowiedź, skłamałbym. Moje motywacje w rzeczywistości są bardzo zwyczajne: chcę przyspieszyć nadejście lepszego świata. Czy to pani odpowiada?

- Jeśli to wystarczy, aby uwolnić mój kraj od jarzma wyzyskiwaczy, to tak.

- To wystarczy pod warunkiem, że nie zaniedbamy niczego, co pozwoli nam wygrać. Musimy być najlepsi we wszystkim i mam nadzieję, że pani będzie należała do tych najlepszych. Melchior mówi bez wahania. Jednak lekkie drżenie warg i częste mruganie powiek zdradzają Elżbiecie jego wewnętrzny niepokój.

- Czy mam wyjechać już dziś?

- Tak. Proszę tu być z rzeczami za trzy kwadransy. Kierowca Luisa zawiezie nas do jego posiadłości w Lerdo, gdzie mam swój helikopter. Może pani nim dysponować.

Elżbieta przystaje. Melchior odwraca się, gdy ona rzuca mu ostatnie spojrzenie, nim przekroczy próg.

30

Cuernavaca, Meksyk, 20 lutego 1988

Mijały dni. Elżbieta przebywała jako „zakładniczka” w rezydencji Melchiora. Jednak Szwajcar nadał jej górnołotny tytuł swego zastępcy. Czeka i próbuje zrozumieć. Ich stosunki są oziębłe, a kontakty rzadkie. Podczas każdego spotkania Melchior odkrywa przed nią swoje plany i każe jej oceniać. Oceniać co? Swe zamiary wstrząśnięcia światem dla zmniejszenia

nierówności? W jednym z pomieszczeń, wygłuszonym niczym studio nagrań, pokazuje jej organizacyjne

schematy siatek, objaśnia różne role, jakie odgrywają ludzie interesu i politycy, pyta ją o zdanie co do jakiegoś szczegółu, nigdy nie wspominając DGSE czy CIA. Po każdym takim spotkaniu znika tajemniczo z Karlem, tym człowiekiem-maszyną, który się nie uśmiecha i niewiele mówi. Ona zostaje z Jimmym i czeka. Szofer stanowi rozrywkę, nawet jeśli jego obecność jest niekiedy męcząca, rzadko bowiem zostawia ją samą. „Rozkaz szefa” - mówi wznosząc wzrok do nieba.

Elżbieta sprawdza godzinę, zbiera poufne raporty Głównego Okręgu Policji miasta Meksyk, kupione przez Saschauera od sprze-dajnych urzędników, i wciąga płócienne spodnie i pulower. Czas wychodzić. Ma dość kręcenia się w kółko po tym wystawnym gabinecie, który oddano do jej dyspozycji. Zresztą wszystko jest wystawne w tym budynku z epoki kolonialnej zamienionym w pałac. Pokoje, salony, łazienki, korytarze i kuchnia wskrzeszają pod tropikiem wspomnienia starej Europy. Elżbieta porusza się pośród ścian obitych intensywnie żółtym jadvabiem, podzielonych na panneau haftowane błękitnymi pasami, pośród żyrandoli z wisiorami i srebrzonymi ornamentami, połączanego brązu, kwiatów z porcelany, pośród mozaiki, boazerii, kosztownych mebli i cennych książek, złota na prawo, srebra na lewo, kryształu nad głową, perskich dywanów na marmurach, marmurów wchodzących aż do parku, gdzie Jimmy ćwiczy się w grze w golfa. Elżbieta opuszcza ten luksus, który przyprawia ją o mdłości, i podchodzi do szofera.

Jimmy okazuje swój zły humor; właśnie już szósty raz posłał piłeczkę do basenu z podgrzewaną wodą.

- Cholera! Nigdy nie przyzwyczaję się do tej kretyńskiej gry... Cześć Juju! Jeśli będziesz miała okazję, to poproś szefa, żeby zainstalował w garażu szafę grającą albo jakąś grę wideo z laserami i statkami kosmicznymi. Cokolwiek, żeby tylko robiło piekielny hałas i żebym mógł zdobywać punkty. Kapujesz?

- Tak, Jimmy... Chcę wyjść.

- No, to dobra myśl.

- Sama.

- Wykluczone. Znasz szefa, muszę iść z tobą. Jeśli pozwolę ci pójść samej, któryś z tych cholernych służących zaraz poleci mu donieść i dopiero nam się dostanie.

- To chodź ze mną - wzdycha Elżbieta.

- Wyprowadzę gąbłotę - mówi Jimmy, odrzucając z pogardą kij golfowy.

Kilka minut później są już w drodze do Cuernavaca, najelegantszego miasta Meksyku.

- Dlaczego pracujesz dla niego? pyta nagle Elżbieta, którą od początku dziwi żywiolowa obecność Jimmy'ego w dyskretnym świecie Szwajcara.

- Dla forsy i całej reszty. Widziałas jego chatę, to nic w porównaniu z tym, co ma w Australii. Jak ci to wytłumaczyć... To książę, a ja mam wrażenie, że jestem jednym z jego rycerzy.

- A Karl?

- To król głupców. Żadnych potrzeb. Żadnych wad. Nie pije, nie pali. Według mnie jest trochę pedałowaty i zakochany w szefie. Ale nie ma żadnych szans. Szef woli kobiety... i coś mi się wydaje, że bardzo wpadłaś mu w oko!

- Co?

- A tak! Mam nosa do tych rzeczy. Ty to nic nie widzisz. A on cały czas na ciebie zerka.

- Co ty opowiadasz? Nigdy go tu nie ma.

- To ty tak myślisz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic, Juju. Siedź cicho i zostaw sprawy ich biegowi.

- Jakie sprawy?

- Zadajesz za dużo pytań. To tak jak moja matka. Gęba ci się nie zamyka, cholera! A ja też ciągle kłapię dziobem jak papuga.

- Skąd jesteś?

- Z Nowego Jorku i znikąd. Wolę to drugie, bo to najlepszy sposób, by być wolnym, jeśli się jest wystarczająco sprytnym. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Jesteś gliną czy co? Byłem taksówkarzem, mój ojciec umarł w dokach, matka miała same problemy i pięcioro dzieci, cztery córki i mnie. To wszystko jest częścią gadaniną, to skończone, przebrzmiałe, wytarte, zapomniane. Skończyłem z całym tym gównem w dniu, w którym spotkałem szefa. Może to dziwny facet, ale to on wyciągnął mnie z piekła Harlemu i Bronxu. A poza tym pal to licho! Liczy się tylko chwila obecna! Gdzie jedziemy?

- Do Salto de San Antonio.

215

- Znowu? Co ty tam widzisz w tym gównianym wodospadzie? Jest piękny.

- Tak, to babski argument. Nie wolałabyś przejść się po targu?

- Nie.

Okay, Juju! Jedźmy łapać reumatyzm!

Majestatyczne, dzikie góry wznoszą się wokół Cuernavaca, stanowiącej bujną, otwartą przystań u stóp ośnieżonych wulkanów. Elżbieta idzie bez pośpiechu ku kaskadzie, ciągnąc za sobą Jimmy'ego jak psa, który odmawia pójścia dalej. Ten pejzaż robi na niej takie samo wrażenie, jak jakiś temat muzyczny, skomplikowany i gwałtowny, o tonach przywołujących na myśl orszak mędrca, uwielbienie ziemi i gloryfikację wybranki w Świącie wiosny Strawińskiego. Wszak znajduje się w krainie wiecznej wiosny. Duch przyrody, coś zuchwałego zdaje się ją wzywać. To wodospad.

Z wolna dochodzi do nich grzmot wody, spadającej z wysokości trzydziestu metrów.

W miarę, jak się zbliżają, krąg gór zdaje się zamykać ponad nimi i kilkoma turystami, zablakany w ten lutowy dzień. Wilgotna droga prowadzi ich aż do schodów wyciosanych w skałę.

Jimmy chucha. Nudzi go ten spacer. Natura budzi w nim przerażenie, zwłaszcza gdy nie jest ujarzmiona przez człowieka. Miasto to jedyne miejsce, w którym czuje się dobrze.

- Możesz poczekać tu na mnie, jeśli chcesz - mówi Elżbieta. Dobra, zapalę sobie jednego, kiedy ty będziesz się topić - odpowiada i siada na pniu z paczką papierosów w ręce.

- Wracam za trzy minuty. Okay, kurczątko!

Elżbieta wspina się po schodach. Wodospad wydaje piekielny huk. Nie kończący się wybuch, przypomina to jej bomby, które bez przerwy eksplodują na całej planecie. Być może Fryderyk

- zawsze wolała to imię - ma rację. Być może jest sposób położenia kresu temu chaosowi.

Stopnie schodzą aż pod wodospad. Turyści wydają ochy i achy!

- Ma pani informacje?

- Tak - odpowiada, nie patrząc na człowieka w nieprzemakalnej kurtce i śmiesznej, czerwonej czapce z pięcioma żółtymi gwiazdkami.

Podaje mu wieczne pióro, które znika natychmiast w skórzanej

torbie, przewieszanej przez ramię. Mężczyzna podaje identyczne pióro, które ona chowa w kieszeni spodni.

Nowe instrukcje Seyne'a. Znajdzie pani tam wskazówki dotyczące następnego kontaktu.

Powiedziawszy to mężczyzna oddala się i wraca do starszej kobiety, stojącej w zachwyceniu nad przepaścią. Elżbieta musi wracać. Odwraca się i staje jak wryta. Na jej twarzy maluje się zdumienie. Jimmy stoi o dwa metry od niej.

- Wielbiciele! - pyta, patrząc nieufnie.

- Nie, nie... pytał po prostu o nazwę wodospadu i czy jest możliwość wspięcia się na szczyt Popocatepetl.

- Ten kurdupel wchodzi aż tu i nie wie nawet, jak ta sikawa się nazywa. Nie dziwi mnie to.



- Dlaczego?

- Zrobił kilka zdjęć nie zdejmując przesłony z obiektywu aparatu. Elżbieta zmusza się do śmiechu, żeby ukryć zmieszanie. Jimmy nie jest idiotą. Elżbieta zdaje sobie sprawę, że źle się tłumaczyła. Cała nadzieja, że tumiwisizm szofera przeważą i nie rozpuści on języka przed Fryderykiem.

Jimmy bierze ją za rękę i odciąga od kaskady.

- Biegniemy? - pyta Elżbieta, gdy stają na szerszej ścieżce.

- Dobra.

Zaczyna się śmiać i rzuca się pędem, zostawiając Elżbietę w tyle. „Sprawię, że będziesz się śmiał cały dzień” - postanawia, idąc w jego ślady.

Od chwili, gdy spotkał Elżbietę, Melchior doznaje dziwnego i niejasnego uczucia. Niekiedy, w samotności, ma wrażenie, że sam siebie oszukał. Coś się zepsuło i oderwało go od jego zajęć. Ta Francuzka burzy jego spokój wbrew jego woli, mimo zapału, z jakim pracuje. Świat nie wydaje mu się już tak niesprawiedliwy...

Nie, świat, jego świat nie zmienił się. Wszędzie zdrada, tchórzostwo i okrucieństwo. Nawet tu, w Błogosławionej Cuernavace. Mija chwila. Pociera twarz rękami, odsuwa od siebie niepokoje. Błądzi wzrokiem po urządzeniach, które przez satelitę łączą go ze wszystkimi towarzystwami i największymi ośrodkami finansowymi. Wszystko idzie doskonale. Cyfry balansują na granicy powodzenia i niepowodzenia, a ich długie kolumny w nieustannym ruchu przypominają bezpardonową walkę wydaną sobie przez narody.

Melchior wyjmując z kieszeni kartę. To diabeł z gry w taroka. Nosi ją zawsze przy sobie.

Przypominają mu się słowa Marty i mimo woli uśmiecha się, wyobrażając sobie siebie na miejscu tego straszliwego demona w ostatnim stadium buntu. Przeczucie - to utożsamienie się, a utożsamienie się to związek duchowy. Przez wyzwanie dotarł do przeczucia zła. I wyzwaniem musi udowodnić, że to zło jest w rzeczywistości dobrem.

Podnosi się i wychodzi zza ogromnego biurka zarzuconego dokumentami, nad którymi siedzi całymi nocami. Jego ręka przesuwana się pieszczotliwie po zimnych szkieletach komputerów, potem po ramieniu Karla. Ten, pochylony przed zielonkawo migoczącym pulpitem, drgnął z rozkoszy. Melchior błogosławi jego dyskrecję. Wszyscy jego współpracownicy powinni być tacy jak on.

- Na czym stanęliśmy? - pyta Karla, opierając się na łokciu obok niego.

- Wall Street znowu straciła sto punktów. To samo będzie z innymi giełdami. Jak było do przewidzenia, wobec trudności finansowych i pogłosek krążących na rynkach, obligacje Sanwa Bank i Tokai Bank wciąż mocno spadają. Spadek występuje wszędzie. Najbardziej ucierpiały Tenneco, Bat, Elf Aquitaine, Ciba-Geigy, AG Thyssen, Ford, United States Steel, Chevron, Beatrice Food, Lucky Group i Montedison. Ponadto wszystkie towarzystwa, które odnotowały hossę dzięki pożyczonym kapitałom, mogą upaść gwałtownie, jeśli sytuacja polityczna i ekonomiczna będzie nadal niekorzystna.

- Upadną, kiedy o tym zadecyduje kartel, Karl, ale jeszcze nie nadszedł czas. My musimy tylko podtrzymywać tę niepewność przez kilka tygodni tak, aby zwątpienie nie opuszczało spekulujących na giełdzie.

Nie czekając dłużej Melchior łączy się z Diezem, potem z Mendoza i Anwarem, potem z innymi zaufanymi, rozsianymi po całym świecie. Daje im dokładne rozkazy dotyczące kupna i sprzedaży. Do nich należy reszta.

Wreszcie wychodzi z podziemnej sali, urządzonej pod domem, wspina się po ciemnych schodach i dociera do garażu, gdzie czeka na niego Jimmy.

To najdalsza część domu, ogromny pokój z trzema oknami o eleganckich łukach, wychodzącymi na taras. Elżbieta się rozbiera. Kinkiety umieszczone po obu stronach wielkiego lustra ledwie oświetlają jej ciało swym miedzianym blaskiem. Zrzuca ubranie na

worzysty dywan, ściąga lędźwie, by zsunąć spódnicę. Przygląda się krytycznie brzuchowi i udom; lekkie dotknięcie piersi poprzez koronkę biustonosza sprawia, że jej wargi rozchylają się nieco. Drży. Przenika ją nieskończenie przyjemny dreszcz. Zdaje się zatapiać w kontemplacji swej twarzy, twarzy Juany i Elżbiety, dwóch kobiet w jednej. Tak podobnych, a tak różnych. Tak podobnych w odczuwaniu przyjemności.

Myśli o Fryderyku. Czy on jej się podoba? Tak. Mimo że nie przypisuje snom proroczego znaczenia, wystarczy jej zamknąć oczy, by wiedzieć, że byłby dobrym kochankiem...

Otwiera oczy i policzki jej pokrywają się ciemnym rumieńcem: na progu stoi Fryderyk. Nie spuszcza z niej oczu. Musi pragnąć ujrzenia jej ciała pod bielizną, pragnąć całowania jej piersi i brzucha. To właśnie wyobraża sobie, widząc, jak on się zbliża, lecz...

- Proszę się przykryć - mówi Fryderyk rzucając jej peniarz leżący na łóżku.

- Co pan tu robi?

- Muszę z panią bardzo poważnie porozmawiać - odpowiada i siada na brzegu łóżka, nie spuszczać z niej oka.

Elżbieta nie pyta o nic. Boi się dowiedzieć. Nie może znieść myśli, że przyszedł do jej pokoju na przesłuchanie. Zamierza ponownie usiąść na taborecie przed toaletką, gdy znów dociera do niej głos Fryderyka. Nie wściekły, lecz tak groźny, że ma ochotę uciec i zamknąć się w łazience.

- Kim jest ten mężczyzna, który podszedł do pani w Salto de San Antonio?

Jaki mężczyzna?

Ten w czerwonej czapce.

- Ach, ten turysta!

- Proszę nie uważać mnie za idiotę, Elżbieto. Wymieniła pani z nim pióra. Taka wymiana nie jest mi całkiem obca.

- Nie rozumiem nic z tego, co pan mi mówi.

- Czy styl Seyne'a jest wciąż taki suchy? - pyta szorstkim i lekceważącym głosem, po czym wstaje i zbliża się do niej.

Elżbieta zaczyna zdawać sobie sprawę, że jej maska się kruszy. Ogarnia ją panika. Wreszcie, usiłując kontrolować głos, mówi:

- Wiem, że nie mogę żądać dla siebie wiele i że pan musi mnie nienawidzić.

Melchior milczy. Staje przed nią i wpatruje się bez słowa. Elżbieta jest u kresu wytrzymałości. Nie bierze nawet realnie pod uwagę wszelkich rzeczywistych wyjaśnień, które mogłyby wyciągnąć ją z niedobrej sytuacji. Gwałtownie opuszcza głowę. Melchior widzi jej twarz tylko poprzez czarne pukle włosów, które opadły jak zasłona, i jej ręce, leżące płasko wzdłuż ud. Przechodzi gwałtowny kryzys wewnętrzny: palce jej splatają się i rozplatają nerwowo.

- Nie wiem, co jeszcze skłania panią do pracy dla DGSE - mówi Melchior po francusku.

Ręce Elżbiety drżą. Chciałaby móc lepiej nad nimi panować, lecz to się jej nie udaje. Traci panowanie i popada w otępienie. Rozkleja się i płacze.

- Mam wtyczki w Paryżu i agenta - dodaje Melchior. - On jest w Cuernavaca od pani przyjazdu. To on doniósł mi o pani spotkaniu w Salto de San Antonio, a nie Jimmy, jak pani może przypuszczać. Był także w Sonorze, potem w Torreón. Mógł panią zlikwidować w każdej chwili, gdybym tego zażądał. Nic nie może mi umknąć, kupuję informacje i ludzi we wszystkich służbach specjalnych.

Wszystko się wali, świat wiruje dokoła, a ciemność się zagęszcza. Gdzie są Seyne i Belman? Kto może wyciągnąć ją z tej pułapki?

- Jednak nie zrobiłem tego, bo było we mnie coś, co mi w tym przeszkadzało... Być może dlatego, że już wtedy panią kochałem. Kocham panią tak bardzo, że nie obchodzi mnie już nic więcej. Może dlatego, że została pani stworzona, by mnie zniszczyć. Czy zdoła pani to pojąć? Kocham jedyną osobę, która rzeczywiście jest w stanie mnie zrozumieć. Tak naprawdę nigdy

nikogo nie pragnąłem. Nie w taki sposób, całkowity, absolutny, który zmienia pożądanie w ultimatum.

Mówiąc te słowa, bierze rękę Elżbiety w swe dłonie, pochyla się nad nią. Zbita z tropu jest jeszcze pod wrażeniem tego, co przed

chwilą usłyszała. Nie bardzo wie, czy ma się uśmiechać, czy płakać. Melchior podnosi ją i bierze w ramiona. A ona, przytulona do jego piersi, zaczyna odzywać.

Melchior porusza się wolno, patrzy na nią, zanim pocałuje ją w czoło. Leżą na łóżku. Elżbieta uświadamia sobie, że to ona do niego się przytula, ona go prowokuje, ona go rozbiera, pieści dłonią i ustami, ona prowadzi go w siebie.

31

Nowy Jork, czerwiec 1989

Elżbieta i Fryderyk są sami na sto siódmym piętrze Północnej Wieży World Trade Center. Sami w panoramicznej restauracji „Windows on the world”\*, którą zarezerwowali na ostatnią noc w zachodnim świecie. Przyglądają się miastu, drapaczom chmur roztopionym w tym samym płomieniu, nocy znaczonej świetlnymi sztyldami. Nowy Jork o tysiącach światel rozdaje jałmużnę gwiazdom. Szalony Nowy Jork wyrzucił na ulice wszystkich swoich mieszkańców szukających odrobiny ochłody; przez cały dzień straszliwy upał skłaniał do uwierzenia w przepowiednię głoszoną przez radio: wartość dolara spadnie. Dwa dni wcześniej rządy siedmiu państw: Meksyku, Chile, Argentyny, Południowej Korei, Brazylii, Indonezji i Filipin, we wspólnym oświadczeniu zdecydowały nie spłacać więcej długów krajom pożyczającym.

- Za stadny instykt tłumów! Za bessę! - mówi Fryderyk, wznosząc kieliszek.

Elżbieta podnosi swój kieliszek i mówi po prostu: „Za nas dwoje!” Dzisiaj wie, że Fryderyk miał rację... Świat musi się zmienić. I zmieni się w tak krótkim czasie, w jakim Bóg go stworzył. Tłum to „cały świat”, który straci pieniądze ze swego portfela obligacji. Od chwili gdy ogłoszono alarmujące wieści krążące w kołach finansowych, wszyscy posiadacze akcji zechcą je sprzedać jak najdrożej i jak najszybciej. Niepokój będzie się rozprzestrzeniał jak plama oliwy. To

\* Okna na świat. (Przyp. tłum.)

właśnie już jej wyjaśnił. Patrzy na nią, bierze jej rękę i podnosi do ust.

- Kocham cię.

- Ja też, ale boję się. Co z nami będzie, wydaje się, że wszyscy ludzie poszaleli?

- Nie daj się zwieść pozorom. Wszystko jest miłością. Ale wokół nas ludzie nie znają jeszcze tej tajemnicy; od wieków szukają odpowiedzi we władzy, w pieniądzu; ich dusze obciążają sprawy materialne. Według mnie miłość jest trudna i wymagająca... do dzisiejszego dnia uważali ją za słabość.

Elżbieta nie odpowiada. Mogłaby chyba w to uwierzyć. Nie może odnaleźć się w tym nowym łaździe. Przeczuwa jednak, że Fryderyk ma rację.

- Pewnego dnia oni to zrozumieją - dodaje głosem pełnym wzruszenia.

- Wybacz, lecz trudno uwierzyć w marzenie.

- Wiem, Elżbieto, to koniec takiego świata, jaki znamy, wielkie zmiany wymagają wielkich poświęceń.

- Co się stanie?

- Będziesz świadkiem ogromnych wstrząsów. Nie do porównania z powolnym upadkiem podczas krachu w dwudziestym dziewiątym roku, żyjemy przecież w okresie błyskawicznej komunikacji. Wszystko to dzieć się będzie bez ostrożności i dyskrecji. Dzisiaj deponenci wycofali ogromne sumy wkładów. Jutro banki będą zmuszone powiększyć swój stan majątkowy i wycofać dużą część swych zasobów, które same zdeponowały w innych bankach. A ponieważ już teraz większość tych banków jest w stanie potencjalnego upadku,

jeśli upadnie jeden z nich, pociągnie za sobą wszystkie... Będiesz mogła wytłumaczyć to wszystko Seyne'owi.

Elżbieta zadrzała. Nigdy nie chciał, by zaprzestała dostarczać informacji DGSE. Było to jedyne możliwe wyjście. Jej misja chroni i jego, i ją. Mimo że od czasu wybrania demokracji na prezydenta Stanów Zjednoczonych cieszy się znów zaufaniem amerykańskiej administracji.

- Wejdzimy w zupełnie inną erę ciągnie Fryderyk. - Wszystkie uprzemysłowione państwa będą musiały stanąć oko w oko z bezprecedensowym wzrostem bezrobocia i zmuszone zostaną porzucić

problemy polityki zagranicznej. Stany Zjednoczone odizolują się. Europa częściowo się sfinlandyzuje, a Afryka eksploduje wielką liczbą państw feudalnych. Związek Radziecki straci trzy czwarte swojego terytorium i otworzy swe zachodnie granice dla Europejczyków. Japonia stanie się tak samo biedna jak Albania. Tylko Chiny i Australia wyjdą z tego cało. Era Wodnika będzie erą chirisko-australijską. Będzie to także era systemu D\*, pracy nielegalnej, podziemnej gospodarki i złota. A ja mam kilka ton złota w rezerwie dla nas dwojga w Australii.

Kilka ulic dalej Michael Norton, siedząc niewygodnie na barowym stołku, powtórnie czyta artykuł dopiero co napisany w taksówce, która przywiozła go na róg Siódmej Alei i Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Zanim pójdzie do budynku „New York Times'a”, zamawia potrójną kawę, choć przydałaby mu się raczej potrójna whisky.

- Cholera - mówi do siebie, kończąc lekturę.

To, co właśnie spłodził, bardzo przypomina mowę pogrzebową nad dolarem. W jaki sposób obroni to przed Nickiem, redaktorem naczelnym? Przy Nicku on przestaje istnieć. Gdy tylko wchodzi do szklanej klatki, która służy straszliwemu szefowi za biuro i wieżę kontrolną, zamyka się w sobie. Jako specjalista od ekonomii i finansów jest pewien, że trzyma w ręku artykuł swego życia, że te kartki go wyświęcą i wyniosą wprost na dziesiąte piętro pomiędzy sławy zawodu dziennikarskiego, zachowane w dobrym miejscu w Museum of the Printed World.

Wstaje z taboretu, opuszcza bar i Siódmą Aleję. Wchodzi do sławnego budynku na Czterdziestej Trzeciej Ulicy w tej samej chwili co inni galernicy talentu: trzech pismacy z sekcji „Rozrywka i Spektakle”. Przed nim windy wchłaniają rozwrzeszczaną bandę redaktorów kroniki wydarzeń i kronik artystycznych. Widzi po ich twarzach, wnioskuje po ich przekleństwach, że tej nocy gazet nie wypełnią drobne wypadki. Jutrzejsza gazeta i jej charakter są im już znane. Ekonomia przeważa nad informacjami ogólnymi, społeczny-  
\* System D - od słowa „debrouillage” - sztuka radzenia sobie; zaradność, spryt życiowy.  
(Przyp. tłum.)

mi i polityką. Na wiele godzin przed zamknięciem numeru są już podnieceni, nawet starzy redaktorzy, którzy niejedno widzieli.

Michael wzdycha i wchodzi na schody. Wreszcie, niechętnie, miesza się z tłumem. Robi zaledwie kilka kroków, gdy zza słupa wychyla się czyjaś głowa. Blondynka, o bardzo krótkich włosach i ustach pociągniętych różową, perłową szminką. To Helen, nie powinien był z nią spać...

- I co? - krzyczy swym wrzaskliwym głosem.

Ukazują się inne głowy, obracają ku niemu, trzaskają szklane drzwi. Pokazują go palcami. Ponaglają wzrokiem. Ścigają niemym pytaniem. Jego wczorajszy artykuł, w którym piętnował banki, wywołał sensację.

Blondynka porzuca swój teleks i chwyta go za ramię:

- Pytałam ciebie o coś.

- Potrzebuję spokoju - odpowiada znużony.

- A ja informacji.

- Wyjdziemy z tego.

Jest jak dziecko przyłapane na kłamstwie. Nie wierzę w ani jedno słowo. A prawo do informacji, jak się na to zapatrujesz? W łóżku jesteś rozmowniejszy, mój drogi. Unika jej wzroku, gdy staje przed nim w stanowczej postawie.

- Hej, ekspercie! To jest już tak źle? - drze się jakiś dziennikarz sportowy.

- Jest już tak źle? - ciągnie spokojniej blondynka.

Młode wilczki, które ząbkują dopiero po komisariatach, przybiegają z pomocą, za nimi hałaśliwa sfera statystów i sekretarzy redakcji. Otaczają go, zagłuszają kakofonią dźwięków dokoła i molestują, by powiedział prawdę.

Wówczas robi tę niebywałą rzecz. Grzebie w kieszeni i wyciąga z niej banknot dziesięciodolarowy, drze go na osiem kawałków.

Kupujcie złoto, póki jeszcze czas - mówi rozsuwając osłupiałe szeregi, by skierować się do szklanej klatki na podwyższeniu, gdzie zasiada redaktor naczelny.

Przez kilka sekund pozostają oszołomieni, w chwilę potem rozbiegają się, by opowiedzieć to zdarzenie siedmiuset pięćdziesięciu innym dziennikarzom. Główny hall zaczyna huczeć ze wszystkich stron. Sekcję gospodarki zasypują telefony, potem, gdy tylko informacja, że „dolar spada”, zostaje potwierdzona i wyolbrzymiona, jedni dzwonią do przyjaciół, inni do żon, najbardziej przezorni zasięgają informacji u swoich rywali w Ameryce i za granicą. W „Washington Post” - żadnej reakcji. To tam, w tajemnicy i gorączkowo przygotowuje się pierwsze poranne wydanie. Tytuł na pierwszej stronie: „Wall Street, cmentarzysko papierów wartościowych”.

„Zmiany są nieuniknione. Chodzi jednak o to, aby wiedzieć, czy światowa wspólnota podejmie stanowcze i rozsądne kroki, by ich dokonać, czy też zmiany te zostaną narzucone nam wszystkim na skutek biegu wydarzeń, nad którymi międzynarodowa wspólnota nie będzie miała żadnej kontroli”.

Wszyscy bankierzy pamiętają dobrze te słowa z raportu Brandta. Kontrolę już utracono. To, co nieuniknione, stało się ich koszmarem. Zgromadzeni, być może po raz ostatni, na nadzwyczajnym zebraniu w hotelu „Sheraton” w Waszyngtonie, spacerują przeważnie po hallach i podziemiach, pochłonięci własnymi myślami. Świta im cień złudnej nadziei, gdy przybywają delegacje japońska, niemiecka i szwajcarska, wypływane kolejno przez dziesięć limuzyn na betonowy podjazd przed hotelem; szybko jednak następuje rozczarowanie, gdyż te delegacje nie mają nic do powiedzenia, nic do uratowania, nic do udowodnienia, nic do zaproponowania w ramach dawnego systemu, zaś myśl o wyrzeczeniu nawet nie przychodzi im do głowy.

„Każdy sobie!” - mówią ich spojrzenia.

Podczas spotkań prym wiodą Niemcy i Francuzi. Im bardziej dotyka ich złe zrzędzenie losu, tym więcej buntują się przeciw niemu. Oporni wobec nieuchronności, oporni wobec bankructwa, czują się bardziej wolni w chwili, gdy najgorsze powinno ujarzmić ich ducha. Umocnieni poparciem swych europejskich kolegów z rozmachem kreślą zarys jutrzejszego świata, wolnego świata, zjednoczonego, pozbawionego granic, świata, który odrodzi się z popiołów, gdyż przyszłe lata będą trudne.

Pierwszy raz w historii zjazdów wiele delegacji atakuje gwałtownie i bezpośrednio przedstawiciele głównych banków odpowiedzialnych za zadłużenie: Chase Manhattan Corporation, Bank of America Corporation, Citicorp, J-P. Morgan Co i Manufacturers Hanover

Corporation, które, już zwyciężone, słabo się bronią, wysuwając słabe argumenty; były zmuszone pożyczyc z rozkazu Białego Domu, Rezerwy Federalnej lub kogoś tam jeszcze; żaden bankier na świecie nie chciał, kiedy był na to jeszcze czas, w 1984 roku wziąć pod uwagę The A to Z of Debt Relief Schemas\*: obszernego programu złożonego z trzydziestu

sześciu planów-cudów, który mógłby uratować świat, ale, prawdę mówiąc, był nie do zastosowania. Na co oni wszyscy liczą?

Źle zrozumiani Europejczycy wracają na stary kontynent, już pochłonięci ogromnymi problemami reorganizacji ekonomii całej wspólnoty i podjętym ryzykiem politycznym. Trzeba zrobić wszystko, aby uniemożliwić wejście Europy Zachodniej w sferę wpływów sowieckich. Na szczęście z ostatnich wiadomości wynika, że sowieci zwrócili oczy na Azję Centralną i Kaukaz, gdzie ruchy muzułmańskich integrystów, nagle zakochanych w wolności, przeradzają się w bunt.

Mijają godziny i dni, ci, którzy pozostali w Waszyngtonie, chcieliby przeciwstawić pocieszające rozwiązania zbijającej z tropu prawdzie. Wszyscy czatują na receptę na odpoczynek i lekarstwo od niepokoju. Na próżno. Mówi się im, że świat będzie kroczył ku systemowi bezwalutowemu, ku podziemnej gospodarce i nielegalnej pracy; że po wojnach i rewolucjach, które wybuchają tu i ówdzie, nastanie ustrój powszechny, ani kapitalistyczny, ani socjalistyczny, a wielkie metropolie się wyludnią... Większość z nich nie panuje nad sytuacją. Inni usiłują zyskać na czasie. Okulary zasłże mgłą, czarne, błyszczące oczy - to Japończycy i Chińczycy spiskują w kącie. Wyraźnie widać, że ci pierwsi zbliżają się do tych drugich z pochlebstwami, podlizują się im, nadstawiają otwarte dłonie gestem niesłychanym, podyktowanym agonią jena i gwałtownym buntem, rozgorzałym na japońskich wyspach od dwudziestu czterech godzin.

A ci, co nie wierzą w nową erę ludzkości, przeżywają piekło. Nagle okradzeni, zrujnowani, są karykaturami siebie samych, stają się automatami, podpisując to, co trzeba podpisać, grzebiąc to, co ma być pogrzebane, aż do chwili kiedy rozpamiętując swe nieszczęścia wybiorą śmierć.

\* Schemat od A do Z zniesienia zadłużeń. (Przyp. tłum.)

Piętnaście dni później

Gary Teallery przybywa do siedziby swojej spółki z półgodzinnym wyprzedzeniem i staje w oknie swego biura. Chudy mężczyzna, z łysiejącym czołem i w okularach w oprawie z masy perłowej. Na ulicy jest już ruch. Kiedyś, tą właśnie Ulicą Hudson, przybył tutaj, otrzymał zatrudnienie jako zwykły urzędnik, dwadzieścia lat później został dyrektorem. Dzisiaj jest niczym. Nawet gdyby wystroił swój okropny szkielet w najpiękniejsze kostiumy teatralne, nadal byłby nikim. Stracił wszystko na Wall Street, w Paryżu i Hongkongu.

Gary wzrusza ramionami, odsuwa się od okna, chodzi w kółko po gabinecie, z którego zarządzał swoim królestwem. Wspomnienia uleciały wraz z jego prestiżem. Twarze współpracowników rozplynęły się jednocześnie z jego kapitałem. Zostały tylko cienie. Bierze do ręki nóż do rozcinania papieru leżący na biurku i siada w dyrektorskim fotelu, w którym podejmował tyle ważnych decyzji. Nóż wydaje mu się delikatny, zbyt delikatny, by podciąć nim sobie żyły. Trudno też zatopić go w sercu. Zmarszczona skóra czoła ściąga ku sobie brwi, gęste jak wasy Turka. Nie, zdecydowanie nie. Nie wypada, aby się zaszlachtował tym śmiesznym narzędziem.

Gary miał zawsze sceniczne wyczucie. Nie chce, aby się z niego śmiano. Nie chce iść w ślady dyrektora banku swej żony, który nie wymyślił nic lepszego, żeby zakończyć swój żywot, jak pigułki nasenne. Znalaziono go leżącego w piżamie obok budy swego psa. Jego jedyną zasługą był fakt, że stanowił jedną z pierwszych ofiar kryzysu. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin w Nowym Jorku miało miejsce osiem tysięcy samobójstw. Banał. Jak skończyć z sobą? To, co robi największe wrażenie na tłumie, to śmierć przez podpalenie. Chyba żeby wybrać dynamit, jak ten dyrektor zakładów naftowych, który wysadził się w powietrze z wierzchołka swej szklanej wieży w Austin... Nie!

Gary'emu braknie wyobraźni, decyduje się skończyć ze sobą w sposób banalny. Na przykład piękny skok na Ulicę Hudson w godzinach, kiedy biura są otwarte, pod warunkiem, że jakies będą jeszcze otwarte. Gary zachowuje się tak, jakby go szpilka ukłuła w plecy. Z twarzą

nabiegłą krwią podchodzi znowu do okna. Dwanaście pięter, śmieszna wysokość dla kogoś, kto spadał przez jedena-

ście dni. W dole tłum zalewa trotuary. Z trudem odsuwa oszkloną płytę okna. W końcu ostrożnie zdejmuje okulary, wsuwa je do wewnętrznej kieszeni swej alpagowej marynarki, poprawia węzeł krawata i wspina się na obramowanie okna.

Nagle Nowy Jork przestaje być miastem o wyraźnych i ostrych konturach, a robi się uroczym, zwiewnym obrazem. Gary myśli niemądrze, że zawsze powinien był przechadzać się bez swych okularów krótkowidza, miałby impresjonistyczną wizję miasta... Za późno.

- Pozdrawiam cię, Nowy Jorku - woła, pochylając się nad próżnią.

Jego upadkowi towarzyszy krzyk jakiejś kobiety. Gary rozbija się u stóp dziewczynki, kołyszącej swą lalkę przed wejściem do budynku. Dziewczynka porzuca zabawkę i podchodzi, by popatrzeć na tego człowieka, a zwłaszcza na krew, która płynie po betonie i kreśli zawiłe esy-floresy. Nie jest zbyt przestraszona, myśli tylko o przygodzie, jaka ją spotkała. W tak krótkim czasie tyle nieprzewidzianych rzeczy. Nie ma zajęć szkolnych: nauczyciele i nauczycielki zniknęli jeszcze przed wakacjami. Nie ma rozkładu lekcji. Nie ma ustalonych programów w telewizji. Nie ma już pewnych siebie osób dorosłych. Koniec z przyzwyczajeniami, jeśli chodzi o jedzenie: cena zwykłych lodów podskoczyła do 6 dolarów, a hamburgerów do 15; zresztą pozamykano bary MacDonalda. Dziewczynka z rozbawieniem obserwuje zaniepokojenie dorosłych, którzy nie mają już gotowej odpowiedzi na wszystko. Prezydent w telewizji, agent ubezpieczeniowy mamy, trzeci tatuś dziewczynki, pastor, wszyscy coś bełkocą albo wpadają w gniew. Wszyscy wreszcie skończą z sobą jak ten biedak.

- A co ty tu robisz? - pyta jakaś pani.

- Czekam na mamusię. Mamy jechać do cioci Maud, na wieś. Tam jest ładnie i są konie na łące, ale ja wolałabym zostać tutaj, tu jest zabawniej.

Elżbieta patrzy ze zdziwieniem na tę ośmioletnią dziewczynkę, która odpowiada jej z zupełną beztróską, całkowicie obojętną na widok trupa, z którego upływa krew.

- To poczekaj tam, w środku krzyczy wypychając dziecko poza pole widzenia ciała Gary'ego.

Dziewczynka oddała się burcząc coś. Elżbieta boi się tych wido-

wisk śmierci, boi się tego świata, który się wali mimo wszelkich prób ratowania go: w Europie utworzono system wspólnoty europejskiej, jednoczącej wszystkie partie polityczne; dla powstrzymania kryzysu podjęte zostały drakońskie środki, jednak codziennie dziesiątki tysięcy zakładów likwiduje się i ogłasza upadłość; banki zostały zeuropeizowane i upaństwowione; pensje urzędników państwowych zmniejszono o połowę; złoto poszczególnych państw połączono, wszędzie na Starym Kontynencie wybuchają rewolty, a Niemcy i Włochy muszą stawiać czoło fali terroryzmu na nie znaną dotąd skalę. Stany Zjednoczone opracowały doraźny program ochrony interesów z natychmiastową obniżką wszystkich wydatków państwa o 60 procent; program SDI został wstrzymany, V i VI flota powracają do swych macierzystych portów w Stanach Zjednoczonych, aby już z nich nie wypływać; prawie sto pięćdziesiąt okrętów wojennych podzieli ich los, wszystkie bazy NATO zostaną zniszczone i nie ma mowy o tym, aby amerykańska marynarka interweniowała w Korei Południowej, gdzie wybuchł właśnie konflikt z Koreą Północną... Związek Radziecki zaprzestaje natychmiast swej pomocy dla socjalistycznych krajów trzeciego świata, niemal połowa jego wojsk rozlokowanych w Europie Wschodniej zostaje wycofana i zmierza ku socjalistycznym republikom na wschodzie i na południu, gdzie podnoszą głowę muzułmanie... Japonia natomiast nie znalazła wyjścia z sytuacji.

Ryk syren policji, straży pożarnej i karetok pogotowia. Ciężarówka pełna wojskowych mija Elżbietę.

- Pożar w Irving Trust Building - rzuca mężczyzna słuchający radia wewnątrz samochodu. Pożar w Irving! Pożar w Irving!

Ktoś ją potrąca. Gapie rzucają się w stronę Broadwayu. Elżbieta cofa się z przerażeniem w oczach. Wreszcie opanowuje się, przechodzi przez ulicę i cztery minuty później wchodzi do budynku towarzystwa telefonicznego na Washington Street. Panuje tu całkowity bałagan. Zbici z tropu urzędnicy czekają na polecenie swych przełożonych, którzy zniknęli. Za kilka dni nie będzie już możliwe nawet zatelefonowanie do New Jersey.

Elżbieta musi ostatecznie załatwić swoje sprawy. Tak jak było uzgodnione, podchodzi do niej mężczyzna ze skórzaną teczką i laską. Idzie za nim wzdłuż korytarzy administracji.

Mężczyzna otwiera

jedne drzwi, potem następne, dwoma różnymi kluczami. Elżbieta znowu wychodzi, ale na Ulicę Zachodnią; przechodzą przez budynek na jego drugą stronę. Kilka metrów dalej stoi samochód Seyne'a, szary oldsmobile z obiciami z czerwonej skóry. Przednie drzwiczki otwierają się. Ukazuje się głowa pułkownika.

- Proszę wsiadać.

- Dokąd jedziemy?

- A dokąd chce pani jechać? Wszystko stracone. Pani zadanie jest skończone. Nie mamy już kredytów. Likwidujemy wszystko, tak będzie najlepiej. Zdążymy jeszcze zabić Kadafiego, dobre i to. A co do Saschauera, skoro nie istnieją środki istotnego ograniczenia imponderabiliów, DGSE woli zostawić go przy życiu.

- Zostaję z nim - mówi Elżbieta.

Seyne nie odpowiada, być może czegoś się domyślał. Wreszcie przystaje na to. Jedzie szybko w górę Ulicy Hudson aż do mostu Washingtona. Nagle, po przejechaniu przez rzekę, zjeżdża z autostrady i zatrzymuje się na małym parkingu.

- Proszę to wziąć - mówi wciskając jej do ręki pistolet Ruger Speed i pudełko z nabojami.

- Mam własny w domu.

- W obecnej sytuacji powinna pani nosić go przy sobie, jadą za nami od początku. Niech pani spojrzy na tego niebieskiego forda, który właśnie zatrzymał się za mostem.

Rzeczywiście o sto metrów dalej stanął ford, z którego wysiadł mężczyzna.

To jeden z najemnych morderców Casey'a. Polowanie trwa. Szef CIA zniknął już dawno; „Recovery” jest w archiwum, a oni nadal polują na różnych uczestników tej dawnej operacji. Tym razem Elżbieta zamierza z tym skończyć. Ładuje swojego Luger'a i idzie w stronę agenta.

- Pani oszalała! - krzyczy Seyne chwytając ją za ramię.

- Niech pan mnie zostawi.

- Szlag by to trafił!

Seyne wyciąga broń i staje przed nią. Grozi jej chcąc, aby się schowała za samochód. W tym czasie agent przybliży się. Ten manekin, nawykły do wojny, zasadzek i dokładności zawodowych morderców, ale dokładności jakby naturalnej, która zdaje się wypływać z instynktu, a nie z woli, jest w zasięgu strzału. Nagle w jego prawej ręce pojawia się czarny przedmiot, a lewa dłoń podpira prawą. Padają trzy strzały, trafiając Seyne'a w plecy. Elżbieta rzuca się na ziemię i strzela. Kule sięgają celu. Mężczyzna chwytą się za szyję. Wykonuje obrót, a Elżbieta nie przestaje strzelać. Dopóki nie opróżni magazynku. Czołga się do pułkownika, lecz on już nie żyje. Elżbieta nie odczuwa ani smutku, ani radości; ci mężczyźni zniknęli po prostu z jej życia szybciej, niż się w nim pojawili.

Godzinę później wchodzi do Central Park West, gdzie znajduje się ich apartament. Drzwi windy rozsunęły się, ukazując tłoczących się ciekawskich, niemal tłum, który spocony strażnik ochrony budynku usiłuje zmusić do cofnięcia się. Na widok Elżbiety blednie. U jego stóp leży podłużny kształt, owinięty w zielony, plastikowy worek.

- Stało się nieszczęście - mówi.



Wyciągnięte do przodu ramiona strażnika nie wystarczają, by powstrzymać Elżbietę. Pochyla się i gwałtownie podnosi plastik. Karl wygląda, jakby spał, koszula i marynarka na piersiach są poplamione krwią.

- Wezwaliśmy policję, ale oni mają teraz tyle roboty z buntem w Harlemie i rabunkami, że na pewno nie przyjadą - mówi żona strażnika ochrony budynku.

- Usłyszeliśmy strzały, ale nic nie widzieliśmy - dodaje jakaś kobieta.

Elżbieta podnosi się, roztrąca je i biegnie do windy. Chwilę później jest w apartamencie.

- Fryderyku! - krzyczy widząc go wychodzącego z salonu z bronią w ręku.

- Elżbieto!

Dziewczyna rzuca się w jego ramiona.

- Bałam się, że nie zobaczę ciebie żywego!

- Czekał na mnie w drzwiach budynku. Karl poświęcił się, stając między nami. Udało mi się dotrzeć do mieszkania.

- Już nic nam nie grozi. On nie żyje.

- Wyjeżdżamy stąd, Elżbieto!

Ile to już godzin podziwiają morze? Trudno powiedzieć. Nagle wielki hałas wyrywa ich z marzeń, to samochód Jimmy'ego z oberwanym błotnikiem uderza o pachół cumowniczy.

- Jimmy! - krzyczy Elżbieta.

Jimmy, cały i zdrow, wyskakuje z wraku i wbiega na statek, który podnosi kotwicę.

- Nowy Jork płonie - mówi ocierając krew płynącą z policzka. - Moja matka i siostry nie żyją.

I pierwszy raz w życiu zaczyna płakać. Fryderyk obejmuje go i mówi ciepło:

- Ale ty żyjesz. I inni żyją. A z jeszcze innymi odbudujemy świat, w którym nie będzie już Harlemów. Jutro wszyscy będziemy sobie równi... równi...

Podobne falam bijącym o dziób statku, słowo to bije w ich sercach. Wierzą w nie wszyscy troje. Troje. Lecz czyż ta liczba nie jest początkiem wszelkich możliwości?